

**Jonathan Carroll**

**Na pastwę aniołów**

**Przełożył Mirosław P. Jabłoński**

**Tytuł oryginału From the Teeth of Angels**

*Dla Bunny'ego i Charliego -  
dłonie na zawsze na naszych twarzach  
oraz dla  
Richarda i Judy Carroll.  
Rity Wainer  
i Herba Kornfelda*

Śpiesz się, Śmierci, Ojczy Chrzestny, Panie tyranii.  
Każda wiadomość, jaką zostawiasz, wyrywa nas z tańca  
niczym rybę wyciągniętą na piasek.

Ojciec Chrzestny, Śmierć  
Anna Sexton

Tylko bogowie wiedzą, jak współzawodniczyć.  
Albo echo.

Gilgamesz

## **Część pierwsza**

## Wyatt

Sophie,

*właśnie wróciłem z Sardynii, gdzie planowaliśmy zostać dwa tygodnie, lecz w końcu zrezygnowaliśmy po zaledwie pięciu dniach, bowiem - pozwól sobie powiedzieć, kochanie - jest to okropna wyspa. Zawsze karmiłem się książkami w rodzaju *The Sea and Sardinia* czy *The Colossus of Maroussi*, w których słynni autorzy zachwalali uroki pobytu na dzikich i pierwotnych wyspach, czterdzieści lat temu, kiedy miejscowe piękności obnosiły swe nagie, złote od słońca piersi, a obiad był tańszy niż paczka papierosów. Zatem, głupiec, czytam te przewodniki, pakuje bagaże i zmykam na południe. Jeżeli chodzi o nagie kobiety, to w porządku - powinien mi wystarczyć widok stukilogramowych Grubych Bert rodem z Bielefeld z piersiami tak ogromnymi, że na swoich stanikach mogłyby uprawiać windsurfing, gdyby je tylko wciągnęły na maszt. Wyżywienie kosztuje mnie więcej niż mój nowy samochód, a zakwaterowanie okazuje się godne polecenia największemu wrogowi. A do tego, ponieważ mam dziurawą pamięć, zapominam zawsze, iż słońce w tych południowych krajach jest tak podstępnie gorące, że pali cię, bezradnego, na skwarę w ciągu niewielu godzin. Uwierz mojej czerwonej niczym wulkaniczna lawa twarzy. Dziękuję.*

*Nie, jestem już po czterdziestce i w rezultacie mogę zawsze powiedzieć „nie” wszystkiemu, co przypomina podobne wyprawy. Kiedy już wracaliśmy, powiedziałem do Caitlin:*

*- Resztę wakacji spędzimy w górach.*

*I pomyśl sobie, przyjechaliśmy do pensjonatu u podnóża Alp, w pobliżu Grazu, obok małego, połyskliwego potoku, gdzie czuć było zapach surowego drewna w środku i nieznaczną woń gnoju na zewnątrz; do domu z obrusami w biało-czerwoną kratkę na stołach w jadalni i z łózkami w pokojach na górze, skąd poprzez kołyszące się gałęzie orzechowców widać było wijący się opodal strumyk i gdzie znajdowało się na poduszce czekoladę zawiniętą w srebrną folię. Nie ma to jak w domu, Toto.*

*Kiedy byliśmy jeszcze na Sardynii, spędzaliśmy dużo czasu w kafejce, która stanowiła jedyne mile miejsce w okolicy. Nazywała się „Spin Out Bar”. Kiedy właściciele odkryli, że jesteśmy Amerykanami, zaczęli traktować nas jak bohaterów. Jeden z nich był przed laty w Nowym Jorku i trzymał do tej pory przypięty na ścianie plan Manhattanu z czerwonymi znaczkami pokazującymi wszystkie miejsca, w których bywał.*

*Wieczorem lokalik zapelniał się, stając się przyjemnie hałaśliwy. Oprócz entuzjastek windsurfingu z północy oraz zbyt wielu grubasów w kwiecistych koszulach poznaliśmy tu*

*sporo interesujących indywidualów. Naszą ulubienicą stała się Holenderka o imieniu Miep, pracująca w wytwórni okularów słonecznych w Maastricht. Jej towarzyszem był Anglik, McGann - i tutaj, moja przyjaciółko, zaczyna się opowieść.*

*Po pierwsze, nie mogliśmy zupełnie zrozumieć, dlaczego Miep znalazła się na Sardynii, skoro twierdziła, iż nie lubi słońca i nigdy nie wchodzi do wody. Była szczęśliwa, zostawiając nas z tą niewiedzą, ale McGann uważał się za zobowiązanego do dodania:*

*- Wiecie, ona dużo czyta... O czym?*

*- Pszczoły. Uwielbia studiować życie pszczół. Miep uważa, że wszyscy powinniśmy się od nich uczyć, ponieważ wiedzą one najlepiej, jak właściwie zorganizować i wykorzystać pracę całych społeczeństw.*

*Niestety, ani doświadczenie Caitlin z tymi owadami, ani moje nie wykraczało poza dotkliwość ukłuć ich żądeł oraz smak rozmaitych rodzajów miodów, ale Miep z rzadka jedynie mówiła cokolwiek na temat swych książek i pszczół. Na początku w ogóle mało się odzywała, pozostawiając podtrzymywanie konwersacji swojemu przyjacielowi, co ten czynił z przerażającym zapalem.*

*Bóg mi świadkiem, że Anglicy są znakomitymi rozmówcami, i gdy dobrze się bawią, możesz co pięć minut spadać z krzesła ze śmiechu, ale McGann mówił stanowczo za wiele. On po prostu nie przestawał gadać! W krótkim czasie dochodziłeś do momentu, kiedy chciałeś go wyłączyć, i wówczas zaczynałeś patrzeć na jego śliczną, milczącą przyjaciółkę. Poza tym krył się w nim jednak interesujący człowiek. Pracował jako agent w jednym z londyńskich biur podróży i był zafascynowany takimi miejscami, jak Bhutan, Patagonia czy Jemen Północny. Opowiadał nawet zajmujące historyjki z podróży, ale nieodmiennie w środku każdej z nich - czy to o szlaku jedwabnym czy też o tym, jak został uwięziony przez burzę śnieżną w buddyjskim klasztorze - wyrzucał z siebie taką mnogość ubocznych, nudnych szczegółów, iż łapałeś się na tym, że przestałeś uważać jakieś sześć zdań wcześniej i przebywałeś we własnych rojeniach na temat spowitego śniegiem klasztoru. Pewnego dnia poszliśmy z Caitlin na plażę i zostaliśmy na niej zbyt długo - wróciliśmy do domu z paskudnymi oparzeniami słonecznymi i w podłych nastrojach. Obwinialiśmy się o to wzajemnie i warczeliśmy na siebie, aż Caitlin wpadła na pomysł, by iść na kolację do baru, ponieważ ma się tam odbyć grill-party, o którym mówiło się od dnia naszego przyjazdu. Grill-party nie jest moim sposobem na osiągnięcie stanu nirwany, szczególnie w towarzystwie obcych ludzi, ale wiedziałem, że jeżeli pozostaniemy w naszym bungalowie jeszcze przez chociażby godzinę, to pobijemy się - więc przystałem na to.*

- Cześć! Jesteście nareszcie! Miep miała nadzieję, że przyjdziecie, więc zajęliśmy dla was miejsca. Żarcie jest całkiem niezłe, spróbujcie kurczaków. Dobry Boże, ale żeście się spiekli! Byliście na plaży cały dzień? Pamiętam dokładnie swoje najgorsze poparzenie słoneczne...

Była to tylko część powitania McGanna, które wygłosił przez całą salę, podczas gdy my zbliżaliśmy się do stolika. Naładowaliśmy uczciwie swoje talerze i usiedliśmy z nimi.

W miarę jak wieczór i gadatliwość Anglika rozwijały się, mój podły nastrój pogarszał się. Me miałem ochoty słuchać McGanna, nie chciałem dłużej przebywać na tej rozpalonej wyspie, ale też nie uśmiechała mi się dwudziestoczwierogodzinna podróż do domu. Czy wspominałem już, że kiedy wracaliśmy na stały ląd nocnym promem, nie było wolnych kabin i musieliśmy spać na ławkach? Tak było.

Krótko mówiąc, miałem napad piekielnie złego humoru. Kiedy brakowało mi zaledwie trzech sekund, by wygarnąć to wszystko McGannowi i powiedzieć mu, żeby się wreszcie zamknął, bo jest największym nudziarzem, jakiego kiedykolwiek spotkałem, Miep obróciła się do mnie i spytała, jaki miałem najdziwniejszy sen w życiu. Pytanie, będące całkiem nie a propos przemowy na temat kremu do opalania, w jaką wdał się, przeskakując z tematu na temat, jej przyjaciel, spowodowało, że w pierwszej chwili zapomniałem języka w gębie, lecz potem zastanowiłem się nad nim. Rzadko pamiętam sny. Jeżeli coś z nich zostaje, to raczej nudne i pozbawione większej wyobraźni majaki erotyczne. W najdziwniejszym, który mi się przyśnił, grałem na gitarze z Jimim Hendrixem, siedząc nago na tylnym siedzeniu dodge'a. Jimi był także goły jak święty turecki i musieliśmy zagrać chyba z dziesięć razy Hey, Joe, zanim obudziłem się z uśmiechem na ustach i z prawdziwym smutkiem w duszy, że Hendrix nie żyje i nigdy go nie spotkam. Opowiedziałem to Miep, która słuchała z twarzą wtuloną w podpierające ją dłonie. Gdy skończyłem, to samo pytanie zadała Caitlin, która opowiedziała jej swój wielki sen dotyczący robienia gigantycznego omletu dla Pana Boga i gonitwy po całym świecie w poszukiwaniu odpowiedniej liczby jaj. Pamiętasz, jak śmialiśmy się z tego? Kiedy skończyliśmy opowiadać, zapadła głęboka cisza, nawet McGann nie odezwał się ani słowem. Zauważyłem, że patrzył na swoją przyjaciółkę z trwożliwym, dziecięcym wyrazem twarzy, jakby czekał, że to ona zacznie mówić i pociągnie dalej tę zabawę.

- To właśnie sny spowodowały, że poznałam się z Ianem. Tkwiłam na Heathrow, czekając na lot powrotny do Holandii. Ian siedział obok mnie i widział, że czytam artykuł o świadomych snach". Słyszeliście o tym? Najkrócej rzecz ujmując, można się nauczyć być przytomnym podczas marzeń sennych i kierować nimi. Zaczęliśmy o tym rozmawiać, i strasznie mnie znudził, Ian potrafi być bardzo nudny. To jest coś, do czego człowiek musi się

*przyzwyczajaić, jeżeli chce z nim być. Ciągłe mam z tym kłopoty, ale minął już tydzień i znoszę to nie najgorzej.*

*- Tydzień? Co masz na myśli? Czy jesteście ze sobą „aż” tak długo?*

*- Miep wracała z konwentu pszczelarzy w Devon. Po naszym spotkaniu na lotnisku powiedziała, że chciałyby przyjechać tu ze mną.*

*- Tak po prostu? Przyleciałaś z nim tutaj, zamiast wrócić do domu?*

*Caitlin nie tylko w to uwierzyła - była tym wręcz zachwycona. Wierzyła całkowicie w przypadkowe spotkania, cudowne zrządzenia losu i miłość od pierwszego wejrzenia tak wielką, że można żyć z kimś nawet z najbardziej dokuczliwymi wadami. Jeszcze bardziej niż faktem, iż Miep przyjechała z nim na Sycylię, byłem zdziwiony tym, że tak otwarcie powiedziała, jaki z niego nudziarz. Czy to jest sposób, w jaki przypieczętowanie się niespodziewany związek miłosny? Oczywiście, lećmy razem, drogi, kocham cię do szaleństwa i spróbuję przyzwyczajaić się do twego nudziarstwa!*

*- Tak, kiedy Ian opowiedział mi swoje sny, poprosiłam go, żeby zabrał mnie z sobą. To było dla mnie najważniejsze.*

*- Musiałeś mieć sen, który zwala z nóg! - zwróciłem się do McGanna.*

*Wyglądał na człowieka przeciętnego, miłego i tylko w niewielkim stopniu uzdolnionego - jak sprawny listonosz dostarczający na czas pocztę czy sprzedawca w sklepie z alkoholem uwijający się pomiędzy trzydziestoma gatunkami piwa. Przypuszczam, że był dobrym agentem biura podróży, pasującym do jego cen i broszur i takim, który mógł wybrać wspaniałe wakacje dla kogoś, kto nie ma zbyt wiele pieniędzy. Ale nie robił wstrząsającego wrażenia. No i gęba mu się nigdy nie zamykała. Jakiż to sen mógł wyśnić, że przekonał tę atrakcyjną i mile tajemniczą Holenderkę, by rzuciła wszystko i towarzyszyła mu na Sycylię?*

*- Tak naprawdę, nie było to nic wielkiego. Śniło mi się, że pracowałem w biurze, nie w mojej agencji, lecz w jakimś innym miejscu, ale nieszczerólnie ciekawym. Wszedł człowiek, znany mi dawno temu, który już nie żył. Zmarł na raka może pięć lat wcześniej. Patrzyłem na niego i wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, że przybył z grobu, żeby się ze mną spotkać. Nazywał się Larry Birmingham. W istocie nigdy nie lubiłem tego faceta. Był głośny i zbyt pewny siebie. A teraz znalazł się w moim śnie. Spojrzałem na niego zza biurka i powiedziałem: „Larry, to naprawdę ty! Wróciłeś po śmierci”. Był bardzo spokojny, przytaknął i przyznał, że chciał się ze mną zobaczyć. Poprosiłem go, by mi pozwolił zadać kilka pytań na ten temat. Na temat śmierci, oczywiście. Uśmiechnął się, nieco za wesoło, jak to stwierdzam teraz, i zgodził się. Myślę, że w tamtej chwili byłem świadomy w swoim śnie tego, że śnię właśnie. Wiecie, jak to jest, nie? A ja myślałem: „Dalejże, zobaczymy, co też uda*



się odkryć!” Więc zadawałem mu pytania. Jaka jest śmierć? Czy powinniśmy się jej obawiać? Czy jest taka, jakiej się spodziewamy...? Takie sprawy. Mówił chętnie, ale wiele odpowiedzi było niejasnych i wprowadzało zamęt. Pytałem go ponownie o to samo, a on odpowiadał w nieco inny sposób i to, co na początku uważałem za zrozumiałe, w końcu robiło się niejasne. To nie była wielka pomoc, mówię wam.

- Dowiedziałeś się jednak czegoś?

Ian spojrział na Miep. Pomijając jej powściągliwość i zbyt długie monologi McGanna, było oczywiste, że pomiędzy tym dwojgiem tak odmiennych ludzi panuje wielka bliskość i szczególny szacunek. To było spojrzenie pełne miłości, oczywiście, ale dostrzegłem w nim także coś znacznie więcej. Więcej, mówiło bowiem jasno, iż są rzeczy, które wiedzą o sobie nawzajem i które docierają do samego wnętrza ich istot. Czy znalazłyby się zaledwie od tygodnia, czy od dwudziestu lat, w ich wzroku było wszystko to, co w naszym życiu mamy nadzieję dać drugiej osobie. Miep skinęła potakująco głową, ale on rzekł łagodnie:

- Ja... obawiam się, że nie potrafię wam tego powiedzieć.

- Och, Ian. - Miep sięgnęła przez stół i ujęła jego twarz w swoje dłonie.

Wyobraź sobie promień światła biegnący dokładnie w poprzek stołu i oświetlający wyłącznie tych dwoje. To jest dokładnie to, co zdawało się nam z Caitlin, że widzimy. Najbardziej zdumiewało mnie, iż Miep okazywała jawnie swoje uczucie do tego mężczyzny i mówiła o tym. Teraz tego uczucia było nagle tyle, że stało się to nieco żenujące.

- Masz rację, Ian. Przepraszam. Masz zupełną rację. - Miep wyprostowała się na krześle, ale nie przestawała patrzeć na McGanna.

Ian odwrócił się do mnie i powiedział:

- Wybacz, ale to, co mam powiedzieć, jest dla mnie trudne i zanim zacznę, zamówię sobie kolejnego drinka. Ktoś z was ma ochotę jeszcze się napić?

Nikt nie chciał powtórzyć kolejki, więc wstał i poszedł do baru. Podczas jego nieobecności siedzieliśmy w milczeniu, a Miep nie przestawała na niego patrzeć. Caitlin i ja nie wiedzieliśmy, co z sobą począć.

- Okay. Zatankowany i gotów do startu. Wiecie, o czym myślałem, tam, przy barze? O tym, że kiedy jechałem raz przez Austrię, dostałem napadu śmiechu, mijając miejscowość o nazwie Mooskirchen. Pamiętam doskonale, że wymyśliłem sobie, iż w nieco zwariowanym tłumaczeniu znaczyłoby to Moose Church, czyli Kościół Amerykańskiego Łosia. A potem pomyślałem jeszcze, że dlaczegożby, do diabła, nie? Ludzie czczą najróżniejsze rzeczy na tym świecie. Dlaczego nie mogłaby tu istnieć parafia pod wezwaniem Świętego Łosia? A wraz z tym całe wyznanie? Rozumiecie? Trajkoczę niepotrzebnie, czyż nie? Ale to dlatego, że ta

historia jest dla mnie strasznie trudna do opowiedzenia. Najśmieszniejsze jest to, że kiedy skończę, będziecie przekonani, że jestem tak samo pieprzony jak wymyśleni przeze mnie wyznawcy Kościoła Amerykańskiego Łosia. Co, Miep? Nie będą uważać, że mi się wszystko poprzekrecało w głowie?

- Jeżeli zrozumieją, będą cię mieć za bohatera.

- W porządku, kochani. Nie bierzcie tego, co mówi Miep, zbyt poważnie. Ona jest bardzo spokojna z pozoru, ale szalenie emocjonalnie reaguje na różne sprawy. Pozwólcie mi mówić i oceńcie sami, czy jestem wariatem, czy też - ha, ha! - bohaterem,. Następnego dnia rano, po moim pierwszym śnie, poszedłem do łazienki i zacząłem zdejmować piżamę, by się umyć. Byłem zszokowany, kiedy ujrzałem...

- Nie mów im, Ian! Pokaż to! Niech to zobaczą na własne oczy.

Powoli, z pewnym zawstydzeniem, zaczął zdejmować przez głowę T-shirta. Caitlin ujrzała to pierwsza - i zatkało ją. Kiedy i ja zobaczyłem, także straciłem oddech. Od jego lewego ramienia biegła w dół, kończąc się nad lewym sutkiem, odrażająco głęboka blizna. Wyglądała dokładnie tak samo jak to, co miał mój ojciec nieco niżej i bliżej środka klatki piersiowej po operacji na otwartym sercu. Jedna wielka szrama - szeroka i obrzydliwie błyszcząco różowa. Mówiąc językiem jego dala - ono nigdy nie wybaczyłoby mu, że je tak zranił.

- Och, Ian, co się stało?

Słodka, droga Caitlin, współczujące serce świata, mimowolnie sięgnęła, by go dotknąć i pocieszyć. Rozumiejąc jej intencje, odtrącił wyciągniętą dłoń, ale spojrzał z sympatią na strapioną twarz mojej żony.

- Nic się nie stało, Caitlin. Nigdy w życiu nie byłem ranny. Nigdy nie byłem w szpitalu ani nie miałem żadnej operacji. Zadałem śmierci kilka pytań i kiedy się obudziłem, to już było.

Nie miał zamiaru poddawać swej blizny naszym bliższym oględzinom. Przełożył szybko T-shirta przez głowę i opuścił na tors.

- Mówiłam ci, Jan, że to może być rodzaj podarunku.

- To nie jest prezent, Miep. To piekielnie boli i prawie nie mogę poruszać ramieniem. To samo dzieje się z moją stopą i dłonią.

- O czym ty mówisz?

Ian zamknął oczy i chciał mówić dalej, ale nie mógł. Zakotłował się tylko w przód i w tył z nadal zamkniętymi oczyma. Odezwała się Miep:

- W noc przed naszym poznaniem się Ian miał kolejny sen, prawie taki sam jak poprzednio. Larry wrócił i Ian znowu wypytywał go o śmierć. Tym razem jego odpowiedzi

były jaśniejsze, chociaż nie wszystkie. Kiedy Ian się obudził, zaczął rozumieć rzeczy, których wcześniej nie pojmował, Ian uważa, że dlatego blizna na dłoni jest mniejsza. Im więcej rozumie ze snu, tym mniej jest niepokojony. Kilka nocy temu miał następny sen, ale obudził się z wielkim cięciem na nodze. Dużo większym niż to na ręce.

Ian odezwał się ponownie, ale jego głos był cichszy, łagodniejszy:

- To powie ci wszystko, co chcesz wiedzieć, ale musisz zrozumieć. Jeśli nie... zrobi ci to samo, więc powinieneś uważać na swoje pytania. Problem polega na tym, że kiedy zaczniesz pytać, nie możesz się wycofać. W czasie mego drugiego snu powiedziałem Birminghamowi, że chcę to przerwać, bo się boję. Powiedział, że nie mogę. Taka ostateczna zabawa w „dwadzieścia pytań”. Dzięki Bogu, że Miep jest przy mnie. Dzięki Bogu, że mi wierzy! Widzicie, to czyni mnie coraz słabszym, co chyba w tym wszystkim jest najgorsze. Po snach pozostają blizny, ale dużo gorsze jest to, że słabnę i nic nie mogę na to poradzić. Ledwo zwlekam się z łóżka. Wraz z upływem dnia czuje się lepiej... ale wiem, że dzieje się coś złego i pewnego dnia więcej nie... Wiem, że gdyby Miep nie było przy mnie... Dziękuję Bogu za ciebie, Miep.

Później przekonałem go, by pokazał nam bliznę na rękę, która była zupełnie niepodobna do tej na piersi - biała, cienka i wyglądała, jakby miała już kilka lat. Biegła po przekątnej jego dłoni, i przypomniałem sobie, że gdy po raz pierwszy go spotkaliśmy, zauważyliśmy, że dziwnie porusza tą ręką - dużo wolniej i niezgrabnie. Teraz wiedziałem już, dlaczego.

To jeszcze nie koniec, Sis. Co byś zrobiła w podobnej sytuacji, kiedy jedna połowa mózgu mówi ci, że to szaleństwo, a druga dopuszcza możliwość, że to wszystko prawda? Nie prosili nas o nic, chociaż i tak wątpiłem, czy moglibyśmy cokolwiek dla nich uczynić. Ale po tym wieczorze, ilekroć widziałem McGanna czy myślałem o mm, współczułem mu ogromnie. Cokolwiek było nie w porządku z tym człowiekiem, trapiło go coś okropnego. Było jasne, że albo popadnie w szaleństwo, albo sny o śmierci schwytają go w pułapkę bez wyjścia; stał na straconej pozycji. Pozostał jednak nadal nudziarzem. Dobrego charakteru, z poczuciem humoru, który w środku swej udręki, czy cokolwiek to było, pozostawał całkowicie taki, jaki - przypuszczam - był zawsze. To najprawdziwsza odwaga. Mam na myśli to, że niektórzy z nas wchodzi do płonących budynków, by ratować innych ludzi. Ale człowiek stający twarzą w twarz z najgorszym, czyniący to z wdziękiem i bez słowa skargi, nawet wdzięczny za miłość i pomoc innych... To daleko więcej, sądzę.

Dwa dni później zdecydowaliśmy z Caitlin prawie bez namysłu, że wyjeżdżamy. Mieliśmy po dziurki w nosie wszystkich tych miejsc i nie spodziewaliśmy się tam niczego

przyjemnego. Przed upływem półtorej godziny spakowaliśmy nasze manatki i zapłaciliśmy rachunek. Żadne z nas nie lubi pożegnań i - jak sobie możesz wyobrazić - byliśmy nawiedzani przez upiorną opowieść McGanna. To nie było coś, w co każdy byłby skory uwierzyć od razu, ale trzeba było tam być tego wieczoru, widzieć ich twarze, słyszeć głosy i brzmiałyce w nich przekonanie, by zrozumieć, że nie czuliśmy się swobodnie w ich obecności.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, by wsiąść do samochodu, wpadliśmy na Miep śpieszącą do recepcji. Najwyraźniej coś było nie w porządku.

- Dobrze się czujesz, Miep?

- Dobrze? Och, tak. Nie. Ian... Z Ianem jest źle.

Była zupełnie pochłonięta własnymi myślami, a jej oczy biegały na wszystkie strony. Błysnęło w nich światelko świadomości i cała jej postać jakby wyhamowała. Przypomniała sobie, przypuszczam, co McGann opowiedział nam ostatniej nocy.

- Miał dzisiaj kolejny sen. Kiedy wrócił z plaży, położył i usnął tylko na kilka minut, ale gdy się obudził... - Zamiast kontynuować, przeciągnęła wolno dłoń w poprzek podbrzusza.

Oboje z Caitlin aż podskoczyliśmy na to i zapytaliśmy, co moglibyśmy dla nich zrobić. Myślę, że ruszyliśmy od razu w stronę ich bungalowu, ale Miep krzyknęła. Dosłownie krzyknęła „Nie!”, i w żaden sposób nie mogliśmy jej przekonać, by pozwoliła nam sobie pomóc. Jednak najbardziej uderzył mnie wygląd jej twarzy. Kiedy przekonała się, że nie zamierzamy wtrącać się w to wbrew jej woli, spojrzała ponad naszymi ramionami w stronę bungalowu, gdzie znajdował się Ian, a jej twarz była skurczona z obawy, a zarazem promieniała jakąś niezwykłą jasnością. Czy zatem to wszystko było prawdą? Czy Ian wrócił, ponownie zraniony przez śmierć, ponieważ nie potrafił zrozumieć jej odpowiedzi na własne pytania? Kto wie?

Na promie, gdy wracaliśmy na stały ląd, przypomniałem sobie, co Ian mówił tamtej nocy na temat Kościoła Amerykańskiego Łosia oraz o tym, że ludziom powinno być dozwolone wyznawanie wszystkiego, w co pragnęliby wierzyć. Wówczas jego dziewczyna miała ten sam wyraz twarzy - wygląd kogoś stojącego w obliczu sytuacji, którą uznaje za prawdę i odpowiedź życia. Albo śmierci.

*Całujemy Cię.*

*Jesse*

Opuściłem list na kolana i zamknąłem oczy, czekając, by odezwała się pierwsza.

- No i co o tym sądzisz, Wyatt?

Spojrzałem na nią, ale poranne słońce usadowiło się dokładnie na szczycie jej głowy, tworząc żółtą, palającą koronę. Musiałem zezować, by zorientować się, jaki wyraz nadała swej twarzy.

- Sądzę, że to intrygujące.

- Co masz na myśli, mówiąc „intrygujące”? Nie wierzysz w to?

- Jasne, wierzę. Wiara to od lat mój problem. Sądzę czasami, że to nie białaczka mnie zabija, ale krańcowa wiara. Ostateczna nadzieja.

- Nie żartuj, Wyatt. To jest raczej to, co trzyma cię przy życiu. Dlaczego nie jesteś bardziej...

- Bardziej jaki? Podekscytowany? Sophie, ja umieram! Moje życie dobiega końca. Bóg uczynił mi dziś wielką przysługę, pozwalając być tutaj. Czy potrafisz sobie wyobrazić, co to znaczy żyć z taką świadomością w każdej minucie istnienia? Na początku, kiedy dowiedziałem się, że jestem chory, byłem pełen uczuć, których już we mnie nie ma. Każdego ranka budziłem się z płaczem. Przeszedłem przez okres, gdy każdej rzeczy przyglądałem się dwa razy bardziej wnikliwie niż dotychczas, ponieważ nie byłem pewny, czy jeszcze kiedykolwiek ją zobaczę. Moje życie stawało się trójwymiarowym filmem; przepływało mimo mnie niczym obok żołnierza stojącego na warcie. W końcu nawet ten dziwny czas przeminął. Czytałem kiedyś o kobiecie, której na ulicy w Nowym Jorku wyrwano torebkę. To ohydne, prawda? Ale wiesz, co ten złodziej potem zrobił? Zaczął odsyłać należące do niej przedmioty, sztuka po sztuce, z okazji uroczystych chwil jej życia. W utraconej torebce miała kalendarz, a w nim zaznaczone wszelkie rocznice - urodziny dzieci i temu podobne historie. Z okazji swych najbliższych urodzin, które przypadły tuż po kradzieży, znalazła w poczcie zwrócone prawo jazdy wraz z życzeniami od faceta. Następnie odesłał jej metrykę urodzenia. Tak to trwało i trwało. To jednocześnie przewrotna i mądra historia, nie sądzisz? Ten człowiek stał się jej katem; wymyślił doskonały sposób, by dręczyć ją przez całe lata. Nie tylko ukradł jej torebkę, ale pragnął przyczepić się do jej życia niczym kleszcz.

Sophie pokiwała głową, uśmiechając się, jakby wiedziała o czymś, co mnie nie było wiadome.

- Z drugiej strony, to bardzo ekscytujące, gdy o tym pomyśleć; o czasie i uwadze, które jej poświęcił. Ilu podobnych nicponi zadałoby sobie trud, by ukraść ci torebkę, a potem posłać pocztówkę z okazji urodzin? - mówiła, uśmiechając się nadal.

Zawsze byłem pewny, że mogę liczyć na zrozumienie swoich przyjaciół.

- Myślę dokładnie tak samo - powiedziałem. - Śmierć jest podobna do złodzieja torebek, kurewsko podobna. Okrada cię ze wszystkiego, by potem z łaski oddać co nieco,

budząc w tobie jednocześnie zdumienie i nadzieję. Jeżeli chodzi o kradzież mojego portfela, niech go sobie zabierze od razu, bez zamieniania mego życia w piekło. Niech mi nie oddaje starych kart kredytowych ani prawa jazdy, które już uznałem za stracone. Przeczytałem jakiś artykuł w gazecie mówiący o pewnym lekarzu z Osaki, który twierdzi, iż odkrył środek przeciwko białaczce, jest to substancja otrzymywana z pestek śliwek... Nie chcę więcej żadnej nadziei. Nie chcę uwierzyć, że gdzieś na świecie jest lekarstwo albo metoda czy guru, który potrafiłby wyzwolić mnie od lęku. Ja po prostu chciałbym nauczyć się umierać! Spojrzała na mnie z dezaprobatą.

- Twoim zadaniem jest odkryć, czym świat stara się być. Co się zmieniło, Wyatt? Przecież to ty dałeś mi ten wiersz! Czy nauczyć się umierać znaczy to samo, co nauczyć się przestać żyć?

- Może.

- A może jesteś zwykłym workiem gówna?! Nie sądzę, aby Bóg chciał, żebyśmy tak to robili, lecz nie mówię także o łagodnym odejściu po usłyszeniu Jego błogosławiącego „Dobranoc!” Nie zostałam, oczywiście, tak doświadczona jak ty, może więc w ogóle nie mam prawa o tym mówić, ale i tak nie będę cicho. Jedynym sposobem pokonania kieszonkowca jest złapanie go. Znajdź go, pokaż mu swą twarz i powiedz: „Odszukałem cię i nie zranisz mnie już nigdy więcej”. Jeżeli śmierć torturuje cię, odsyłając przedmioty, które uważasz za dawno stracone, musisz ją odnaleźć i kazać jej przestać to robić. Uważam, że nauczysz się umierać przez... O cholera!

Kiedy tak mówiła ze złością, nie patrzyłem na nią, więc nie wiedziałem, że płacze, dopóki nie wymówiła ostatniego słowa. Twarz miała mokrą od łez, choć oczy nadal miotały błyskawice.

- Gdy tylko skończyłam czytać ten list, byłam tak podekscytowana, że od razu zatelefonowałam do ciebie. Pomyśl, gdybyś odszukał tego faceta, Iana, on mógłby ci pomóc! Ale ciebie to nie interesuje, prawda?

- Jasne, interesuje. Nie bierzesz jednak pod uwagę faktu, że otrzymanie ostatecznej odpowiedzi nie musi wcale oznaczać znalezienia lekarstwa na toczącą mnie chorobę.

Podniosłem szklanekę z sokiem pomarańczowym i pociągnąłem długi, zimny łyk.

Sophie zawsze sama wyciskała owoce i raczyła gości tym wspaniałym poczęstunkiem - cierpkim płynem, pełnym włóknistego miąższu pomarańczy, wyzwalającego niepowtarzalny smak, kiedy rozgniotło się go na języku.

- Wyatt?

- Tak?

- Jakie to jest? - Z tonu jej głosu jasno wynikało, co ma na myśli.

Przetaczając szklaneczkę pomiędzy dłońmi, zjrzałem do jej wnętrza, obserwując ruch soku na dnie naczynia.

- Kiedy byłem na ostatnim badaniu, spotkałem pewną młodą kobietę. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Rak gardła... rozwijał się, atakując płuca. Mogłaby mnie łatwo wyprowadzić w pole, gdybym nie wiedział, ile wysiłku włożyła w zakamuflowanie swej choroby. Miała nadal włosy, albo była to doskonała peruka, i naturalnie zaróżowione policzki. Są jednak inne szczegóły, po których drugi chory pozna, gdzie kończy się prawdziwy człowiek, a zaczyna makijaż, peruka czy wynik długotrwałego przebywania w solarium... I ta dziewczyna wyznała mi, że jedyną rzeczą, którą może teraz robić, jest wmawianie całemu światu, że stanowi jego część, i to zupełnie zdrową. To jest pierwsza rzecz, której się uczysz, kiedy dopadnie cię choroba. Pytasz, jak to jest? Kiedy masz raka i zaczynasz umierać, wtedy bardzo szybko przekonujesz się, jak funkcjonuje ludzka psychika. Zapewniam cię, że bardzo różnie, zależnie od tego, co sobie myślałaś przez całe życie... Ale do rzeczy. Powiedziała mi jeszcze coś, co mnie zupełnie zmroziło, mianowicie, że właśnie poddano ją ostatniemu naświetlaniu. Znaczyło to, że otrzymała taką porcję promieniowania, że kolejne zabiegi przestają pomagać, a zaczynają zabijać. Przez cały okres leczenia otrzymujesz dawkę za dawką i jeżeli nie przyniesie to oczekiwanych efektów, to znaczy, że nie miałaś szczęścia. Wiesz, co oni jeszcze jej powiedzieli? By nie zbliżała się do swoich dzieci! I oczywiście, żeby ich nie dotykała, ponieważ jest tak napromieniowana, że może być dla nich niebezpieczna!

- Och, nie!

- To prawda. Czy więc samo umieranie nie jest już dosyć okrutne? To przerażenie, że możesz nagle zwymiotować w restauracji, jeżeli na czas nie zażyjesz lekarstwa. Gwałtowna niemoc, nie pozwalająca podnieść się z krzesła, czy ból tak niewyobrażalny, że musisz kogoś nieznanego poprosić o wezwanie karetki, starając się jednocześnie nadać swemu głosowi takie brzmienie, by go nie przerazić. Więc jak to jest? Tak, jak stać się radioaktywną kobietą. Z tym zastrzeżeniem, że widzi to cały świat zdrowych ludzi. Wszyscy patrzą na ciebie, jakbyś była rarogiem, jakbyś świeciła w ciemności lub roznosiła zarazę... I nie ma najmniejszego znaczenia, ile razy powiedzą ci, że to nieprawda, bo w istocie myślą, że tak właśnie jest... Ale to nie ty jesteś nie w porządku, tylko to, co podstępnie zagnieździło się w tobie. To jest... Przepraszam cię, gadam w koło Macieju. Jak to jest? Tak, jak być radioaktywną dziewczyną i nie móc pogłaskać własnych dzieci na dobranoc. To oznacza udawanie prawdziwego życia. Błędem jest myśleć, że możesz z tego wyjść.

- To, co mówisz, jest tak przygnębiające, że aż zgłodniałam. Idę do kuchni zrobić coś do jedzenia. Chcesz jeszcze trochę soku?

- Tak, chętnie.

Wstała i otoczona dzwonieniem przeszła w poprzek patio, a za nią powlokła się Lulu, czarna suka rasy buldog francuski, która w połowie swego wygodnego życia zapadła na kataraktę i zupełnie oślepla. Sophie kupiła mały blaszany dzwoneczek i przyczepiła do jednego ze swych pantofli, dzięki czemu pies zawsze wiedział, gdzie znajduje się jego pani.

Sophie, Lulu i ja. Ta trójka spędziła ze sobą szmat czasu. Nieżyjący już mąż Sophie, Dick, miał nadzwyczajną wprost księgarnię w centrum Los Angeles, której wystawa należała do moich ulubionych. Był człowiekiem kochającym książki i uczył innych tej miłości. Nigdy nie potrafiłem rozstrzygnąć, które z nich lubię bardziej. Kiedy Dick zmarł, staliśmy się sobie z Sophie bardzo bliscy. Telefonowaliśmy do siebie prawie codziennie i raz na tydzień jadaliśmy wspólnie obiad. Kiedy owdowiała, mając zaledwie trzydzieści parę lat, odziedziczyła dobrze prosperujący interes i spory spadek, ale nie wydawała się zainteresowana wiązaniem się z innym mężczyzną. Przez jakiś czas byłem raczej przekonany, że łączy ją uczucie z pewną kobietą pracującą w jej księgarni, ale myliłem się. Skazany na domysły wreszcie odważyłem się i zapytałem ją kiedyś o tę stronę jej życia. Odpowiedziała, że jestem jedynym mężczyzną, poza Dickiem, którego kochała, ale skoro jestem homoseksualistą... Nalegałem, by powiedziała prawdę; odparła, że to właśnie jest prawda.

- Wyatt! Chodź tutaj! Musisz to koniecznie zobaczyć!

- Co takiego?

- Chodź tutaj. Szybko!

Podniosłem się i podreptałem z palącego słońca w cień pod okapem. Odsunąłem zasłonę wiszącą w drzwiach i wkroczyłem do kuchni. Zatrzymałem się po dwóch krokach. Najpierw ujrzałem Sophie stojącą z rękami na biodrach i potrząsającą głową. Potem, zanim jeszcze to zobaczyłem, usłyszałem szaleńcze stukanie pazurów Lulu o wykładzinę. Zwariowane stukupukupuk przeplatało się z zadyszka, podnieconym sapaniem i krążeniem w kółko oraz usiłowaniami wskoczenia na blat kuchenny - a wszystko to w szalonym pośpiechu, ponieważ pies czuł wyraźnie, że oprócz pani domu w pobliżu znajduje się jeszcze coś zupełnie cudownego. Tym czymś był puszysty kotek siedzący na okiennym parapecie nad zlewem. Zwierzak lizał sobie łapę, po czym wycierał nią pyszczek i łebek. Celebrował swą toaletę ze spokojem domownika, chociaż nigdy wcześniej nie widziałem go tutaj.

- Chciałam, żebyś to zobaczył; to nasz codzienny rytuał, przedstawiam ci Roya, kota moich sąsiadów. Dzień w dzień wspina się na okno i siedzi tutaj, czekając, aż Lulu poczuje



jego obecność. Odkąd oślepla, jej węch jeszcze bardziej się wyostrzył. Jak go tylko zwęszy, zaczyna się miotać i poluje na niego z takim zapałem, jakby jego futro było mitycznym złotym runem! Na szczęście jest za głupia, by go dopaść, a on zawsze robi to samo: wspina się na okno, siada nad zlewem i czeka. Patrz, co się dzieje!

Szaleństwo Lulu narastało, im bliżej była kota. Roy wydawał się znudzony jej skamleniem i wariackimi podrygami. Prawdopodobnie patrzył na to jak na nagrodę za swą łaskawą obecność. Nadal mył się, przerywając od czasu do czasu toaletę, by z chłodnym zainteresowaniem sprawdzić, co porabia jego wielbicielka.

- Czy to się zdarza codziennie?

- Tak. To jest niczym gra Noh, każde z nich wykonuje te same ruchy i odgrywa te same role. Zaczekaj chwilę, zaraz zacznie się druga część. Najpierw Lulu zmęczy się i podda.

Czekaliśmy więc cierpliwie i po kilku minutach nastąpił kolejny akt. Wyczerpana Lulu padła bez tchu, podobna do bezwładnej kłody leżącej na podłodze; podniosła tylko nieco głowę, by móc głębiej oddychać. Roy, dokonawszy toalety, gapił się na nią wzrokiem obojętnego na wszystko bóstwa. Lulu ostatecznie uznała się za zwyciężoną. Bezgłośnie i powoli jego wysokość Roy zeskoczył z parapetu do zlewu, a stamtąd na podłogę. Pies to usłyszał i odzyskał animusz. Spadając na ziemię, kociak wylądował obok zadu Lulu, niemal dotykając jej ogona. Odwróciła się szybko i znalazła oko w oko z Royem, który prychnął jej prosto w pysk. Teraz pies dostał szału. Kot, niczym zręczny bokser, uskakiwał, odpierał ataki i tańczył przed nosem Lulu, i wydawało się niemal cudem, iż udaje mu się wychodzić z tej potyczki bez najmniejszego szwanku. Zaczęliśmy się śmiać, ponieważ oba zwierzaki odbywały najbardziej niezwykły trening, jaki kiedykolwiek widziałem. Po kilku minutach tego skakania i sapania, kiedy Lulu była już kompletnie wyczerpana ze wzburzenia i frustracji, Roy wskoczył na zlewozmywak, a potem wyemigrował przez okno.

- Sparingpartner wróci tu znowu...

- I to naprawdę odbywa się co dzień?

- Z małymi wyjątkami.

- Niesłychane. Wygląda na to, że ona to lubi.

- Lulu? Uwielbia to! Kiedy raz przez przypadek złapała go zębami za łapę, nie wiedziała, co z tym fantem począć. I wiesz, tak sobie pomyślałam... Wiesz, co mi się przypomniało?

- Co?

- To, co mówiłaś o nadziei.

- Co masz na myśli?

- Zachowujesz się podobnie jak Lulu wobec Roya. Jesteś ślepy, ale wiesz, że nadzieja znajduje się tuż obok; czujesz jej zapach, jej obecność. Ona szczypie cię w tyłek. Im bliżej podchodzi, tym mocniej bijesz wokół siebie na oślep rękoma, usiłując ją schwytać. Do chwili, gdy się poddajesz i padasz wyczerpany na podłogę.

- I czymkolwiek jest, ocali moje życie, poszturchując mnie i dręcząc, bym nie zapomniał, że czai się gdzieś w pobliżu? To trochę naciągane, Sophie.

- Wcale nie! Rozmawiamy o tym, odkąd zachorowałeś. Pamiętam wszystko, co mówiłeś. Może chcesz dać za wygraną, albo nawet uważasz, że tak się już stało, ale ja w to nie wierzę, bo oboje wiemy, iż nadzieja istnieje zawsze, do ostatniej chwili. Dlatego właśnie jest nadzieją. Nie możemy jej zobaczyć, ale ona jest dostatecznie blisko naszych twarzy, byśmy poczuli powiew poruszonego powietrza. Jest zawsze tuż obok i niekiedy udaje się nam ją schwytać i przytrzymać na tyle długo, by wygnała z nas piekło. A potem puszcza ją niczym oniemiała Lulu, kiedy schwytała Roya. A tak na marginesie, masz tutaj swój sok pomarańczowy.

W życiu każdego człowieka można znaleźć okres, w którym nie uczynił nic złego. To może być zaledwie godzina lub miesiąc albo i dłuższy czas - i kryje się w tym prawdziwa niesprawiedliwość losu. Jednocześnie każdemu zdarza się moment, kiedy czuje się niezwykczony, nieomylny i nieśmiertelny. Nawet, jeżeli to trwa tylko przez jedno popołudnie.

Byłem szczęściarzem, facetem w czepku urodzonym. Przez kilka lat prowadziłem w telewizji bardzo popularny program dziecięcy. Nie uważam jednak, że był to najlepszy okres mojego życia, ponieważ pełen był zgiełku, pośpiechu, bieganiny i robienia wszystkiego na wczoraj. Natomiast rozpęd i energia, jaką wyzwalał, były wręcz wyśmienite; czysta, żywa adrenalina. Najlepszym, czego mogłeś się spodziewać, było życie wyłącznie chwilą obecną w sposób tak pełny i skończony, że ztracałeś poczucie sensu przeszłości i przyszłości. Przez wiele lat żyłem w klatce z napisem: TERAZ, i w zupełności mi to wystarczało.

Mieszkałem wówczas z producentem mego programu i zdawało się nam, iż łączą nas więzi tego rodzaju, że ani Hollywood, ani sukces, ani nadmiar pieniędzy, ani brak czasu oraz krewni i przyjaciele nie zaszkodzą naszemu związkowi. Myliłem się. Na kilka tygodni lekkomyślnie wdałem się w dwuznaczny związek z pewnym krytykiem filmowym z Nowego Jorku i przeżyłem burzliwy romans. Zwierzyłem się przez telefon z tego wszystkiego mojemu partnerowi, który był wówczas w Los Angeles. Miałem nadzieję, że mnie zrozumie. Nie zrozumiał. Kiedy wróciłem do domu, zastałem mieszkanie puste - wyprowadził się.

Najgorsze w tym wszystkim było dla mnie to, że w pracy nadal traktował mnie z tą samą uprzejmością i sympatią co wcześniej. Czy może być coś bardziej przygnębiającego i budzącego poczucie winy niż otrzymywanie czegoś, na co się nie zasłużyło? Czułem się skonsternowany, ale byłem także gwiazdą, co schlebiali mi do tego stopnia, iż uwierzyłem przez chwilę, że zachowawszy się podle, potrafię przejść nad tym do porządku dziennego. Przecież widzowie kochali mnie nadal; nie wiedzieli, co zrobiłem.

Niewielu ludzi wie, jak to jest być sławnym i zmienić frazę - to dotyczy także mnie. Zachowałem się ohydnie wobec kogoś, kogo naprawdę kochałem, a potem usiłowałem wyrzucić to z pamięci zupełnie tak, jakbym szcztokował pobrudzony rękaw swej kaszmirowej marynarki. Zamiast pokutować, postanowiłem się zabawić. Chodziłem w miasto, hulałem do upadłego i prawie udało mi się zapomnieć, jakim jestem gównem. Niech gra orkiestra i brzęczą puchary!

Pewnego dnia, podczas programu, nie zauważyłem grubego kabla leżącego na ziemi i potknąłem się. Upadłem, uderzając ramieniem o podłogę. Po tym wypadku pozostał mi nieprzyjemny siniak, który długo nie chciał zniknąć. Miał kolor chmury burzowej i utrzymywał się przez kilka tygodni. Do tej pory uważałem się za jednego z tych szczęśliwców, którzy bardzo rzadko, wręcz w ogóle nie chorują. W szpitalu bywałem, wyłącznie odwiedzając innych, a moja domowa apteczka składała się z flakonika aspiryny i nie rozpakowanego pudełka pigułek przeciwko przeziębieniu.

Lekarz mówił powoli i z takim pompatycznym namaszczeniem, jakby każde słowo rzeźbił z kamiennego bloku.

- Zaniepokoiły nas wyniki pańskich badań, panie Leonard.
- Przecież to tylko siniak, który nie znika.
- Niestety, to dużo więcej.

Pragnąłem przestać widzieć i słyszeć, ale strach nie pozwolił mi na to. Jak niezwykle szybko pojmujemy najgorsze! Wielu prostszych rzeczy nie chwytamy - zadań z algebry, kierunków podróży, momentu, w którym przemija miłość. Ale słyszymy nagle „to dużo więcej” i nasza zdolność rozumienia wzrasta gwałtownie o setki czy tysiące razy. Nawet, więcej. Jediną możliwą reakcją na owe słowa jest wzięcie szybkiego, desperackiego wręcz oddechu i pytanie: „Co pan ma na myśli?”

A lekarz wyjaśnia; jeszcze wolniej, jeżeli to w ogóle możliwe. I to jest twoja pierwsza lekcja umierania.

W szpitalu spotkałem tylko dwoje interesujących ludzi - Radioaktywną Dziewczynę i Wątróbkę. Pozostali stanowili mieszankę paniki, chciwości i rezygnacji. Wszyscy wiedzieliśmy, dlaczego się tutaj znajdujemy, ale osobiste nieszczęście nie wywoływało wcale ciepłych uczuć do reszty kompanii. Towarzystwo innych chorych jedynie przypominało każdemu o samotności w nieszczęściu i o piasku nieuchronnie przesypującym się w klepsydrze. Pragnęliśmy być daleko stąd, jak najdalej, nawet bez czystej karty zdrowia. Po prostu być gdzie indziej. Nie chcieliśmy spacerować wzdłuż tych korytarzy o błyszczących posadzkach ani wyglądać przez czyste okna na aż nazbyt ciche i dobrze utrzymane ogrody przypominające cmentarze. W szpitalu najbardziej brakuje ci wzlotów i upadków zwykłego życia. Sandwicza serwowanego przez nieuprzejmego kelnera. Ryczących klaksonów. Przechodniów pochłoniętych rozmową... A poza tym, w szpitalu widzisz tylko dwa rodzaje wyrazów twarzy - przerażenia lub wielkiego spokoju. Czasem przez chwilę dostrzeżesz smutek, ale on zaraz znika; jego okazywanie jest nie na miejscu, świadczy o braku „zawodowstwa”. Hugh nazywał takie twarze wyciśniętymi tubkami po paście do zębów.

Hugh Satterlee, zwany przeze mnie Wątróbką, był uosobieniem tego wszystkiego, co zostawiłem na zewnątrz. Ożywiony i dowcipkujący, potrafił - co zdumiewające - znaleźć sens życia i zachować równowagę ducha, przechodząc poprzez koszmar próby człowieczeństwa. Nawet słuchanie o tym powodowało, że kurczyłem się wewnątrz ze strachu. Wiele lat temu odkryto w jego wątrobie guz, który nie reagował pozytywnie na leczenie; stan chorego pogarszał się, aż Hugh znalazł się na krawędzi śmierci. Wówczas, cudownym zrządzeniem losu, znaleziono dawcę i Satterlee przeszedł transplantację. Hugh wyzdrowiał. Wtedy zmarła jego żona, a półtora roku później w jego nowej wątrobie ponownie odkryto rosnący guz - dokładnie w tym samym miejscu co poprzedni. Pora była umierać. Kiedy go poznałem, miał właśnie zostać przewieziony do hospicjum w Pało Verde, gdzie - jak mówił - „umrze na tle krajobrazu”. - Zakład, że nigdy nie słyszałeś historii takiej jak moja? Nawiedzony, no nie? Może powinienem rozkręcić jakiś rakowy interes? Daj mi swój organ, a wyhoduję ci w nim guz jak się patrzy! Zupełnie niczym zastępcza matka wynajmująca swój brzuch!

Jedynie wypytywanie ludzi o ich życie pozwalało mi zapomnieć o wszechobecnym lęku i szpitalnej nudzie. Niektórzy z nich byli owładnięci pragnieniem mówienia, inni spoglądali na mnie nieufnie, jakbym usiłował zabrać im jedyną rzecz, którą jeszcze posiadali na własność - ich osobisty los. Zanim pierwszy raz zostałem wypisany ze szpitala, usiadłem pewnego popołudnia z Hugh i opowiedziałem mu kilka spośród usłyszanych historii. Był już wtedy w bardzo złym stanie. Jego nabiegłe krwią oczy zdradzały wyczerpanie, chociaż jak zwykle uśmiechał się i chichotał, kiedy usłyszał coś, co go bawiło. Kiedy skończyłem,

spojrzał i zapytał głośno, czy nie wydaje mi się, iż śmierć jest czymś w rodzaju strugaczki do ołówków? Kiedy spytałem go, co ma na myśli, odparł, że większość ludzi, z którymi rozmawiałem, ani przez moment nie żyła tak naprawdę, chociaż istnienie to jedyna rzecz, która faktycznie jest nasza.

- Pomyśl o życiu jak o ołówku, coraz bardziej tęnym, którym w końcu nie można już nic narysować. Wtedy nadchodzi śmierć i jeżeli masz szczęście, zanim stanie się najgorsze, zyskujesz tyle czasu, by jeszcze przemyśleć wiele rzeczy i poukładać je na właściwych miejscach. Zupełnie tak, jakbyś ostrzył ołówek, by go ponownie użyć.

- Co widzisz dobrego w struganiu, skoro ty nie będziesz już mógł wykorzystać tego ołówka? - zapytałem, nie mogąc opanować drżenia głosu i pobrzmiewającej w nim nuty gorczy.

- To, że odbywa się w kierunku przeciwnym do tego, w którym powinieneś iść, Wyatt. Nie wiem jak ty, ale ja zawsze lubiłem temperować ołówki. A potem układać je na biurku, gotowe do użycia. Nie miało dla mnie wcale znaczenia, czy skorzystam z nich zaraz, czy dopiero za miesiąc. Po prostu miałem je przed sobą, widziałem, jakie są zgrabne i ostre... i to sprawiało mi przyjemność. A te historie, które usłyszałeś? Czy nie brzmiały tak, jakby opowiadający je ludzie smakowali swoje życie pierwszy raz? Bo dla mnie tak. Wiesz, co jeszcze o tym sądzę? Byłem biedny przez większą część życia. Byłeś kiedykolwiek biedny? Mam na myśli dno nędzy, kiedy nie masz nawet dziesięciu centów przy duszy, to jest straszne, przerażające doświadczenie. I wiesz co? Wystarczy ci sekunda, by je pojąć w całej rozciągłości. Choćbyś był biedny przez zaledwie dziesięć minut, płynącą z tego naukę zapamiętasz do końca swoich dni. Nie potrzeba na to lat ani żadnej szkoły. Jeden dzień, jedna godzina i wiesz o nędzy wszystko. To samo dotyczy śmierci. Otrzesz się o nią na dziesięć minut i zapamiętasz to na zawsze.

- To się kłóci z tym, co mówiłeś wcześniej.

- Wiem - powiedział Hugh i zamknął oczy.

W tydzień później Sophie pokazała mi list od swego brata, który przepadł gdzieś bez wieści. Jesse Chapman pracował w Wiedniu w pewnej agencji pomagającej uciekinierom z za „żelaznej kurtyny” znaleźć swe miejsce na Zachodzie. W konsekwencji dużo podróżował, co nie miało jednak związku z jego obecnym zniknięciem. Żona Jesse’ego, Caitlin, zaalarmowała Sophie po czterech dniach jego nieobecności. Zwierzchnik z agencji nie miał pojęcia, co się z nim stało, to nie było podobne do Jesse’ego, by wyjechać bez pozostawienia wiadomości, dokąd się wybiera. Wyszedł jak zwykle do pracy - z teczką i w płaszczu. Nie

miał bagażu ani nie zabrał kart kredytowych. Podczas śniadania był spokojny i nie mówił o niczym innym tylko o planach na najbliższy weekend.

Sophie i Caitlin dzieliły ze sobą pokój podczas nauki w college'u i nadal pozostały sobie bliskie. Caitlin zadzwoniła najpierw do Sophie, ponieważ była ona jednocześnie jej najlepszą przyjaciółką i siostrą męża.

Spotkałem Jesse'ego kilka razy podczas jego pobytu w Los Angeles. Zrobił na mnie wrażenie stanowczego i kompetentnego człowieka. Nosił ciemne ubrania; włosy miał długie, lecz starannie przycięte - nawet podczas wakacji golił się codziennie. Nie wyglądał mi na pasjonata, dlatego jego list (agent biura podróży śniący o śmierci) był zaskoczeniem; nigdy nie uważałem go za dowcipnego ani spostrzegawczego uczestnika wydarzeń. Sądzę, iż aby być w porządku, muszę dodać, że Jesse Chapman nie lubił mnie. Mimo że nasze społeczeństwo stało się bardziej otwarte i tolerancyjne wobec homoseksualizmu, istnieje ciągle wielu inteligentnych, wrażliwych ludzi mających trudności z zaakceptowaniem gejów. Nie można o mnie powiedzieć, że bym był człowiekiem eleganckim czy abym szczególnie lubił takowych. Nie wierzę w erotyzm jako teatr i jest mi nieswojo w towarzystwie tych, którzy czują się zmuszeni tańczyć przez życie, wymachując przed sobą różowym boa z piór oraz pogwizdując i mizdrząc się przez cały czas. Nie mam wszakże wcale zamiaru ukrywać, kim jestem. Nie jest mi przykro i nie wstydzę się tego. Po naszym pierwszym spotkaniu Jesse zapytał swą siostrę, czy jestem pedziem. Sophie potwierdziła jego podejrzenia, co miało wpływ na nasze późniejsze rozmowy. Obserwował mnie i traktował z dystansem. Pewnej nocy wdaliśmy się w głupią sprzeczkę na temat boksu, na którym dobrze się znałem, ponieważ uprawiałem go jako młodziak. Jesse nie miał pojęcia o walce na pięści, ale przemawiał z pewnością eksperta. Dolewając oliwy do ognia, Sophie przerwała bratu, oznajmiając, że nie wie, o czym mówi; dlaczego zatem tak tokuje? Oczywiście w niczym to nie mogło pomóc. Wiedziałem, że z jego strony było to zwykłe, głupie gadanie i mogłem zostawić go w środku jego tyrady i po prostu odejść; czułem jednak, że za jego słowami kryje się przekonanie, iż skoro jestem gejem, to cóż mogę wiedzieć o sporcie. Zacietrzewiłem się w naszym sporze jeszcze bardziej, on zaś przeszedł do obrony i skończyło się na tym, że ledwie się tolerowaliśmy, okazując sobie uprzejmą wzgardę.

Kiedy Sophie zatelefonowała do mnie, by mi zakomunikować o jego zniknięciu, czytałem właśnie podręcznik medyczny o białaczce i zastanawiałem się, co dalej począć. Gdy już chorujesz dostatecznie długo, w ostatnich dniach życia ogarnia cię schizofrenia; z jednej strony czujesz się zmuszony do nadania wszystkiemu znaczenia - każdy posiłek próbujesz zamienić w ucztę, a zwykłą rozmowę wypełnić humorem i złotymi sentencjami. Myślisz, że

to przecież może być ostatni raz, więc ma ogromne znaczenie. Nawet jeżeli to już koniec, życie jest nadal pełne uroku i błędem nie do wybaczenia byłoby nie smakować go w pełni. Takie jest nastawienie, kiedy jesteś dobrej myśli i pełen nadziei. Na drugiej, niewidocznej stronie twojego księżycy mieszka zrozpaczony cynik, który nie widzi najmniejszego powodu, by podnieść się rano z łóżka, skoro wcześniej czy później i tak wyląduje w nim na wznak, czekając na nieuchronny kres. Tak wygląda nieustanna bitwa w twej duszy, i nigdy nie wiesz, w którym momencie, która opcja weźmie górę. Zresztą, którakolwiek zwycięży, druga jest niezadowolona. - Wyatt? Tu Sophie. Mam poważne kłopoty. Musisz mi pomóc.

Akurat tego dnia zwyciężył we mnie cynik - podczas gdy jedna dłoń trzymała słuchawkę telefoniczną przy uchu, druga spoczywała na nudnej książce pełnej ściśle upakowanych zdań wyjaśniających w najdrobniejszych, a okrutnych szczegółach, iż nie ma dla mnie cienia szansy. Ona ma kłopoty? Jak w ogóle śmie używać przy mnie tego słowa? Słuchałem chwilę jej opowieści o tym, co się stało, ale w miarę, jak ją kontynuowała, rosła we mnie niecierpliwość. Jesse przepadł? I co z tego? Jakiś człowiek zniknął z życia niczym spadająca z drzewa sosnowa szyszka. Czy w związku z tym spodziewa się po mnie, że rzucę się na kolana wraz z innymi, którym na nim zależy, i będę go szukał? Zapomnijcie o tym!

Po tym, jak wypowiedziałem kilka zwyczajowych, wyrażających współczucie kwestii, w słuchawce zapadła długa cisza i każde z nas oczekiwało, że przerwie ją to drugie. W końcu odezwała się Sophie, a to, co usłyszałem, zmieniło całkowicie resztę mojego życia.

- Przyrzekłeś spełnić moje życzenie, Wyatt - powiedziała tak cicho, jakby wydawała ostatnie tchnienie.

Szarpnąłem się gwałtownie, jakby użądłony przez największą pszczołę świata.

- Nie, Sophie! Dobrze wiesz, że teraz nie możesz mnie o to prosić. Jest już za późno. Nie chcę o tym słyszeć.

- Łajdak! Nie obchodzi mnie, czego nie chcesz słyszeć. Obiecałeś zrobić wszystko, o co cię poproszę, i zamierzam teraz z tego skorzystać. Taki był układ. Takie są reguły.

- Niech to szlag! Więc co to jest? Czego chcesz?

- Chcę, żebyś poleciał ze mną do Europy odszukać Jesse'ego.

- Oszalałaś? Ja, do Europy?

- Musisz. Umawialiśmy się przecież.

- Sophie, mam białaczkę, może zapomniałaś o tym? Czasem nie mam nawet siły, by wstać z fotela.

- Pamiętam, ale wiem także, że na całym świecie nie ma lepszego towarzysza w niedoli. Poza tym nikomu nie ufam tak jak tobie. Jeżeli poczujesz się gorzej, to zapewniam

cię, że tam także są szpitale. Nie martw się, sprawdziłam to. Przegadałam przez telefon ostatnie trzy godziny, a do ciebie zadzwoniłam na końcu.

- Tak przy okazji, gdzie jest owo „tam”? Dokąd mamy się udać? Europa to spore miejsce.

- Do Austrii. Ojczyzny Mozarta, bitej śmietany i nazizmu. - Jezu Chryste!

- Nie, on się urodził w Izraelu.

Kiedy zmarł Dick, popełniłem wielki błąd. Po początkowym szoku i po pogrzebie, gdy minęło kilka tygodni niezbędnych do uporządkowania spraw zmarłego, podsunąłem Sophie myśl, byśmy wyjechali gdzieś razem. Kierowałem się prostym rozumowaniem, że wyjdzie jej na dobre zmiana otoczenia, by nic nie przypominało jej smutnych zdarzeń... Bardzo się o nią niepokoiłem i byłem przekonany, iż z dala od domu wróci do równowagi i odzyska chęć życia. Ku memu zaskoczeniu pomysł jej się spodobał.

- Dokąd mielibyśmy pojechać? - zapytała.

Nie przygotowany na taki obrót sprawy nie miałem konkretnego pomysłu. Przewidywałem raczej, że nasza rozmowa kręcić się będzie wokół prób przekonania jej o potrzebie wyjazdu.

- Dokąd? Nie mam pojęcia. Mamy do dyspozycji cały świat. Ty wybierz. Dokąd chciałybyś pojechać?

- Do Szwajcarii. Zawsze chciałam zwiedzić Szwajcarię.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Wiem, ale to prawda. Zawsze marzyłam, by znaleźć się tam w zimie, wysoko w Alpach, w zasypanym śniegiem hotelu. Wszędzie dookoła góry... A rano budziłyby mnie głośne wybuchy, którymi ratownicy wysadzają śnieżne nawisy, by zapobiec powstaniu lawin.

- I czułabyś zapach dymu z kominka, i nosiła przez cały czas słoneczne okulary, by nie zapaść na śnieżną ślepotę... - Tak, ale tylko w dzień. Około czwartej po południu zaczynałyby padać wielkie, leniwe płatki śniegu i wszystko tonęłoby w ciszy.

W ostatnich dniach nie widziałem jej tak szczęśliwej jak w chwili, kiedy to mówiła, ale musiałem się upewnić.

- Naprawdę chcesz jechać do Szwajcarii? Jeżeli tak, od razu zabieram się do przygotowań.

- Mówisz serio?

- Oczywiście. Uważam, że obojgu nam należą się wakacje i Die Schweiz pasuje do tego celu jak ulał.



- Schweiz? Znasz niemiecki?

- Chodziłem na lektorat z tego języka podczas studiów; zabawne będzie przypomnieć sobie co nieco.

- Och, jedźmy zatem! To cudowny pomysł. Załatwisz to?

- Wszysciutko...

Dlaczegoż zatem wybrałem to, co wybrałem? W biurze podróży przejrzałem setki broszur i ulotek reklamujących Szwajcarię dokładnie podług oczekiwań Sophie. W końcu zarezerwowałem dla nas tygodniowy pobyt w Klubie Śródziemnomorskim w Zims, narciarskiej miejscowości wypoczynkowej na Wyżynie Berneńskiej, z cudownym widokiem na szczyty Eiger, Mönch i Jungfrau. Nigdy wcześniej nie byłem w „Club Med”, ale słyszałem, iż jest to miejsce pełne radosnej krzątaniny, gdzie można dobrze zjeść, potańczyć do rana i spotkać interesujących ludzi. Sprawdziłem to jeszcze raz z Sophie i zgodnie uznaliśmy, że brzmi to zachęcająco. Kiedy więc później wpadliśmy w ten galimatias, nie miałem wyrzutów sumienia, że nas w to wpakowałem.

Podróż była bardzo przyjemna. Polecieliśmy do Zurychu, a stamtąd wyruszyliśmy śmiesznie małym pociągiem na spotkanie gór. Za Intersee zaczął padać śnieg. Kiedy po i pewnym czasie podobna do zabawki kolej zębata dosapała się do Zims, przykryty nisko wiszącymi chmurami świat tonął w śniegu, a mówiący po francusku i niemiecku turyści stąpali ciężko, dźwigając na ramionach kolorowe narty. Stanęliśmy przed stacją w stylu najprawdziwszego art deco, oddychaliśmy zimnym, czystym powietrzem, i jak na komendę popatrzyliśmy na siebie, a potem padliśmy sobie w ramiona.

- Och, Wyatt! Jesteś genialny! to jest wspaniałe!

Przez następne pół godziny Sophie wydawała z siebie wyłącznie okrzyki zachwytu.

Klub Śródziemnomorski posiadał ogromny, stary hotel górski wybudowany w latach dwudziestych; to był główny powód, dla którego zdecydowałem się na to miejsce, na fotografii wyglądał bowiem niczym wyjęty z marzeń Sophie.

Ale już po upływie trzydziestu minut od przekroczenia drzwi wejściowych zorientowaliśmy się, że popełniliśmy błąd. Chmary dzieci pędziły poprzez hol oraz korytarze, wrzeszcząc i skrzecząc, jakby właśnie wybuchł pożar i budynek wraz z nimi miał spłonąć. Instruktorzy oraz służba hotelowa, obnosząca na twarzach uśmiechy zombi pobudzonych zastrzykami metadryny, otaczali nas nieustannym - brzęczeniem - organizując, dyrygując, mówiąc, co mamy robić, dokąd iść, lub pytając, dlaczego nie byliśmy na nartach, sankach, łyżwach ani nie wpisaliśmy się na listę atrakcji przygotowanych dla gości przez Klub. Przy każdym posiłku decydowali za nas, gdzie mamy usiąść. Jeśli ktoś odważył się na

zuchwalstwo i zaprotestował przeciwko tej nadopiekuńczości, uśmiech momentalnie zniknął z ich twarzy, niczym mokry śnieg z szyby samochodowej, i stawali się tak nieprzyjemni, jak to tylko Francuzi potrafią. W broszurach biura podróży określano ich jako życzliwych i łagodnych; nam bardzo szybko zaczęli się kojarzyć z przewrażliwionymi i apodyktycznymi faszystami. Pod koniec pierwszego dnia pobytu przemianowaliśmy hotel na Klub Tortur.

Udało nam się przetrwać zaplanowany tydzień tylko dlatego, że okolica była oszałamiająco piękna, a my cieszyliśmy się, że jesteśmy razem. Robiliśmy piesze wycieczki, jeździliśmy na sankach i obserwowaliśmy narciarzy mknących w dół śnieżnych stoków czarnobłękitnych gór. Śnieg padał każdego dnia i co popołudnie szliśmy nieco dalej szlakiem prowadzącym głęboko w biel oraz ciszę. Odpoczywaliśmy właśnie na czarnej ławce wśród śnieżnej równiny, jedząc mandarynki, które zachowały ciepło naszych kieszeni, kiedy Sophie odezwała się:

- Zauważyłeś? Nie ma tutaj żadnego zapachu, poza aromatem naszych owoców. W dole czuć woń drzew i nawozu z obór, a tu nie pachnie nic prócz mandarynek. Uwielbiam, kiedy moje dłonie są pełne zapachu. Pewnego dnia rano jedliśmy z Dickiem w łóżku pomarańcze; zanim zorientowałam się, co robi, wziął skórki i począł wcierać je w moje ciało; były chłodne i takie gładkie. Pachniałam cudownie. Potem kochaliśmy się, cały pokój wypełnił się wonią miłości i pomarańczy. Od tej pory zawsze, kiedy jem cytrusy, przypomina mi się tamten poranek. Wiesz, Wyatt, usłyszałam ostatniej nocy coś, co skłoniło mnie do zastanowienia. Chciałam ci o tym od razu opowiedzieć, ale wstrzymałam się, ponieważ postanowiłam to najpierw sobie przemyśleć. Póki nie skończę, nie mów mi, że zwariowałam. Po kolacji, gdy czekałam na ciebie w holu - zaczęła swą opowieść - usłyszałam mężczyznę opowiadającego małej dziewczynce pewną historyjkę. Mówił po angielsku, więc z przyjemnością słuchałam. Była to bajka o człowieku, który poszedł na ryby i złowił flądre, a ta przekonała go, by wrzucił ją z powrotem do wody, wówczas spełni jego trzy życzenia.

Znasz to?

- Oczywiście. O rybaku i złotej rybce. Miałem ją w swoim programie. Spełnione życzenia zrujnowały mu życie.

- Tak, ponieważ to tylko bajka, a bajki są zawsze tak potwornie moralizatorskie. Nikomu nigdy nie udaje się niczego zyskać, a jedyne interesujące postaci to czarne charaktery. Posłuchaj, pomyślałam sobie, że mogłoby być zupełnie inaczej. Czy nie byłoby cudownie mieć partnera czy przyjaciela, z którym mógłbyś zawrzeć pakt: każde z was może zażądać spełnienia jednego życzenia. Nieważne jakiego. Twój towarzysz musiałby zrobić wszystko, co w jego mocy, nawet posuwając się do zbrodni, jeśli to byłoby konieczne, żeby je

spełnić. Chciałabym mieć taki układ z Dickiem, na pewno spodobałby mu się ten pomysł. Co ty o tym myślisz?

Wypchnąłem z powątpiewaniem językiem policzek i spojrzałem na stadko czarnych ptaków lecących nad okrywającym ziemię śniegiem.

- To pomysł godny Sophie Chapman. Chcesz podobnej umowy ze mną? Chcesz mieć taką jedną szansę?

- Ty i Dick byliście jedynymi mężczyznami, których miłości całkowicie ufałam, poza moim bratem, oczywiście. Łączy nas przecież najbliższe pokrewieństwo, więc to się rozumie samo przez się. To, o czym mówiłam, to rodzaj obietnicy, o jakiej ludzie w ogóle dzisiaj nie myślą z powodu braku zaufania, powszechności łamania danego słowa, obawy... Kto wie, czego ten drugi człowiek zażąda?

- Masz rację. Czy mówisz serio? Ślubujemy sobie zrobić wszystko, co w naszej mocy, by spełnić życzenie drugiego, no, może z wyjątkiem morderstwa?

- Nie! Robimy absolutnie wszystko, a nie to, co tylko możemy! To różnica. Wszystko!

- Poważnie? Na sto procent? - Jak najbardziej.

- Powiem ci szczerze, to pociągający pomysł, ale jednocześnie wprawia mnie w zakłopotanie i niepokój.

- Oczywiście! Mnie także. Kiedy doznałam tego olśnienia, pomyślałam o wszystkich ludziach, których znam. Komu mogłabym aż tak zaufać? Tylko tobie.

Znowu spojrzałem na ptaki. Zgodziłem się na jej układ bardziej przez wzgląd na nie niż na cokolwiek innego, nawet na moją miłość do niej i naszą przyjaźń. Bo ptaki wlatywały i nurkowały w powietrzu jak jeden, każdym uderzeniem skrzydeł okazując wierność ruchowi towarzysza. Żaden nie zastanawiał się, czy ma lecieć w lewo, ponieważ skręt w lewo był postanowiony przez ich wspólny umysł; ofiarowały sobie wierność. Pociągająca była myśl, że jeżeli kiedykolwiek czegoś rozpaczliwie zapragnę, obok mnie znajdzie się ktoś, kto uczyni dla mnie wszystko, i nawet gdyby oznaczało to katorgę i ciężką, czarną, niewdzięczną pracę, zdobędzie przedmiot mego pożądanego. Pozostawała jeszcze wiara, że to drugie nie poprosi o coś, czego nie mógłbym spełnić. Jak dwa ptaki lecące razem...

- Umowa stoi.

Kiedy uścisnęliśmy sobie dłonie, Sophie podniosła twarz do jasnego nieba i powiedziała głośno:

- Dick, jesteś świadkiem każdego słowa!

Potem wzięliśmy się za ręce i pomaszerowaliśmy w dół do Klubu Tortur.

W ciągu lat, które potem minęły, żadne z nas nie wypowiedziało formalnego życzenia. Z tego powodu owa chwila spędzona na wzgórzu utonęła pośród migawkowych zdjęć w albumie moich wspomnień. Pamiętasz tamto popołudnie? Tamtą ławkę? Tam zawarliśmy pakt; jak dzieci. Tylko że dzisiaj to nie była zabawa. Sophie zadzwoniła do agencji JMW - Jesteś Mi Winien - a ton jej głosu dobitnie zdradzał jej myśli.

- Posłuchaj, Wyatt. Jest tylko troje ludzi na świecie, którzy mają dla mnie znaczenie - ty, mój brat i jego żona. Gdybym straciła Jesse'ego, umarłaby jedna trzecia mojej miłości. Jeżeli nie zrobię wszystkiego, by go odnaleźć, znienawidzę się na zawsze. Jednak w obecnej sytuacji nie ufam sobie. Jestem zbyt poruszona, ogarnia mnie szaleństwo i w przeciwieństwie do ciebie, który jesteś mistrzem opanowania oraz systematyczności, nie mam w sobie dosyć spokoju na logiczne przemyślenia. Wiem, jak bardzo jesteś chory, wiem naprawdę. Pamiętasz przecież, że byłam z Dickiem aż do samego końca. Będę się i tobą opiekować. Przysięgnę przed Bogiem, że będę, ale musisz ze mną pojechać. Jeżeli pojedziesz... Do diabła, przecież rozumiesz, o co mi chodzi?!

- Wiem doskonale, ale nie chcę jechać. Stawiasz mnie przed wyborem pomiędzy naszą przyjaźnią a czymś, co zabierze resztkę mojego życia. Umieram, i ta podróż wyłącznie pogorszy mój stan. Tak to czuję. Jeśli się upierasz, pojedę; ale nie chcę tego i czuję się dotknięty. Nie mam nic więcej do dodania.

- Wypowiedziałeś się wystarczająco jasno. - Jej głos był równie twardy i zimny jak mój.

Wypowiedziałem na próbę różne słówka, jak „Austria” czy „pakuj swój bagaż”, jakby były ubraniami przymierzanymi przed lustrem. Żadne z nich nie pasowało już; czułem się w nich dziwne i niewygodnie. Przyjaźń czy nie - jak miałem temu podołać? Umierasz, człowieku! Ludzie z białaczką nie podrywają się nagle i nie gnają na lotnisko. Z wyjątkiem mnie.

Wiedziałem przecież, że bez względu na to, czy byłem oburzony i zły czy nie, nie pozostało mi nic innego do zrobienia. Oprócz umierania, rzecz prosta - wygodnego i bezpiecznego, w rodzinnej atmosferze i pod najlepszą na świecie opieką medyczną. Gdyby Sophie nie zadzwoniła i nie postawiła swoich warunków, jak spędziłbym resztę swych dni albo tygodni czy miesięcy? Zażywając pigułki i proszki wedle rozpisanego planu? Czytając książkę, która mnie nie interesuje, jedząc, telefonując do kogoś? Cóż za ponura wizja! Skoro uważam pozostały mi czas za tak niezmiernie cenny, dlaczego mam go spędzić w równie beznadziejny sposób? Nie chciałem towarzyszyć Sophie, ponieważ obawiałem się

pogorszenia swego stanu w podróży, w obcym kraju. A jakaż to różnica? Oglądałem ostatnio w telewizji film biograficzny o kompozytorze Fredericku Deliusie. Kiedy Delius ślepił, przyjaciele często prowadzili go przed świtem na jego ulubione wzgórze, żeby mógł jeszcze nacieszyć oczy ostatnimi wschodami słońca. Spodobało mi się to, i bez względu na to, czy rzeczywiście tak było, wierzyłem w to. Teraz sam znalazłem się w podobnej sytuacji, tylko że kiedy mnie zaoferowano szansę ujżenia wielkich i prawdopodobnie ważnych rzeczy, stchórzyłem i zacząłem skamleć. Chciałem swojego łóżka, swojego lekarza, głupiej książki na stole w pokoju, która znudziłaby mnie już po pierwszych stronicach. Gardziłem sobą za te uczucia; wiedziałem, że powinienem się wznieść ponad nie. Wybrałem się zatem na długą wycieczkę samochodem, chcąc przemyśleć to wszystko. W powrotnej drodze, kiedy przejeżdżałem przez Hollywood Boulevard, zatrzymałem się przy sklepie z zabawkami, w którym sprzedawano gumowe maski. Niestety, wszystkie ściany pozawieszane były ozdobionymi sztucznymi włosami lateksowymi podobiznami doskonale znanych postaci - Johna Kennedy'ego, Elvisa, Świętego Mikołaja... Mogłem z łatwością rozszyfrować, kogo przedstawiają, z wyjątkiem kilku ukazujących oblicza potworów z piekła rodem, z pięciorgiem oczu i karłowatymi ramionami wyrastającymi wprost ze szczytu czaszki. Niektóre były bardzo niestarannie wykonane. Nie tego potrzebowałem; dla spełnienia mego zamysłu niezbędna była zupełnie anonimowa twarz.

Człowiek prowadzący ten interes był łysiejącym facetem z nieodłącznym papierosem we wspaniałej srebrno-hebanowej cygarniczce a la Franklin D. Roosevelt.

- Czym mogę panu służyć?

- Szukam maski, ale powinna przedstawiać kogoś nieznanego, zupełnie zwyczajnego. Wie pan, co mam na myśli? To nie może być Michael Jackson ani Arnold Schwarzenegger.

- Co pan sądzi o Finkym Linkym? - Wskazał wiszącą na ścianie podobiznę, na którą właśnie spojrzałem.

To byłem ja sam, wykonany z gumy. Słynny swego czasu Finky Linky. Uśmiechnąłem się do właściciela sklepu i uścisnęliśmy sobie dłonie.

- Bardzo popularna maska w swoim czasie; zresztą nadal o nią proszą. Stworzył pan własny program i na zawsze zostanie on w pamięci wielu ludzi. To wszyscy wiemy, nie? Ale jak pan to uczynił? Oto prawdziwy sekret! Coś panu powiem, moje wnuki uwielbiały ten show, a i ja oglądałem go razem z nimi ze sto razy. Brakuje nam pana! Miał pan jedyny naprawdę dobry program dziecięcy w telewizji. Teraz są tylko japońskie kreskówki i jakieś wielkie zwierzaki, które uczą dzieci literować słowa! Ale ja się rozgadałem, a pan chce coś

kupić. Co pan sądzi o Czernience? - Jego brwi powędrowały w górę; najwyraźniej coś kombinował.

- O kim?

- Mam także Andropowa. Niech pan zaczeka, mogę prawdopodobnie sprzedać panu po dziesięć sztuk każdego.

Odwrócił się do jakichś szuflad za kontuarem, ale zatrzymał się, by zadać decydujące pytanie.

- Nie należy pan czasem do partii? Proszę nie uważać tej dociekliwości z mojej strony za brak szacunku. Ja tylko prowadzę interes, nic więcej.

- Jakiej partii? - Czuję się zupełnie skołowany.

- Komunistycznej. A co pan myślał? Niewiele mi ich zostało. Są. Tu pan ma Czernienkę, a tutaj, hop, tutaj jest Andropow. Tak jak myślałem, nadal mam każdego z nich. Niestety, prawdopodobnie będę się z nimi cackał aż do śmierci. - Wyjął maski z szuflad i wręczył mi dwie stare, anonimowe twarze z gumy. Chociaż nie wiedziałem, kogo przedstawiały, same w sobie były znakomite.

- Kim są ci faceci? Czy są sławni?

- Byli, przez pięć minut, ku mojemu najwyższemu przerażeniu. Każdy z nich był sekretarzem generalnym Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego mniej więcej przez tydzień. Nie pamięta pan? A potem oba te sukinsyny miały czelność umrzeć, pozostawiając mnie z dwudziestoma swoimi podobiznami, które miałem pecha zamówić. Kiedy natomiast Breżniew był u władzy, upłynniałem go na tony. Ludziom podobały się jego krzaczaste brwi. Jak wykitował, sprzedawałem kolekcjonerom po pięć jego masek jednego dnia. Naturalną kolejną rzeczą, pomyślałem, następny władca Rosji będzie tak samo popularny i długowieczny; więc zamówiłem dwadzieścia masek. To był Andropow. A może Czernienko nastał wcześniej? Nie wiem, zawsze mi się to miesza. To zresztą bez znaczenia. Jeden leciał po drugim, a każdy, zanim umarł, porządził tylko kilka miesięcy. Potem wybrano Gorbaczowa. I niech mi pan wierzy, tym razem nie pomyliłem się. Do dzisiaj sprzedałem całą kupę jego masek. Mnóstwo Gorbich. No tak, ale pan chce kogoś mniej znanego. Może wybierze pan któregoś z tych dwóch starych pierników. Jak powiedziałem, chętnie dołożę panu kilka po niższej cenie, byle się ich pozbyć. To specjalna oferta dla Finky'ego Linky'ego.

Finky Linky potrzebował tylko jednej maski. Wybrał Czernienkę po prostu dlatego, że trzymał go właśnie w ręku. Kiedy tylko zapłaciłem, musiałem złożyć autograf na swojej podobiznie, którą właściciel sklepu obiecał umieścić u siebie w domu na „ścianie sławy”. Wyszedłem. Po dwóch krokach włożyłem maskę na głowę, by się przekonać, czy będzie mi w

niej wygodnie. Powód, dla którego ją kupiłem, był istotny, choć prosty - wiedziałem, iż podczas czekającej mnie podróży będzie wiele takich chwil, kiedy poczuje się podle i słabo. Wtedy włożę maskę. Zawsze będę ją miał przy sobie i w razie potrzeby, gdy ogarnie mnie bezsilność lub przerażenie, nałożę ją, by skryć swój strach. Wydawało mi się to uczciwe. Będę musiał rozpoznać i zaakceptować go w pełni. Jeżeli zechce mną wstrząsnąć lub zmusić mnie do płaczu, poddam się temu na tak długo, jak długo będę nosił maskę. Kiedy strach przeminie, znów zostanę sam. Umierając, dzieliłem się na dwoje. Wyruszając w podróż, zabierałem obie swe osobowości i każdej z nich pozwalałem mieć własny czas. Jeżeli zdołam być silniejszy i będę miał trochę szczęścia, to moja słabość, zwana od teraz Czernienką, będzie pochłaniać coraz mniej czasu. Mój strach spali się w płomieniach własnej wściekłości, niczym złość dziecka, które rzuca się w napadzie gniewu na środek chodnika, kopiąc i wrzeszcząc, żeby wzbudzić w ten sposób współczucie i zwrócić na siebie uwagę świata. - Przepraszam, ale co pan, do diabła, robi? Policjant siedział na motocyklu zaparkowanym na skraju jezdni, dokładnie na wprost sklepu. Na głowie miał biały hełm, a na nosie odblaskowe okulary słoneczne. Obdarzył mnie uśmiechem, który nie należał do najmiłszych. Był to grymas człowieka, który widział już niemal wszystko i ma bardzo niewiele dobrej woli oraz cierpliwości, by poznać tę niewielką resztkę, która mu jeszcze pozostała do zgłębienia całej istoty człowieczeństwa.

- Niech pan tutaj podejdzie.

Podszedłem, nadal okazując światu Czernienkę, zamiast własnej twarzy.

- Co tutaj porabiasz, cwaniaczku?

- Kupowałem tę maskę...

- Co? Nie słyszę.

- Kupowałem maskę. Dlatego mam ją na twarzy.

- To prawda? Zdejmij to świństwo!

Kiedy wykonałem polecenie, zmarszczył czoło, jakby w głębi swego ptasiego mózdzku rozpoznawał mnie.

- Co jeszcze kombinowałeś?

To był wielki facet, ale nie wiem, czy z powodu tłuszczu czy masy mięśniowej. Kiedy wstając z siodełka, podniósł swe cielsko, skóra jego czarnej kurtki przejmująco jęknęła.

- Już panu powiedziałem, że kupiłem maskę. Niech pan wejdzie do sklepu i sprawdzi.

- Nie bądź taki przemądrzały, przyjemniaczku. Łapy połóż tutaj.

W przeciwieństwie do wielu mieszkańców miasta lubię policjantów z Los Angeles. Większość z nich to ciężko pracujący, odważni ludzie, całkiem dobrze wykonujący swą

szyfową robotę. Mają oczywiście reputację oddziałów szturmowych, ale ja, wykonując ten zawód, również zachowywałem się jak Hun. Nie będę ukrywał, że kilkakrotnie spotkały mnie drobne nieprzyjemności ze strony tych troglodytów w mundurach - twardech chłopców mających wszystkie atuty w rękę, i na dodatek świadomych tego, że i ty o tym wiesz. Pewien znajomy sprowokował kiedyś któregoś z nich i wylądował w Okręgowym Szpitalu Los Angeles z pękniętą czaszką! Piękne dzięki, to nie dla mnie.

Podał mi maskę i pozwoliłem poczuć się „królem dnia”, skoro mu na tym zależało. Są dużo ważniejsze rzeczy na świecie.

- Oho! A co to takiego? Krew? - Zsiadł z motocykla i dobył broni tak szybko, że z wielką trudnością zarejestrowałem, co do mnie mówił.

Krew? Gdzie? W masce? Skąd? Czy goliłem się dzisiaj rano? Nagle nie mogłem przypomnieć sobie najprostszych rzeczy. Ogarnął mnie strach; mocno i szybko wkręcił swą zimną, stalową dłoń w moje wnętrze. Nie pamiętałem zwykłych czynności dzisiejszego poranka. Nim owe myśli zdążyły przelecieć mi przez głowę, policjant stał już obok, przystawiając mi rewolwer do skroni.

- Ruszaj powoli, przyjacielu. Zrobisz coś nie tak, a jesteś martwy.

Podniosłem ręce do góry i pozwoliłem mu pchnąć się w stronę sklepu. Moim ciałem wstrząsały drgawki wywołane bużującymi we mnie niczym fajerwerki falami dozna nego szoku, panicznego przerażenia oraz adrenaliny. - Nie... wiem... co...

- Zamknij się. Idź prosto i nic nie mów, zanim się przekonam, co tutaj zaszło.

Co się stało? Co się teraz dzieje? Przecież kupiłem tylko maskę, pogadałem chwilę z właścicielem sklepu i wyszedłem na zewnątrz...

- Otwórz drzwi. Pchnij je powoli i ostrożnie. Zrobiłem, co kazał. Na środku wąskiego przejścia obok kasy leżało jak czarna rozgwiazda leżało ciało mojego niedawnego rozmówcy. Nie było wątpliwości co do jego stanu - głowa stanowiła krwawą miazgę. Najwyraźniej ktoś strzelił do niego i to z bardzo bliska. Cóż innego mogło spowodować, że wyglądał właśnie tak? Wkoło czerwieniły się ślady krwi - na kontuarze, kasie, ubraniu ofiary...

Kolana ugięły się pode mną, nie mogłem złapać tchu. Pół minuty wcześniej rozmawiałem z tym człowiekiem; zaledwie trzydzieści sekund temu. Co się stało? Jak to możliwe? Kiedy nastąpił napad? Nie słyszałem przecież żadnego strzału ani krzyku, a stałem dokładnie naprzeciw wejścia. Nic nie słyszałem.

Spojrzałem w bok. Leżała tam cygarniczka z ciągle tłącym się papierosem, który przeżył swego palacza - rzadki przypadek. Widziałem już wcześniej śmierć, ale nigdy dotąd z



tak bliska; nigdy tak plugawą, obrzydliwą i... świeżą. To było najwłaściwsze określenie. Powiedziałem to głośno.

- Świeża.

W tej chwili mój trzeszczący z nadmiaru wrażeń umysł wrócił na swoje miejsce i stwierdziłem, że lufa policyjnego rewolweru nadal uciska mi skroń.

- Taaa... Załatwiłeś go, chłopcze, na cacy. Rozwaliłeś jego pieprzony łeb, a potem wyszedłeś na ulicę w jednej z jego masek. Dość bezczelny z ciebie klient, co? Tupeciarz jesteś, przystojniaczku. A teraz podejdź do kontuaru, oprzyj o blat dłonie i rozstaw nogi. No, już! I nie drgnij ani na cal!

- Panie oficerze...

- Rób, co każę! Byłoby dla mnie dużo łatwiej i prościej zastrzelić cię tutaj i powiedzieć potem, że przyłapałem cię na gorącym uczynku, ale rób, co mówię, to może cię nie rozwalę! Nałóż z powrotem maskę.

- Co?

- Nałóż maskę! No, już!

Szaleństwo! Gliniarz, zastrzelony facet, a pośrodku ja - rozkraczony przy kontuarze i z gumową maską na gębie! Aresztowany pod zarzutem morderstwa!

Moje myśli biegały jak oszalałe. Do kogo mógłbym zatelefonować? Do Sophie! Zadzwoń do niej. Kto jest moim adwokatem? Nie mogłem sobie przypomnieć nazwiska. Nieważne, Sophie będzie je znać. Co mam na swoją obronę? Nic. Czy zatem umrę w więzieniu? Kiedy będą mnie prowadzić do policyjnego samochodu...

- Nie mogę w to uwierzyć! - Zdawało mi się, że to nie moje usta przemówiły, ale któraś inna część ciała. - Nie zrobiłem tego! Ja tylko kupiłem...

- Zamknij się! I zdejmij teraz maskę.

- Co? - Odwróciłem się, by spojrzeć na policjanta, który klęczał na podłodze obok ciała.

- Zdejmij maskę i patrz na ścianę przed sobą. Będę gotów za minutę.

- Dlaczego kazałeś mi ją włożyć? - Zdjąłem z głowy przedmiot naszego sporu i rzuciłem na kontuar.

Co się stało, do diabła? Sprzedawca był miłym facetem. Gawędziliśmy. A teraz on jest trupem, a ja wyląduję w więzieniu. Jak do tego doszło? Coś tu jest nie tak. Ta cała pieprzona sprawa jest nie w porządku.

- Czujesz jakąś różnicę po zdjęciu maski? - Głos gliniarza był cichy i spokojny.

- Proszę? Nie rozumiem.

- Odwróć się i spójrz na mnie!

Wykonałem polecenie. Ciało sprzedawcy zniknęło. Niczym za sprawą zaklęcia „stoliczku nakryj się” ujrzałem wszystko gotowe do pikniku - wspaniałe potrawy, śnieżnobiały obrus i czerwone wino w kryształowych kielichach. Nakrycia dla dwóch osób. Żadnego trupa; pozbawiony przeciwsłonecznych okularów gliniarz stał kilka stóp z boku. Twarz miał łagodną, oczy szeroko otwarte. Przeciętny, zdrowo wyglądający mężczyzna; nie szczególnego.

- Czy bez maski czujesz się lepiej? Strach przeminął? Siadaj, Wyatt, i napij się czegoś.

- O co tu chodzi?

- O twój plan związany z maską. Chciałeś ją nakładać tylko wtedy, gdy będziesz przerażony. To nie działa. Zobacz, co się stało, kiedy ją zdjąłeś. Czujesz się dokładnie tak samo. Nadal jesteś gotów narobić w portki ze strachu, ponieważ lęk nigdy nie jest ani przyjacielski, ani racjonalny. Musiałem ci to powiedzieć. Potem pomyślałem, że lepiej będzie, gdy ci to zademonstruję. Kiedy stajesz oko w oko ze śmiercią, przerażeniem czy troską, wszystkimi tymi wielkimi słowami pisanymi z dużych liter, nie pozbędziesz się ich ani nie spowodujesz, by zniknęły, chowając się za cudzą twarzą. Są zbyt silne i groźne. Uczynią, co zechcą. Chcesz zapewne wiedzieć, kim jestem. - Skłonił się, kładąc dłoń na sercu. - Jestem Śmierć, do usług. Czasami przychodzę wcześniej, niżby to wynikało z ustalonego terminu spotkania, dzięki czemu ludzie mogą oswoić się ze mną. Ale i tak bywa ciężko. Dlaczego nie pijesz wina? Jest znakomite; stać mnie na nie, bo mam nieograniczony kredyt! - Uśmiechnął się. - Wszystko, co najlepsze. Nasz klient, nasz pan. - Wskazującym palcem dźgnął powietrze.

To była śmierć. Kiedy raz powie ci swe imię, nie masz już żadnych wątpliwości. To jest śmierć; mówi do ciebie teraz. Przybywa, przynosząc spokój. Ty także jesteś opanowany, mimo że ona jest tuż obok.

Były policjant schylił się, podniósł z talerza kawałek zwiniętej szynki i umoczywszy ją małym słoiczku z musztardą, podniósł do ust.

- Przykro mi, że przeze mnie doznałeś zawodu w związku z maską, ale pragnąłem zaoszczędzić ci cennego czasu.

- Wiem, że umieram. Czy nie ma nadziei? Żadnej?

- Żadnej. Umierasz jak wszyscy. Większość nie ma okazji porozmawiać ze mną. Zwróć uwagę, jakie spotkało cię wyróżnienie.

- Mogę zadać ci kilka pytań? - Kiedy to powiedziałem, przypomniałem sobie nagle tego nieszczęśnika z Sardynii wpytującego śmierć, ale i cierpiącego okrutnie, gdy nie potrafił zrozumieć jej odpowiedzi. - Zapomnij o tym! Nie chcę o nic pytać, naprawdę!

Oczy policjanta zwięzły się groźnie i zawahał się na moment, rozważając coś. Oblizał wargi i ta niebezpieczna chwila drżała między nami niby cichnąca struna basowa. Potem jego twarz złagodniała ponownie i skinął potakująco głową.

- W porządku, ale ostrzegam: jeżeli poprosisz o to jeszcze raz, zgodzę się, a wiesz, jakie są warunki. - Odwrócił się z zamiarem odejścia.

- Poczekaj! Czy mogę cię jakoś wezwać, jeżeli zdecyduję się na postawienie ci pytań?

- Tak, ale pamiętaj, Wyatt, twój czas się zbliża. Jeszcze nie teraz, lecz wkrótce to nastąpi. Może byłoby warto, żebyś skorzystał ze swojej szansy? Być może zrozumiesz moje odpowiedzi. Udawało się to zadziwiającą wielu ludziom. Naprawdę. Kiedy się zdecydujesz, będziesz mógł mówić i pytać, o co zechcesz. - Wskazał uprzejmym gestem nie tknięty przeze mnie posiłek. - Czasem lepiej nauczyć się czegoś poprzez wstrząs niż perswazję. Jeszcze ostatnia sprawa. Jeżeli cię to interesuje, ten McGann, agent biura podróży, żyje. Wezwij mnie, jeżeli będziesz gotów.

- Zaczekaj, proszę! Jedno jedyne pytanie, ale bez żadnych warunków i zobowiązań. Proszę!

Skinął głową.

- Pytaj. Odpowiem, jeżeli będę mógł.

- Czy to, jak będę żył w tych ostatnich dniach... zależy wyłącznie ode mnie? To moja wolna wola?

- W zupełności. Nie mam zamiaru wpływać na nią. To twoja własna wędrówka, a ja jestem tylko ostatnim portem, ostatnią bramą. - Otworzył drzwi sklepu i wyszedł na zewnątrz.

## Rose

Bardzo często pytają mnie, jak ona wygląda nago. Dacie wiarę takiej bezczelności? Istna hucpa! Jak twoja najlepsza przyjaciółka prezentuje się bez ubrania? Poza wszystkim, to jest po prostu śmieszne, nikt bowiem, kto widział choć jeden film z Arlen Ford, nie może mieć najmniejszych wątpliwości co do jej kształtów.

Jak wygląda w stroju Ewy i jaka naprawdę jest? To dwa ulubione przez wszystkich pytania. Zatem w porządku, świecie, jesteś gotów? Jej prawa pierś jest nieznacznie większa od lewej, a sama Arlen jest niezwykle miła. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy - tego rodzaju informacje nie są interesującym materiałem, szczególnie dla dziennikarzy. Ludzie pragną smrodku i brudów, które sekretom sławnych kobiet dodają pieprzyku; chcą wiedzieć, jak wygląda, gdy się wścieka lub gdy ma zły humor, kiedy nikogo obcego nie ma w pobliżu.

Ona ma napady szału. Kto ich nie ma? Jedyłą czekoladą, którą jada, jest złota „Godiva” po cztery dolary za tabliczkę; poza tym jeździ absurdalnie drogimi samochodami. Wystarczy? Musi wystarczyć. I tak powiedziałam zbyt dużo, a ci, których to interesuje, nie usłyszą niczego więcej. Ich problem polega na tym, że nikt nie zna Arlen lepiej niż ja, więc wracają tu ciągle, mając nadzieję, iż pewnego dnia powiem o niej coś naprawdę szpetnego.

Nazywam się Rose Cazalet, jestem najdawniejszą przyjaciółką i sekretarką Arlen Ford. Co prawda odmówiła nazywania mnie tak i używa zamiast tego określeń w rodzaju „doradczyni” i „towarzyszka”, ale choć oba tytuły brzmią oczywiście lepiej, to niestety w naszych czasach otacza je delikatna aura homoseksualizmu; w związku z czym ja wolę zwykle, stare słowo „sekretarka”. Trzymając się wspomnień w porządku chronologicznym, muszę powiedzieć, iż znamy się od czasów, kiedy obie miałyśmy po piętnaście lat i chodziłyśmy do prywatnej żeńskiej szkoły w Connecticut - miejsca wówczas modnego i nie kojarzącego się z określeniem „kara boska”! W dziesiątej klasie zostałyśmy współlokatorkami pokoju w internacie. Arlen lubiano bardziej niż mnie, ale ja byłam lepsza z matmy, co ratowało nas obie. Moja rodzina była zamożna, za to moja przyjaciółka uprawiała już czasami seks; gadałyśmy o tym bez końca, i byłam nią zachwycona. Żadnej z nas nie podobało się tam. Arlen była stypendystką z Nowego Jorku i miała spędzić następne trzy lata w beznadziejnej zależności oraz niepewności co do hojności wpływowych i bogatych rodzin Bitsych i Muffych. Arlen polubiła mnie, ponieważ byłam pierwszą osobą, która powiedziała głośno, iż Bitsy’owie i Muffy’owie razem wzięci mają inteligencję spryskiwacza trawników.

Wtedy jeszcze nie była piękna. Wystarczająco ładna, ale nie miała twarzy godnej natychmiastowego zapamiętania i uwielbienia. To przyszło później, po śmierci jej matki,

która zmarła, gdy byłyśmy w ostatniej klasie. Arlen wróciła do szkoły z poczuciem przytłaczającej straty i jednocześnie już jako skończona, uderzająca piękność. Nie pytajcie mnie, jak do tego doszło. Uważam, iż większość ludzi staje się dorosłymi na skutek zwykłego dojrzewania płciowego, podczas gdy niektórzy zmieniają się pod wpływem miłości lub przeciwności losu. Arlen Ford zyskała swą twarz na skutek śmierci matki. Mogę to przysiąc.

Doskonale pamiętam, jak weszła do naszej sypialni tamtej niedzieli po powrocie z pogrzebu - była załamana, zdruzgotana, smutna i zła. Jednocześnie, niczym za sprawą artysty o makabrycznym poczuciu humoru, wszystkie te uczucia wyrzeźbiły twarz, którą dzisiaj podziwiacie.

Opuściła szkołę miesiąc później. Zbyt wcześnie, by otrzymać świadectwo, ale nie miało to znaczenia. Pewnej soboty spakowała po prostu swe rzeczy, uściskała mnie i powiedziała, że podjęła decyzję; odchodzi. Zawsze była bardzo impulsywna. Ufała swemu instynktowi, godząc się równocześnie z ewentualnymi konsekwencjami takiego postępowania. Lubię takie podejście nie tylko u niej. Nie ma znaczenia, jak wysoko skoczysz; ważne, jak wylądujesz. Bez względu na los, jaki spotkają po latach - ona wszystko zaakceptuje.

Miała osiemnaście lat, była piękna i nieszczęśliwa. Najpierw pojechała do domu. Ojciec mieszkał na Manhattanie, ale gdy usłyszał, że rzuciła szkołę, wściekł się. Doszło „wówczas do awantury, po której się wyprowadziła. Wkrótce zadzwoniła do mnie i powiedziała, że znalazła pracę jako sprzedawczyni u Bloomingdale'a na stoisku z poduszkami, a mieszka w domu YWCA. Byłam pod wielkim wrażeniem tego wszystkiego i niepokoiłam się o nią. Sprzedaje poduszki i mieszka w domu Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej? Miała szalony i godny pozazdroszczenia charakter rodem ze zwariowanych komedii lat czterdziestych: niczym Barbara Stanwyck czy też Jean Artur - dziewczyna dowcipna, rozgarnięta i znakomicie wykonująca swoją pracę. Mimo tego, co usłyszałam o drastycznych zmianach w jej życiu, nigdy nie miałam wątpliwości, że odniesie sukces we wszystkim, co zamierzy. Była moją najlepszą przyjaciółką i szczerze wierzyłam, że może dokonać rzeczy niemożliwych. To prawdziwa rozkosz płynąca z bycia młodym - beznadziejnie czysta, głupia wiara. Nie ma innej drogi prowadzącej do rozczarowań, które płyną z dokonanych w życiu wyborów!

Podczas gdy ja otrzymałam świadectwo ukończenia szkoły, Arlen przeprowadziła się do Nelsona Crispiego. Nic wam nie mówi to nazwisko? Pracował w księgarni „Plaža” i pragnął zostać dramaturgiem. To on podsunął jej książki. Wcześniej czytała jedynie

podręczniki oraz lektury szkolne; kryminały i thrillery czytywała okazjonalnie w wakacje. Nelson zaszczerpił jej uporczywą miłość i głód literatury, co okazało się potem nieocenione.

Kiedy odwiedziłam ich tamtego lata w nowojorskim mieszkaniu przy Houston Street, piliśmy gęstą od fusów kawę „Medaglia D’Oro”, którą zaparzyli w blaszanym naczyniu - niesamowitego kształtu czajniku, kupionym przez Nelsona we Włoszech. Według niego był to jedyny i najwłaściwszy sposób parzenia kawy.

Byłam pod ogromnym wrażeniem i zazdrościłam im. Wszyscy mieliśmy mniej więcej tyle samo lat, lecz oni wydawali mi się dużo starsi, bardziej swobodni. Opowiadali o życiu na Manhattanie, o ludziach, wśród których się obracają - aktorach, poetach, o bogatej kobiecie trzymającej w swym mieszkaniu żywego lisa. Nowe filmy, wytworne, a tanie restauracje, które udało się im odkryć, Fellini, Lermontow, delikatesy na Second Avenue. Słowa-klucze pozwalające przejść na drugą stronę życia, gdzie kusiły błyszczące, wspaniałe tajemnice. Zapragnęłam także w tym uczestniczyć, obracać się pośród tych tytułów, nazwisk oraz miejsc - jak Arlen i Nelson. Nie popisywali się wcale przede mną; nie potrzebowali tego robić, ponieważ to był ich naturalny styl życia, który mi tylko opisywali. Oczywiście, uwielbiając ich za to wszystko, byłam równocześnie zazdrosna jak wszyscy diabli. Także wtedy, już za pierwszym razem, wyczułam niemal namacalne napięcie unoszące się między nimi - jeżeli można to tak nazwać. Nawet osoba tak niewinna, jaką wówczas jeszcze byłam, dostrzegła jasno, iż było to pożądanie. Szaleli na swoim punkcie, ale nie polegało to na odgrywaniu wielkiego show nieustannego migdalenia się - wszystkich tych pocałunków i pieszczot na pokaz; nie, poznałam od razu swym niedoświadczonym sercem, iż oboje przeżywają wielkie święto objawionej nagle miłości.

Cóż na ziemi jest lepsze niż to właśnie? Miała rację, rzucając szkołę, a ja byłam głupia i miałam klapki na oczach. Świętoszkowata dziewczyna, która robi to, co mówi, otrzymuje dobre stopnie i budzi się w środku nocy z przerażenia zimnym potem, że nie wie, jaki ma obrać kierunek studiów. Wynik? Na jesieni usiądę znowu w szkolnej ławce na kolejne cztery lata. Po co? W tym czasie Arlen będzie mieszkać w cudownym Nowym Jorku, uczestniczyć w pociągających wydarzeniach oraz dniem i nocą uprawiać miłość ze swym pisarzem... Ja tymczasem zagłębię się w zawilości odmiany czasowników lub w geografii! W sobotni wieczór będę się modlić do Wszechmocnego o randkę. Randkę! Jak, po tym wszystkim, mogłam nadal brać poważnie podobne bzdury, skoro miałam przed sobą swą najlepszą przyjaciółkę w ramionach kochanka w ich własnym mieszkaniu i z życiem, które drwiło sobie z wakacji oraz garden-parties pod koniec tygodnia?

Wróciłam do domu jednocześnie podniecona i nieszczęśliwa. Miałam iść do college'u, żeby zadowolić swoich rodziców; postanowiłam jednak, że jeśli kiedykolwiek mnie znudzi, rzucę naukę i pójdę śladem Arlen. Teraz i ja znałam już ludzi z Nowego Jorku. Pieściłam w sobie tę świadomość niczym maskotkę, którą nosi się na szczęście w kieszeni i dotyka co chwilę. Arlen stała się moim talizmanem i wzorem - żyła tak, jak powinno się żyć.

Pozostałyśmy w bliskim kontakcie. Z rozmów telefonicznych, a potem nieskończenie długich listów dowiadywałam się o jej przygodach, nowych kochankach, podróżach, odkryciach, a wreszcie i o tym, iż sama została odkryta.

Napisano mnóstwo na temat tego, jak została zauważona - w większości naiwnie, tendencyjnie i złośliwie, a naprawdę było prosto i zwyczajnie. Nelson przeczytał pewnego razu w „The Village Voice” o otwartym naborze do niskobudżetowego filmu, który zamierzano kręcić na Lower East Side. Oto właściwy człowiek na właściwym miejscu! Film Noc jest blondynką był pierwszą produkcją Webera Gregstona i chociaż Arlen poszła tam ze swym przyjacielem bardziej dla żartu i z czystej ciekawości, otrzymała niewielką rolę. Kilka lat później w wywiadzie Gregston powiedział, iż zapamiętał ją dzięki temu, w jaki sposób przeszła przez biuro, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy.

- Bóg wie, że jest piękna, ale chodzi o coś więcej - o tę charyzmatyczną osobowość, która zmusza cię, by spojrzeć, kiedy pojawia się w pokoju. Silny magnetyzm. Może stanąć tutaj nieruchomo, a ty nie będziesz mógł oderwać od niej wzroku.

Powinnam koniecznie nadmienić, że sprawy Arlen toczyły się raz lepiej, a raz gorzej, jednak zawsze z tą samą szybkością co teraz. Zaczęła chodzić na kursy gry aktorskiej i uwielbiała to. Wtedy Nelson, z trzecią prędkością kosmiczną, osiągnął stan paranoicznej zazdrości o niespodziewany sukces. Jeżeli ktokolwiek rozumiał w tym czasie, co się dzieje i dlaczego świat zaczął nagle zwracać uwagę na jego dziewczynę, to był to właśnie ten facet, bo nie było większego fana Arlen ponad Nelsona Crispiego. Ponieważ jednak był w niej zakochany po uszy, nie chciał się nią dzielić z nikim. Było to zachowanie najgorsze z możliwych, jako że ona już mu się wymykała. Nie użyła go jako odskoczni w drodze na szczyty (jak to przedstawił w swojej obmierzłej książce, w której wysmarkał swą duszę przed całym światem), ale kiedy stał się dokuczliwym płaczkim i marudą, ich związek rozpadł się.

Pewnego zimowego dnia rozległo się natarczywe pukanie i w drzwiach mego pokoju w akademiku stanęła Arlen.

- Skąd się tutaj wzięłaś?

- Zjechałam na prowincję, by się zabawić. - Arlen otworzyła swe cudownie czarne oczy szerzej niż zwykle. - Nie ma żadnej imprezy w tym tygodniu? Przecież to college, tutaj zawsze coś się dzieje!

Przegadałyśmy całą noc, opowiadając sobie nawzajem nieznanne fragmenty życiorysów i śmiejąc się do rozpuku. Poznała mnóstwo ludzi w Nowym Jorku i naprawdę robiła wszystko to, co sobie wyobrażałam. Ironia polegała na tym, iż pomimo całej cudowności życia w Nowym Jorku spędziła wspaniały tydzień, wcielając się w rolę dawnej przyjaciółki ze szkoły.

Uważała za zdumiewające to, że rozumiem, co mówi lektor podczas zajęć z języka rosyjskiego. W czasie pokazu przezroczy z malarstwem renesansu zadawała mi szeptem tak wiele pytań na temat historii sztuki, że prowadzący zajęcia obdarzył mnie spojrzeniem zdolnym zmrozić płynącą lawę. Pomimo moich protestów uparła się, żebyśmy wybrały się na zabawę organizowaną przez korporację studencką. Nie bawiłyśmy się dobrze i szybko wyszłyśmy, ale nawet podczas tej niedługiej obecności Arlen udało się poderwać dwóch syfoniarzy, nadętych członków bractwa. Momentalnie oceniłam ich jako głupców i byłam skłonna odmaszerować przed upływem pięciu sekund, jednak ona, zachwycona możliwością konfrontacji, prowokowała ich jeszcze bardziej. Miała nad nimi bezwzględna przewagę, wystarczyło bowiem, że któryś, kiedy był już na najlepszej drodze do udowodnienia swej racji, spojrzał na nią, a gubił się kompletnie porażony jej urodą. Arlen rzucała mu spojrzenie pod tytułem „wyglądasz-niemal-jak-facet”, i gość był stracony. Działała na mężczyzn jak odkurzacz - uciekały z nich resztki rozsądnych myśli. Była świadoma tego i używała owej siły dla własnych korzyści. Kiedy wróciłyśmy do mego pokoju i rozmawiałyśmy o tym, jej słowa były chłodne i odmierzone niczym kostki lodu.

- Faceci od razu chcą iść do łóżka, a potem, być może, zechcą z tobą pogadać. Kobiety najpierw pragną porozmawiać, a potem, ewentualnie, chcą się z kimś przespać; to cała prawda, jakiej się nauczyłam. Skoro świat rządzi się tą zasadą, to w porządku, będę używać jej dla swoich celów. - Mówisz to z takim przekonaniem i spokojem, jakby w ogóle nie było porządnych mężczyzn.

- Jasne, są mili faceci. Ale pozwól, że zadam ci pytanie, które dręczy mnie od jakiegoś już czasu. Czy znasz dużo wspaniałych kobiet? Mam na myśli inteligentne, czułe istoty, z którymi dużo przebywasz, ponieważ, oprócz innych powodów, stanowią fajne towarzystwo? Które umieją interesująco rozmawiać, mają poczucie humoru i są bezkompromisowe?

- Zastrześliś mnie. Muszę się zastanowić...



- Biiip! Czas minął; przegrałaś. Potrzebowałaś prawie minuty, która powinna wystarczyć, ponieważ odpowiedź brzmi: prawie żadnej. Ani ja, ani ty nie znamy cudownych kobiet, to rzadkie ptaki. A ponieważ, ogólnie rzecz biorąc, wiemy, że i tak są one wrażliwsze i bardziej myślące od rodzaju męskiego, to wnioski nasuwają się same... Co zresztą stawia nas na straconej pozycji, gdy chodzi o znalezienie pożądanego partnera. Jak myślisz, ilu prawdziwych ludzi sukcesu czeka na zewnątrz, by zdmuchiwać pył sprzed naszych stóp?

Zdesperowane ego naiwnej i romantycznej studentki pierwszego roku obruszyło się na to.

- Nie mogę powiedzieć, żeby nasza rozmowa podnosiła mnie na duchu. Po co to mówisz? O tych wszystkich chwilach swoich uniesień? Wydaje się, że jedynym twoim problemem jest istnienie zbyt wielu mężczyzn pragnących usunąć kurz sprzed twoich stóp!

- Owszem, w drodze do łóżka. Czy jednak masz ochotę, by byli przy tobie następnego dnia, kiedy budzisz się z rozmazanym makijażem i masz, być może, wzdęcia po wczorajszej wytwornej kolacji? Chcesz spędzić z facetem resztę dnia, nic nie robiąc? Tylko czytając gazety albo spacerując, jeżeli jest ładna pogoda? Trzymać go za rękę albo nawet uszczyplnąć w tyłek nie dla jakiegoś seksualnego powodu, ale dlatego, że go lubisz? Albo czy wyobrażasz sobie spędzenie tego dnia w domu, bo jest właśnie luty i pada śnieg, a ty jesteś tak zadowolona i pochłonięta swoimi zajęciami, że na długi czas zapominasz o jego obecności? A jednocześnie wiesz jednak, że on tu jest, ponieważ tego popołudnia dodaje swoim istnieniem nieco szczęścia. To rzadkie. Najważniejsze, Rose, to uważać. Brać, co się chce, i nie pozwalać mężczyźnie, by zdobył nad tobą przewagę. Nigdy. Nawet jeżeli kochasz go każdą komórką swego ciała, to może skończyć się bardzo szybko. Nawet jeżeli wasze życie toczy się pomyślnie. Nawet gdy znasz wszystkie jego tajemnice i słabości.

Nie zdołałam skłonić jej do wyznania, dlaczego stała się tak strasznie sceptyczna i dlaczego przyjmuje pozycję obronną, co było tym dziwniejsze, gdy pomyślało się o jej obecnych sukcesach. Niestety, nie chciała ujawnić niczego więcej, i tak skończył się nasz wspólnie spędzony tydzień.

Jednym z rezultatów wizyty Arlen było to, że z nowym zapalem oddaliśmy się korespondencji. Rozmawiać przez telefon jest bardzo miło, bo można wiele spraw załatwić na gorąco, i robiłyśmy tak często, ale obie uwielbiałyśmy dostawać listy, a także próbować przelać na papier wszystko to, co było w nas najlepszego, wnikliwego i rozumnego, by zyskać uznanie i pochwałę odbiorczyni tych wyznań. Arlen odkryła kiedyś korespondencję Franka Sullivana i zaraz przysłała mi egzemplarz tej cudownej książki. Czytywałyśmy sobie jej fragmenty, uważając, iż wielkim dobrodziejstwem byłoby przejść przez życie tak jak on,

mając jedynie pióro za przyjaciela. Zróbmy tak. Przrzeknijmy sobie solennie, że raz w tygodniu, poczynając od dzisiaj, będziemy pisać do siebie listy i postaramy się, by były lepsze od wszystkiego, co udało nam się do tej pory zrobić. Była to umowa, którą pielęgnowałem. - Arlen często zmieniała pracę, uparcie kontynuując naukę gry aktorskiej i chodząc na próbne przesłuchania. W końcu przeniosła się do Los Angeles, przyjmując zaproszenie do przyłączenia się do Swift Swigger Repertory Company. Byłam załamana, że wyjeżdża tak daleko, ale po zastanowieniu doszłam do wniosku, iż wcześniej czy później musiało się tak stać. Jednocześnie zrodziła się w moim umyśle wyrachowana myśl, że jeżeli po dyplomie nie znajdę tutaj nic ciekawego, pojedę do niej i rozejrzę się, czy i dla mnie nie znalazłoby się tam jakieś zajęcie.

Tamtej wiosny zatelefonowała, żeby mi powiedzieć, że otrzymała dobrą rolę w filmie *Stojąc na głowie dziecka*. Czy muszę dodać coś więcej na temat kariery Arlen Ford? W dniu premiery została prawdziwą gwiazdą.

Poszłam na ten film nie z kim innym, tylko z Matthew Flahertym, człowiekiem, na którego czekałam całe życie; tym samym facetem, który później usiłował mnie zabić. Brzmi to niesamowicie, to prawda, ale nie ma większego znaczenia w tej historii, poza tym, że Matthew wyprawił mnie do LA dużo szybciej, niż mogłam się tego spodziewać.

Poznaliśmy się w czytelni uniwersyteckiej, gdzie przygotowywałam się do egzaminu. W pewnej chwili wyszłam do toalety. Kiedy wróciłam, przy opuszczonym przeze mnie stole stał najprzystojniejszy mężczyzna świata, trzymając moją *Historię Rosji* w piegowatych dłoniach, i wydawał się absolutnie nią pochłonięty. Był wysoki i męski. Pracował na kolei, ale wpadał do naszej biblioteki, gdy tylko miał chwilę czasu, by coś przeczytać i pomyśleć nad tym. W kieszeni dzinsów nosił zbiorek wierszy kogoś, o kim nigdy dotąd nie słyszałam. Ich strofy zwały z nóg.

*Przy tobie tracę oddech.*

*To jest tam, gorące i tajemnicze.*

*Obok twego ucha, na obojczyku.*

*Naprzeciwko twego gardła.*

Hej! Nie żartujecie? Wyszły wam gały? Byłam rozpieszczonym żółtodziobem, przekonanym na dodatek, iż dobrze wie, z której strony chleb został posmarowany masłem, skoro studiuje psychologię i ponure rosyjskie powieści. Ergo, dla tego wspaniałego kolejowego barbarzyńcy z wystającymi z kieszeni poetyckimi bredniami, który najwyraźniej

był mną zainteresowany, stanowiłam okaz doskonałej frajerki. To, że pracował jako robotnik i nigdy nie posunął się w edukacji poza szkołę średnią, rozdzierało mi serce i czyniło go w moich oczach jeszcze bardziej ponętym. Był także pierwszym kochankiem, który zauważył, że lubię seks - i zrobił dla mnie w tej dziedzinie dużo więcej niż ktokolwiek inny.

Życie stało się upojną chwilą. Tak było do czasu, kiedy zaczął mówić, iż nie lubi moich przyjaciół. By go zadowolić, nie spotykaliśmy się z nikim, gdy byliśmy razem. Małe poświęcenie z mojej strony. Spędzaliśmy czas głównie w łóżku w moim pokoju albo pędząc bez celu jego samochodem. Nie widziałam w tym nic złego - kochaliśmy się i pożąдали. Tak wyglądały nasze weekendy.

Początek końca nastąpił w pewnym barze, kiedy mężczyzna siedzący kilka stołków dalej zaczął mi się przypatrywać. Matthew trzasnął go w głowę kuflem piwa. Krew, potłuczone szkło, zamieszanie.

Byłam tak przerażona, że przez miesiąc nie odezwałam się do niego. Zostawiał przed moimi drzwiami kwiaty i prezenty, pisał listy. Starał się tak bardzo, że choć byłam przestraszona, schlebiało mi to. Zgodziłam się pójść z nim na kawę. Był niezwykle uroczy, seksowny i zachowywał się przyzwoicie. Bardzo mi go brakowało. Przechyliłam się nad stolikiem i pocałowałam go.

Zaczęliśmy od początku, ale skończyło się to pewnej ponurej nocy na tydzień przed moim dyplomem. Kochaliśmy się długo i było nam bardzo dobrze. Zmęczeni usnęliśmy niemal natychmiast potem. Nie wiem, jak długo spaliśmy, gdy obudziło mnie jego chrapanie. Było tak głośne, że aż się uśmiechnęłam. Uderzyłam go lekko w ramię, ale to nic nie pomogło. Odezwałam się, najpierw szeptem, potem głośno, a później ponownie uderzyłam go, lecz nieco mocniej. Chrapał dalej. Uśmiechając się, delikatnie ścisnęłam mu nos dwoma palcami. Odetchnął raz, w gardle mu charknęło i coś się w nim zablokowało. Poderwał się zupełnie rozbudzony. Chwycił mnie za rękę i wykręcił, aż krzyknęłam. - Nigdy mnie nie dotykaj, kiedy śpię! - powiedział i z całej siły uderzył mnie w twarz. A potem mnie zbił.

Jeżeli masz szczęście, twoje łóżko może stać się miejscem, w którym nie musisz się niczego obawiać. Zmęczenie i sen, poduszka, którą dobrze znasz, światło dostosowane do twoich potrzeb - to jest właśnie terytorium, gdzie nie musisz być czujna. Czujność pozostaw w kącie, na stosiku ciągle jeszcze ciepłego ubrania, które z siebie zdjęłaś. Holendrzy mówią, iż nie ma cudowniejszego dźwięku ponad tykanie zegara we własnym domu; moim zdaniem w swoim łóżku czujesz się jeszcze lepiej. Kiedy jednak coś pójdzie źle, kiedy popełnisz błąd, zapraszając do swego azylu niewłaściwą osobę, wówczas przychodzi największy koszmar, wydostając się z głębi czarnego snu.

Nie chcę więcej o tym mówić. Wybaczcie mi, ale nie. Bił mnie tak długo, aż zalałam się krwią, a kosmyki moich włosów zasłały pościel i przykleiły mi się do ciała. Krzyczałam bez przerwy, ale sąsiedzi, bydlaki, którym od czasu do czasu pilnowałam dziecka, nie zrobili niczego przez dobre pół godziny. A może przez trzy kwadranse? Nie wiem. Minęła cała przerażająca wieczność, podczas której stłukł mnie na kwaśne jabłko, zanim wreszcie zjawiała się policja. Kiedy weszli, zastali Matthew na kolanach u moich stóp, błagającego wśród łkań o przebaczenie. Proszę, proszę, proszę... Kocham cię nad życie. Och, moje kochanie!

Wypuścili go dwa dni później. Pierwsze kroki skierował do mego mieszkania. Siedziałam w domu, nie mając ochoty obnosić po świecie obitej gęby. Otworzył drzwi kluczem, który dałam mu z okazji pierwszego wspólnie spędzonego miesiąca.

- Rose, złotko, wróciłem! Jesteś w domu?

Dokładnie tak powiedział! Gdy tylko go usłyszałam, zaczęłam krzyczeć, a on wpadł do sypialni, złapał mnie za nogi i próbował wyrzucić przez okno. Tym razem sąsiedzi zadziałali dużo szybciej, ale i tak nie dosyć prędko jak na błyskawiczny rozwój wypadków, W ciągu kilku minut, które policjantom zabrało dotarcie na miejsce, mój kochanek chwycił mnie za gardło, zdarł ze mnie spodnie od dresu i rzuciwszy na ziemię, zaczął gwałcić. Przypomniałam sobie nagle, że gdzieś na podłodze powinien leżeć czarny pantofel na wysokim obcasie od pary, którą niedawno kupiłam. Chciałam wystąpić w tych butach na uroczystości absolutoryjnej. Przymierzałam szpilki przed lustrem dokładnie w tej samej chwili, w której jego klucz zgrzytnął w zamku, a on sam zawołał mnie po imieniu. Nie wybierałam się na promocję, bo twarz miałam niczym befsztyk, ale buty były nowe i przemierzanie ich w bezpiecznych ścianach mojej małej sypialni sprawiało mi przyjemność. Leżąc na plecach, kasłając od uderzenia w krtań, poczułam w sobie jego wytrysk. Oczy miał zamknięte, a na twarzy wykwitł mu wyraz błogości. Odwróciłam się. Niemal nie oddychając, dostrzegłam but. Moja ręka sięgnęła i chwyciła go. Zamachnęłam się na Matthew z całych sił. Raz, drugi, trzeci. Podczas kolejnego uderzenia nie poczułam prawie żadnego oporu - ani twardej kości, ani napiętej skóry... Matthew zamarł, po chwili rozległ się jego okropny krzyk, a potem padł na mnie, ciągle wrzeszcząc. Zakończony metalową skuwką obcas trafił go dokładnie w prawe oko, wbił się w delikatne niczym meduza ciało szkliste będące lampą jego mózgu - i zgasił ją.

Bóg ma w swej opiece ofiary gwałtu. Zranione dusze, które widziały twarz prześladowcy z tak bliska, iż nigdy jej nie zapomną, czuły na sobie zachłanne ręce, gorący oddech i wiedziały, że są bezsilne i pozbawione nadziei, które nie mogą iść do łazienki ani powitać tam ponownie kochanka bez przymusu wspomnienia. Raz moje ciało nie należało do

mnie. Ktoś zły zabrał je i nigdy mi go nie oddał. Niech was Bóg błogosławi. Wiecie teraz tyle co i ja.

Zatelefonowałam do Arlen. Przyleciała natychmiast, by być ze mną; prawdziwa przyjaciółka. Troszczyła się o mnie i zajmowała wszystkim. Nalegała, bym pojechała z nią do Kalifornii. Kusila słońcem i lenistwem, którymi mogłam się cieszyć, tak długo, jak tylko będę miała na to ochotę. Życie w Los Angeles opisywała jako mariaż nieustającej randki z najwspanialszym żarciem świata. Nie do końca wiedziałam, co przez to rozumie, ale czy miałam inny wybór? Dyplom, a potem, kiedy znikną mi spod oczu czarne sińce, bym nie musiała niczego tłumaczyć, powrót do domu i zwykłe życie. Wszystko, co znałam, skończyło się; to, w co wierzyłam, odeszło lub umarło. Arlen miała przerwę pomiędzy zdjęciami i cały swój czas poświęcała mnie. Pokazywała mi osobliwości miasta oraz starała się, żebym jak najszybciej przysłała do siebie. Ironia sytuacji polegała na tym, że już po dwóch tygodniach spędzonych w Kalifornii nie potrzebowałam żadnej zachęty ani pomocy. Byłam zachwycona pobytom tutaj i ożywiona pragnieniem poznania wszystkiego. Dzięki jej przyjaciołom dostałam pracę w dziale reklamy jednej z wytwórni filmowych. To było interesujące, szalone i zadziwiająco odpowiedzialne zajęcie. Zawiązałam nowe przyjaźnie i pomimo że ciężko pracowałam, zaczęłam umawiać się na randki.

Za zgodą Arlen nadal mieszkaliśmy razem. Czuliśmy się ze sobą doskonale i, jak to się często zdarza z ludźmi, których kariery rozbłyskują niczym meteory, lubiła przebywać z kimś, kto znał ją wcześniej i wciąż kocha.

Zagrała jednocześnie w dwóch filmach - w Leniwej twarzy i Matce perel. Krytycy zarzucili obu rolom jednowymiarowość. Arlen powiedziała mi, iż łatwo jest popełnić błąd wobec siły jej talentu. Dodała, że jest szczęśliwa i będzie to trwało tak długo, jak długo uda się jej pracować tylko z wielkimi reżyserami - skryje się pod ich skrzydłami, a oni bezpiecznie ją poprowadzą. Ku konsternacji jej agenta, Rolanda Jacobsa, przyjęła rolę w filmie Królestwo Jonesa u nie znanego nikomu angielskiego reżysera, któremu udało się oczywiście spieprzyć robotę, choć nie rolę Arlen. Kiedy wróciła z plenerów w Austrii, wyznała mi, że zakochała się w Wiedniu i gdyby miała dosyć pieniędzy, kupiłaby tam dom.

Jedną z niewielu rzeczy, której nigdy nie mogłam w niej zrozumieć, mimo że rozmawialiśmy bez końca o tym, jaki powinien być Pan Doskonały, był jej gust w doborze mężczyzn. O ile teoretycznie byliśmy w większości zupełnie zgodne co do jego przymiotów osobistych, o tyle Arlen wdawała się później w związki z najbardziej dziwnymi i nudnymi facetami - z gwiazdami rocka mogącymi pochwalić się większą liczbą tatuaży niż szarych

komórek czy z aktorami i showmanami, którzy spoglądali co chwilę do lustra i dostawali szału, jeżeli choć przez moment nie znajdowali się w pobliżu telefonu. Często umawialiśmy się na kolację i nasze rozmowy nieodmiennie krążyły wokół nowych diet, nowych sposobów obniżenia podatku dochodowego, nowych cudownych prochów i nowo odkrytych osobistych guru. Zgadzała się ze mną, kiedy jej mówiłam, że mogłaby lepiej pokierować swym życiem, ale niedługo potem kolejny typek ostrzyżony podług mody rodem z wystaw koni rasowych przytaczał się przed nasze drzwi przestarzałą cebra.

Kiedy Arlen kręciła w Austrii, zaczęłam się spotykać z jej agentem Rolandem. Był sporo ode mnie straszny, co wprawiało mnie z początku w zakłopotanie, kiedy sprawy pomiędzy nami przyjęły poważniejszy obrót. Gdy wróciła, opowiedziałam jej wszystko; uściskała mnie i powiedziała, iż jest zazdrosna. Zapytałam, czy kiedykolwiek było coś między nimi, ale z uśmiechem machnęła tylko ręką.

- Chciałam tego. Robiłam nawet pewne podchody, dawno temu, ale najdelikatniej jak umiał powiedział mi, że nie jestem w jego typie. Jesteś szczęściarą!

Jedyna historia, którą chcę opowiedzieć o człowieku, którego poślubiłam, dotyczy naszej pierwszej rozbieranej randki. Zawsze miałam bardzo nieregularny okres; tak bardzo, iż nie wychodziłam z domu bez tamponów na dnie torebki. Bóg mi świadkiem, że nie zgodziłabym się oddać Rolandowi tej nocy „na jeźdźca”, gdybym wiedziała, że to przyjdzie właśnie wtedy; ale przyszło, wprawiając mnie w diabelne zażenowanie. Normalnie coś takiego nie przeszkadzałoby mi, nawet z nowym partnerem. Kochaj mnie, kochaj moje ciało i to, w jaki sposób funkcjonuje. Do rzeczy; moment, w którym idzie się z kimś pierwszy raz do łóżka, to cholernie delikatna chwila. Szczególnie jeśli zdarza się to po brutalnym gwałcie.

Dokładnie w czasie tej cudownej i oczekiwanej chwili poczuliśmy nagle oboje dużo więcej wilgoci, niżby się należało spodziewać. Światła były zgaszone; sięgnęłam w poprzek łóżka i włączyłam lampę. Poślanie wyglądało jak miejsce jakiejś jatki; krew czerwieniła się wszędzie. Zerwałam się i pobiegłam do łazienki po ręcznik i gąbkę, a tak naprawdę chciałam uciec z sypialni i się ukryć. Stojąc na zimnych, białych płytkach podłogi, chwyciłam się za głowę i zawodziłam bez końca:

- Nie do wiary! Nie wierzę, że przytrafiło mi się to właśnie teraz!

Kiedy zdobyłam się wreszcie na odwagę, by wrócić do sypialni, Roland zdejmował właśnie z łóżka pościel i zwijał ją, pogwizdując pod nosem. Gdy mnie ujrzał, rzucił toból na ziemię i rozpostarł szeroko ramiona niczym śpiewak operowy.

- Uwielbiam heroiczne kobiety - powiedział.

Rano musiał wyjść bardzo wcześnie na umówione spotkanie. Kiedy kilka godzin później otworzyłam frontowe drzwi, żeby wziąć gazetę, znalazłam na progu ogromne pudło po proszku do prania Tide wypełnione setką czerwonych róż. Dołączony bilecik zawierał cytaty z Anny Kareniny, mojej ulubionej powieści, a nabazgrany był niestarannym pismem Rolanda: „Jego serce zamarło w oczekiwaniu nadchodzącego szczęścia”.

Kilka miesięcy później Arlen zapytała, czy zgodziłabym się zostać jej osobistą sekretarką lub doradczynią, czy jak tam inaczej zechcę to nazwać. Obiecywała trzykrotnie wyższe wynagrodzenie niż miałam dotychczas. Praca byłaby może absorbująca, ale niezbyt trudna. W większości moje nowe obowiązki byłyby podobne do zadań, które wykonywałam w wytwórni. Z początku wahałam się, ale mieszkałam z nią wystarczająco długo, by wiedzieć, iż wraz z tym, jak będzie się cieszyć większą sławą, coraz trudniej będzie się jej obronić przed wścibskim światem, który nigdy nie zatrzyma się dla niej na wystarczająco długo, by przestała cierpieć na wywoływany przezeń zawrót głowy. Bezspornie potrzebowała pomocy; ode mnie lub kogokolwiek innego.

Podczas kolacji Roland, od którego spodziewałam się pomocy w podjęciu decyzji co do pracy dla Arlen, najspokojniej w świecie, ignorując tamtą sprawę, zaproponował mi małżeństwo. W tym szczególnym momencie, powiedział, nie może troszczyć się o los Arlen Ford; bardziej zajmuje go nasza przyszłość i jest to jedyna rzecz, o której chce mówić. Odparłam, że od dawna jestem gotowa go poślubić. Zamilkł z wrażenia. Jednak później, po wielu uściskach i licznych toastach spełnionych wysmienitym szampanem, wróciłam do nurtującej mnie kwestii, cytując przysłowie o tym, iż pracę należy wybierać dużo ostrożniej niż współmałżonka, ponieważ będzie się w niej spędzać więcej czasu niż w jego towarzystwie.

Oczywiście wiązało się z tym pewne niebezpieczeństwo, szczególnie teraz, gdy zdecydowałam się na małżeństwo z Rolandem. Związek nas trojga stawał się tym samym bardziej intymny. Albo klaustrofobiczny. Ostatecznie przyjął tę propozycję - głównie dlatego, że byłam Arlen niezbędna. Nigdy, nawet przez moment nie zapomniałam, co zrobiła dla mnie, kiedy ja jej potrzebowałam. Ustaliliśmy okres próbny; po sześciu miesiącach, jeżeli nasza współpraca nie zda egzaminu, każda z nas może się wycofać z układu. Arlen obstawała przy pełnej, półrocznej kadencji, chociaż wiedziała jak i ja, że już połowa tego okresu wystarczy, byśmy mogły stwierdzić, jak się nam wspólnie gra przeciwko reszcie świata.

Z pół roku zrobiło się siedem lat. W tym czasie, pośród smutków i radości, nauczyłam się dwóch rzeczy. Pierwsza to nieufność do ludzi używających w kontaktach zawodowych dwojga imion; tych wszystkich Marków Garych Cohenów, Susanne Britanny Marlow czy Bła

Bla Smithów. Zanim dochodzimy do podobnych wniosków, przez zbyt długi czas okazuje się, iż kiedykolwiek mamy do czynienia z taką „trylogią”, zawsze wynika z tego jakieś nieszczęście. Lekarz odbierający mojego syna nosił dwa imiona - o mało nie umarłam podczas porodu z powodu jego ignorancji. Arlen wplątała się w układy z kilkoma producentami obnoszącymi dumnie oba imiona - filmy te okazały się katastrofą lub w najlepszym wypadku zapomniano o nich po tygodniu.

Drugą nauką, którą wyniosłam z tamtego okresu, było przekonanie, że nie należy próbować chwycić czegoś, co się upuści, zanim spadnie na ziemię. Niech leci; w przeciwnym wypadku można na przykład złapać nóż za ostrze i dotkliwie się pokaleczyć. Oczywiście ma to zastosowanie także do ludzi, łącznie ze mną. Podczas owych siedmiu lat przeżyłam jeden romans i nie zwracałam uwagi na męża, który usiłował powstrzymać mnie przed pograżaniem się w nieuczciwości oraz rażącej bezmyślności, raniącej kochającego mnie człowieka. Skończyło się to dopiero wówczas, kiedy stwierdziłam, że rozbiłam się niczym kruchy wazonik o podłogę - w sposób absolutnie samolubny i na własne życzenie. Ocalałam, choć wcale na to nie zasłużyłam. Ironia całej sprawy polegała na tym, że to ja właśnie byłam osobą mającą powstrzymać przed podobnymi wypadkami (i upadkami) Arlen Eord. Świat filmu tworzą ludzie nieprawdopodobnego wręcz sukcesu, którzy nigdy do końca nie wierzą, że ich zwycięstwa są rzeczywiste. Jeśli sądzić po niespodziewanych i często chwilowych obrotach koła fortuny na szczytach popularności, mają rację, iż nie czują się pewnie.

Szczególnie dobrze pamiętam jeden wieczór, kiedy towarzyszyłam Arlen na przepełnionym samymi znakomitościami party w Malibu Golony. Największe tuzy show-biznesu zgromadziły się w głównym salonie. Na pierwszy rzut oka ludzie ci sprawiali wrażenie ubranych w dzinsy bogów, wymieniających się zabawnymi historyjkami, jednak wokół ich ust widoczne było wyraźnie stałe napięcie, w jednej chwili gotowe zmienić się w wymuszony uśmiech. Ich anegdotki były wyborne, a każda następna musiała być lepsza i śmieszniejsza od poprzedniej; nikt nikogo nie słuchał - wszyscy zastanawiali się nad tym, co sami za chwilę powiedzą, by rzucić pozostałych na kolana. Było wręcz udreką patrzeć na nich, gdy tak wysilali się, zabiegając o poklask i uwagę; zdawało się, iż każdy pragnie wyssać całe powietrze z pokoju. Wstałam i wyszłam na zewnątrz.

Niespodziewanie podobna przypadłość dotknęła także Arlen. Karierę zrobiła dzięki talentowi i urodzie, jednak najpierw środowisko, a potem reszta świata powiedziała: „No, fajnie, ale co jeszcze masz dla nas?” Arlen oburzyła się: „Dałam wam już wszystko, co miałam najlepszego! Jak możecie żądać więcej?!” Oponenci ucichli, ale nadszedł czas, kiedy



jej nowe filmy nie robiły już takiej kasy jak poprzednie, a ludzie zaczęli o niej mówić w czasie przeszłym.

Wpadła w panikę; jej życie osobiste zaczęło przypominać rozpędzoną kulę w kręgielni. W rezultacie rozterek z powodu wciąż nowych przygód i kochanków wylądowała na leczeniu odwykowym na skutek nadużywania kokainy. Kolejne dziwacznie nierozważne posunięcia doprowadziły do tego, że znalazła się na okładkach brukowych magazynów, co zaowocowało załamaniem, furią i depresją. Pamiętam jej zdjęcie z rzymskiego lotniska, z grymasem złości na twarzy i z pięścią wymierzoną w fotoreportera... Czy to naprawdę była Arlen Ford, gwiazda kina? Ta staro wyglądająca histeryczka? Czy to była kobieta, którą chciałoby się być lub ją mieć? Staczała się, dając publice wszystko to, czego tamta się domagała; wystarczająco dużo, by ją ponownie zainteresować swoją osobą, tyle tylko, że tym razem swoimi skandalizującymi postępami. Pokazała, że jest człowiekiem jak oni, a ludzie zawsze lepiej się czują we własnym towarzystwie niżli bogów.

Wielki finał nastąpił nie za sprawą śmierci czy narkotyków, lecz z powodu kanapki z tuńczykiem. Pewnej nocy, zapaliwszy światło w salonie po powrocie z przyjęcia, Arlen odkryła w swoim mieszkaniu siedzącą na sofie kobietę w średnim wieku z zapakowaną w folię kanapką z tuńczykiem w jednej ręce i łomem, za pomocą którego włamała się do domu, w drugiej.

- Wyglądasz tak marnie w swoich filmach, Arlen - powiedział niespodziewany gość - iż pomyślałam sobie, że będzie ci to smakować. Zajadaj!

Teraz już nawet jej rezydencja przestała być bezpiecznym schronieniem. Szczęśliwie Arlen uczyniła coś bardzo mądrego: rzuciła wszystko i na rok wyjechała zupełnie sama do swego ukochanego Wiednia. Na obrzeżach Weidling, sennej, małej wioski oddalonej o około sześciu mil od miasta, kupiła przepiękny dom, klejnot Jugendstilu. Znajdował się na wzgórzu pośród winnic, skąd rozciągał się panoramiczny widok na wstęgę Dunaju. Domek był cudny, ale w stanie kompletnej ruiny, i doprowadzenie go do stanu używalności pochłonęło prawie drugie tyle środków, ile kosztował.

Listy Arlen z tamtego okresu (na początku nie życzyła sobie żadnych telefonów, chyba że w nagłej potrzebie) dotyczyły wyłącznie pokonywania przeszkód związanych z remontem domu w obcym kraju, którego języka prawie w ogóle nie знаła. Farbowała włosy henną, nie malowała się i jeździła cztery razy w tygodniu do Berlitz na kursy niemieckiego dla początkujących. Kiedy nie doglądała postępów budowy lub nie studiowała odmiany czasowników, podróżowała po Austrii swym nowym samochodem. Jej opisy zakupów wina w niewielkich miasteczkach w pobliżu węgierskiej granicy, takich jak Rust czy Oggau,

można nazwać klasycznymi. Pewnego śnieżnego grudniowego wieczoru jadła pieczeń z dzika w tyrolskiej restauracji, której tradycje sięgały piętnastego wieku. Zdecydowała się na spływ kajakiem w dół Dunaju; podziwiała wówczas zamki i ruiny, w których niegdyś więziony był Ryszard Lwie Serce. Opisywała, jak w czasie jej podróży na wąskich, górskich drogach zatrzymywały ją konne zaprzęgi z sianem lub dzieci prowadzące przy wtórze dzwonek stada dorodnego bydła. Wkrótce wśród mieszkańców wioski znalazła przyjaciół: parę prowadzącą tamtejszy kiosk oraz starego sokolnika z Wienerwaldu.

Niektórzy miejscowi wiedzieli, kim jest, choć większość nie miała najmniejszego pojęcia; zresztą nikt specjalnie się tym nie interesował. Jedną z zalet życia w Austrii był fakt, iż mieszkańcy tego kraju generalnie nie ulegali urokowi żadnych sław, może z wyjątkiem dyrygentów orkiestr czy śpiewaków operowych. Leonarda Bernsteina lub Jessye Norman nagabywano o autografy, Arlen Ford nie. W jednym ze swoich listów pisała:

*Żyjąc tutaj, czuję się czasami jak dziecko, które schowało się przed rodzicami pod kołdrę. Wiem, że będą się złościć, kiedy mnie znajdą, ale na razie jest mi przytulnie i czuję się bezpiecznie. Mam wrażenie, że jeżeli zostanę tu dłużej, to może nigdy mnie nie odkryją.*

Pobożne życzenia. Jej zniknięcie zostało bardzo szybko zauważone i podniosła się wrzawa. Po jednej z takich awantur wywołanych pogłoską o jej przypuszczalnym samobójstwie, Roland zwołał konferencję prasową i ogłosił, iż Arlen cała i zdrowa podróżuje po Europie. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć. Jedni szeptali, że poddała się leczeniu odwykowemu, chcąc rzucić narkotyki; drudzy, że Arlen umiera na raka w klinice Mayo. Jeszcze inne plotki twierdziły stanowczo, że wyszła za mąż i mieszka w Oslo. Posłałam jej wycinki z gazet. Przyszła odpowiedź:

*W końcu oni wszyscy mają rację. Proszę, zapytaj Rolanda, czy sądzi, że gdybym w Oslo wyszła za mąż, byłoby to dobre posunięcie w mojej karierze?*

Martwiliśmy się o nią, ale byliśmy także przekonani, że choć daleko stąd, jest szczęśliwa w swoim anonimowym życiu.

Podczas jej nieobecności nie brakowało oczywiście propozycji nowych ról filmowych. Roland cały czas wysyłał niezliczoną liczbę listów do Europy, przedstawiając w nich nieprzebrane oferty pracy, wabiące iście książęcymi honorariami. Jej odpowiedź niezmiennie brzmiała: nie. Była zbyt zadowolona ze swego obecnego życia, zbyt pochłonięta remontem

domu i ciągle jeszcze nie przygotowana do powrotu. Podczas jednej z rozmów telefonicznych zapytałam ją wprost, czy sądzi, iż kiedykolwiek będzie gotowa.

- Nie bądź jędrą, Rose, bo pomyślę, że nie jesteś prawdziwą przyjaciółką!

Miała rację i poczułam skruchę, zanim uświadomiłam sobie, że wcale nie zadałam jej tego pytania złośliwym tonem. Po prostu chciałam wiedzieć, czy ma w ogóle zamiar wrócić na plan filmowy. Ponieważ Roland przysłuchiwał się naszej rozmowie, zapytałam go, czy uważa, iż w moim głosie było coś nieprzyjaznego lub oskarżycielskiego. Zgodził się ze mną, że nie; jego zdaniem uwagę Arlen wywołały wyrzuty sumienia wynikające z tego, że rzuciła wszystko i uciekła od życia, jakie było marzeniem milionów ludzi. - Tak, ale to życie zabijało ją.

- Może tak, może nie. - Roland wzruszył ramionami. - Nie zapominaj, że poczucie winy nasila się z czasem. Z jednej strony jest teraz szczęśliwsza, ale przecież oboje znamy jej talent i możliwości. Nie ma znaczenia, jak bardzo absorbuje ją naprawa drzwi czy sadzenie róż; prawdopodobnie cały czas coś ją ciągnie przed kamerę. Im bardziej aktor jest utalentowany, tym więcej głosów rozbrzmiewa w jego wnętrzu, nie zgadzając się na to, co aktualnie robi. - Bzdura! Dlaczego ktokolwiek ma się czuć winny z tego powodu, że jest szczęśliwy?

Roland podszedł i objął mnie. Poczułam dobrze znany, kochany zapach i ciężar podbródka na swym ramieniu.

- Prawdziwe szczęście nigdy nie trwa długo. Jeżeli zawitało na dłużej niż tydzień lub miesiąc, ciemna strona naszej duszy podnosi alarm: Pali się! Człowiek za burtą! Dzwoncie po gliny! Patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

- Wierzysz w to? - zapytałam.

- Tak. - Pocałował mnie. - Wszyscy pragniemy szczęścia i bardzo o nie zabiegamy. Ale kiedy już przyjdzie, zaczynamy rozglądać się trwożnie za rachunkiem, jaki nam przyjdzie za nie zapłacić.

Nie znosiłam tych myśli. Roland miał absolutną rację, więc tym bardziej ich nienawidziłam. By w jakikolwiek sposób powstrzymać to wszystko, co jeszcze prawdziwego i bolesnego miał zamiar powiedzieć, położyłam rękę na jego ustach i przywarłam wargami do grzbietu swej dłoni. Staliśmy tak, patrząc na siebie.

Gdy remont domu dobiegł końca, Arlen zaprosiła nas, byśmy spędzili z nią parę tygodni w Austrii. Roland, jak zwykle, miał pracy po uszy i powiedział, że jest absolutnie niemożliwe, by mógł teraz wyjechać. Zawzięłam się i wytoczyłam przeciwko niemu tyle

armat, iż zgodził się na kompromis - dziesięciodniową wycieczkę do Europy. Polecieliśmy bezpośrednio do Wiednia, gdzie na lotnisku czekała na nas osobliwie opanowana panna Ford. Oboje z Rolandem spodziewaliśmy się, że będzie wylewna, pełna radości życia i energii, której brakowało jej w Kalifornii. Było to logiczne przypuszczenie, zważywszy na jej skrzące się dowcipem, pełne zapachu listy. Jednak podczas jazdy z lotniska zachowywała się bardzo powściągliwie, odpowiadając na nasze pytania niemal wyłącznie monosylabami. Czułam się rozdarta pomiędzy chęcią zwiedzenia Wiednia a żądzą natychmiastowego dowiedzenia się wszystkiego o nowym życiu Arlen Ford. Przyglądałam się uważnie, jakby jej twarz miała mi zdradzić wszelkie tajemnice. Już fryzura stanowiła szok i jakąś wskazówkę, tyle iż nie mogłam dociec jaką. Arlen była ostrzyżona krótko niczym mężczyzna. Spoglądając na jej nowy profil, nie od razu można było rozpoznać dawną, sławną Arlen Ford. Zmarszczki, mające swe źródło w tysiącach razy powtarzanym makijażu, nie zniknęły, ale stały się jakby łagodniejsze. Jakkolwiek toczyło się jej europejskie życie, nie ukazywała światu tego samego oblicza, które obnosiła w Hollywood; wydawało mi się, iż jest piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

Kiedy jechaliśmy wzdłuż Dunaju do jej oddalonego jeszcze o kilka mil domu, siedzący z tyłu Roland pochylił się do przodu i tuż za moimi plecami powiedział:

- Kiedy cię słucham, Arlen, wydajesz mi się taka jak dawniej, ale wyglądasz niemal na świętą. Prawdopodobnie z powodu spartańskiego życia, jakie tutaj prowadzisz. Spojrzała na niego we wstecznym lusterku i zacisnęła na chwilę wargi.

- Zdarzyło się tutaj wiele rzeczy, o których muszę wam opowiedzieć. Wiecie oboje, jak bardzo was kocham, ale to takie dziwne znowu być z wami. Wy to Ameryka i Los Angeles, a tutaj jest Wiedeń. Czuję się tak, jakbym ostatnie miesiące przeżyła w klasztorze, a dziś jest pierwszy dzień, kiedy mogę przyjąć odwiedzających.

- Tak, dla nas, ludzi przemysłu filmowego, nadal jesteś gwiazdą kina, Arlen Ford. Dla Wiednia jesteś siostrą Marią Teresą!

- Dokładnie tak! Chociaż nie do końca, ponieważ w domu czeka Weber Gregston. Jest tutaj już od kilku dni. Wdarł się do zakonu i wyciągnął mnie na światło dzienne przed waszym przyjazdem.

- Weber jest tutaj? Po co?

- Chce mnie zaangażować do swego nowego filmu. - A ty powiedziałaś: nie.

- Roland, niech to diabli, to może być zbyt dobra rola, by pozwolić, żeby mi przeszła przed nosem.

Roland ujął mnie za kark i lekko uszczypnął.

- Porozmawiamy o tym teraz, czy powinniśmy poczekać, aż minie mi atak apopleksji?

- Zaczekamy i pogadamy wszyscy razem. Chcę, by Weber był przy tym. On także jest częścią rodziny. Ale jeszcze nie teraz. Macie ochotę obejrzeć szpital, w którym umarł Franz Kaika? To w pobliżu.

W Wiedniu była zupełnie inną osobą niż ta, którą gnałam do tej pory. Pierwszą wskazówkę stanowił jej dom. Wnętrze było tak puste, że momentalnie ścierpła mi skóra. Jej mieszkanie w Los Angeles wypełniały bibeloty i pamiątki pochodzące zewsząd - z pchlich targów, sklepów z antykami, z krajów, w których kręciła filmy. Podobał mi się ten sposób uzewnętrzniania własnego „ja” i pewnej ekscentryczności. W porównaniu z hollywoodzką wiedeńską posiadłość wydawała się wręcz surowa. W salonie znajdowała się kanapa pokryta czarną skórą i wspinały czarno-biały chiński dywan; poza tym było tak przestronnie, że można by grać tutaj w kręgle. Jednak w zderzeniu z pozostałymi pomieszczeniami wyglądał na równie ciasny i zagracony jak nie cieszący się wzięciem meblowy salon wystawienniczy. Podłogi pokrywały pyszne parkiety, a ściany pomalowano bielą chmur. W rogu jej pokoju przycupnął samotnie odbiornik telewizyjny. Arlen lubiła oglądać wiadomości, by się przekonać o swoich postępach w nauce niemieckiego. Gdzie jednak było miejsce na ubrania? Gdzie się podziały wysokie stosy książek, które znajdowały się w każdym jej mieszkaniu? Gdzie radio? Pióra i ołówki? Garnki i patelnie? W kuchni znalazłam tylko jeden rondel i jedną patelnię! Gdzie reszta przedmiotów, które służą człowiekowi w każdym dniu jego życia? Nie zapytałam, bojąc się usłyszeć, iż w ogóle nie ma tutaj tego wszystkiego.

Kiedy obejrzelśmy już całe domostwo, powiedziałam jej, iż przypomina mi scenografię do dokumentalnego filmu o buddyzmie zeń. Pokiwała głową; spostrzegłam po jej twarzy, iż jest usatysfakcjonowana tą uwagą. Nie mogłam się powstrzymać od zapytania, czy ma zamiar dokupić jakieś meble albo chociaż obrazy, by przyozdobić puste ściany. Odparła, że nie; dom jest taki, jaki ma być. Czują się w nim dobrze, posiadając tylko rzeczy absolutnie niezbędne.

Na szczęście pojawił się Weber, inaczej bowiem stalibyśmy w nieznośnej ciszy, która nadeszła niespodziewanie szybko po naszym przybyciu do tego domu. Weber z trudnością panował nad długą smyczą, na której drugim końcu ujrzałam czerwonozłotej maści szczeniaka, składającego się niemal wyłącznie z długich nóg. Zwierzę zgiełkliwe miało się po śliskiej podłodze. Zanim mieliśmy okazję cokolwiek powiedzieć, Weber odpiął smycz i pies na rozjeżdżających się łapach ruszył ku nam z największą chyżością. Najpierw rzucił się z radosnym powitaniem na Arlen, potem podskoczył, odwrócił się do mnie, podskoczył,

zaatakował Rolanda, podskoczył... znów do Arlen, i wrócił do Webera... Rozpierała go dzika radość, jaką tylko psy potrafią odczuwać na widok nowych twarzy. Jak się okazało, była to suczka o imieniu Minnie, którą Arlen kupiła pod wpływem chwilowego impulsu podczas podróży do Sopronu na Węgrzech. Radość, jaką czerpali moi przyjaciele i pies z patrzenia na siebie, była obopólna. Nie jestem miłośniczką zwierząt, ale dopóki reszta świata przepada za nimi, trzymam język za zębami. Przyznaję, że ilekroć widzę kogokolwiek wodzącego bezmyślnie wzrokiem za psem, kotem czy innym czworonogiem, pozostaję zupełnie obojętna albo czuję nieokreśloną odrazę czy też podejrzliwość wobec tej adoracji.

Nie widzieliśmy się z Weberem całe wieki. Poza tym, iż stanowił okaz prawdziwego geniusza (stwierdzam to bez żadnego wahania), był autentycznie dobrym facetem. Oboje z Rolandem cieszyliśmy się szalenie, że spotkaliśmy go tutaj, w następnych dniach bowiem długie milczenie zbyt często pokrywało, niczym ciężki, oblepiający śnieg, nasze rozmowy z Arlen. Nieodmiennie to właśnie Weber przełamywał ciszę zabawnymi anegdotami, powodując, iż lżej było oddychać. Arlen stała się tak introwertyczna, że byłam tym przerażona. Wyobrażałam ją sobie samą w tym pustym domu, milczącą całymi tygodniami.

Arlen i Weber byli ze sobą przez jakiś czas kilka lat temu, ale nie w trakcie wspólnej pracy, tylko nieco później. Opowiadała mi, że przyszedł kiedyś odwiedzić ją na planie i zaraz tamtej nocy zdecydowali się zamieszkać razem. Zawsze miałam nadzieję, że ten związek przetrwa, ponieważ Weber był porządnym facetem, ale Hollywood nie jest najlepszym miejscem do nawiązywania trwałych układów, lecz raczej do ich kończenia. Zwłaszcza nie wówczas, kiedy partnerzy żyją w wielkim stresie, współzawodniczą ze sobą i są skłonni do huśtawki nastrojów o amplitudzie tak wielkiej, jakby w ich duszach Tarzan kołysał się na lianie. Byli ze sobą niemal rok, co stanowiło rekord Arlen. Rozłąka sprawiła, że ich serca wezbrały czułością. Następne lata spowodowały, iż stali się wielkimi telefonicznymi kumplami. Zawarli umowę: każde z nich może zadzwonić kiedykolwiek i gdziekolwiek znajdowałoby się to drugie, gdyby tylko potrzebowali pomocy albo choćby jedynie współczującej duszy. Arlen nigdy nie miała takiego układu ze mną, co wytknęłam jej kiedyś z oburzeniem. Odparła rozsądnie, że jeśli ma się taki pakt, to albo tylko z kochankiem, albo z nikim innym.

Kiedy jej gwiazda zaczęła błędnąć, Weber wspinał się nadal, lecz wciąż pozostawali sobie bliscy. Ciągłe prosił ją, by grała w jego filmach. Z początku była zbyt zajęta, a później traktowała jego propozycje jako wyraz współczucia - i także odmawiała. Weber zabrnął tak daleko, że prosił Rolanda o interwencję w tej sprawie, ale wiedzieliśmy, iż Arlen nigdy nie będzie gotowa z nim pracować; sama pilotowała własny statek.

Ekscytowało nas zatem, iż rozważała teraz możliwość powrotu i grania w jego nowym obrazie. Na razie jednak dzień za dniem mijał bez zasadniczej deklaracji z jej strony i bez słowa na temat filmu. Wreszcie Roland miał dosyć tego oczekiwania i wyciągnął Webera i psa na wspólny spacer. Tam wydusił z reżysera szczegóły dotyczące projektu. Kiedy wrócili z długiej przechadzki, mój mąż powitał mnie z takim uśmiechem na twarzy, jaki zwykle widywałam u niego wyłącznie w łóżku po naprawdę dobrym seksie.

- Jeżeli ona nie weźmie tej roli, to niech ją Bóg ma w swojej opiece! - powiedział.

- Niech ją Bóg ma w opiece przed czym? Co jej zrobisz, siłaczu? Wynajmiesz któregoś ze zbirów Dona Corleone, by przestrzelił jej kolana?

- O co chodzi, Rose? Skąd ten nagły sceptycyzm i zrzędlivość? Poczekaj, aż usłyszysz o tym filmie!

- Kiedy was nie było, siedziałam na werandzie, spoglądając na okolicę, na rzekę i wszystko dookoła. Tam, w dole, to przecież Dunaj, wiecie, co mam na myśli? To jest Dunaj, i to jest Europa... To naprawdę cudowne miejsce, bezpieczna mnisia cela. Arlen czuje się tutaj dobrze; to nie jest nasze życie ani żadna z rzeczy, które my chcemy robić, jednak ona jest tutaj szczęśliwa. Wystarczy na nią popatrzeć. Co dobrego może dla niej wymknąć z powrotu na stare śmieci? Ma pieniądze i po dziurki w nosie sławy oraz rozgłosu. Faceci unieszczęśliwiali ją; brała narkotyki, jej ostatnie filmy były do niczego, i ona dobrze o tym wie. Nie skończyła jeszcze trzydziestu pięciu lat, a zdążyła już przeżyć jedno pełne życie. Czy jako przyjaciele nie powinniśmy raczej zachęcać jej do pozostania tutaj, gdzie jest jej dobrze?

Roland pokręcił głową.

- Oboje ją kochamy i nigdy nie zdarzyło się nam działać przeciwko niej. Jeżeli Arlen chce przejść na wcześniejszą emeryturę i spędzić resztę swych dni nad Dunajem, studiując niemiecki oraz piekąc torty, to w porządku. To nie jest zły sposób na życie, nie mogę tego powiedzieć. Jednak z tego, co powiedziała, wynika jasno, iż jeszcze nie skończyła z aktorstwem. Szczerze mówiąc, uważam, że dotąd nie osiągnęła swej pełni. Pamiętasz, co deklarowała wczorajszego wieczoru? Że nadal chciałaby zagrać u Scorsese'a! Może będzie miała naprawdę dosyć filmu po zrobieniu tego z Weberem, ale odrzucenie tej propozycji byłoby szaleństwem z jej strony. To niewątpliwie najlepsza rola, jaką jej zaproponowano od lat. Oskarowa. Kiedy opowiem ci o tym projekcie, oniemiejesz z wrażenia.

Ostatnie nasze dni w Austrii spędziliśmy na wędrownkach z Weidling przez Wienerwald na Grinzing, gdzie w towarzystwie nieodłącznej Minnie przebywaliśmy przez większość słonecznych popołudni w *Heurigen* - typowej wiedeńskiej winiarni. Białe wino, które piliśmy, było młode i bardzo mocne, a wyśmienite potrawy mogły przyprawić o atak

serca na myśl o cholesterolu - pieczona wieprzowina, chleb ze smalcem, mocno zapieczony camembert z żurawinami. Minnie, z wyteżoną uwagą, siedziała u nóg Arlen, a jej błyszczący czarny nos wędrował czasem w górę, ponad krawędź stołu, skąd dochodziły ją smakowite zapachy. Przez te ostatnie dni z pewnością przytyła ze trzy funty od smakołyków spadających do jej pyska wprost z psiego nieba.

Po obżarstwie wygrzewaliśmy się w słońcu niczym leniwe koty, a potem braliśmy taksówkę, która wiozła nas z powrotem do domu. Tam, w salonie wypełnionym późnopołudniowym słońcem, Arlen udało się po długich namowach skłonić Webera do opowiedzenia fabuły jego nowego filmu. Nazywał się *Cudowna*, i oboje z Rolandem wiedzieliśmy o nim już wszystko, dzięki sekretnym spotkaniom agenta z reżyserem; mimo to, opowiadany od początku, nadal wydawał się porywający. Przynajmniej na razie.

Problem stanowił Weber. Był wspaniałym reżyserem i prawdziwym artystą, ale nad wyraz nędznym narratorem. Jego talent ujawniał się w spojrzeniu i wyobraźni, a nie w języku. Ponieważ opowiadał źle i nudno, umierałam z chęci powiedzenia mu, by zaczął skakać i tańczyć - by to po prostu odegrał, zamiast głądzić! To jest wielki temat, więc tak też trzeba go przedstawić! Dać mu z siebie tyle, ile jest wart! Spojrzałam na Rolanda i ze skrzywienia jego warg poznałam, iż czuje dokładnie to samo, co ja. Na tyle, na ile się orientowała nie podejrzewająca niczego Arlen, było to także nasze wprowadzenie do tej historii, jednak sposób, w jaki twórca, scenarzysta i reżyser w jednej osobie zabierał się do prezentacji tej trafiającej się raz na całe życie szansy, przypominał scenariusz filmu instruktażowego dla sprzedawców butów z Idaho!

Naturalnie wiele rozmyślałam nad tą fabułą, odkąd po raz pierwszy usłyszałam ją z ust Rolanda. Jak to przewidział, włosy stanęły mi dęba na głowie od rysujących się możliwości. Teraz rozsadzała mnie chęć przerywania, by podzielić się z Weberem swymi pomysłami, sugestiami, wyjaśnieniami i... adrenaliną. Zmusiłam się jednak do milczenia, czekając, aż Weber skończy. Inaczej obiekt naszych zainteresowań spostrzegłby, iż działamy w zмовie.

Idiotka ze mnie. Potępiamy to, czego nie rozumiemy. W połowie monotonnego monologu Webera Arlen przerwała mu i zaczynając od: „Nie, nie, Weber! Tak będzie lepiej!”, przejęła dalszy ciąg historii, jakby reżysera w ogóle nie było w pokoju. Jej głos zniżał się i wznosił, pełen ekscytacji, przenosząc opowieść ze sfery magii do życia z energią i talentem kogoś, kto bez trudu zwróci na siebie uwagę, jeśli tylko tego zapragnie. Była gwiazdą opowiadającą ulubioną historię - tak wielką, jak jej umiejętność przedstawienia jej. Niezdolna wysiedzieć spokojnie wstała i zaczęła chodzić z rosnącym napięciem w ruchach



oraz w głosie, budując dialogi, ustawiając kamerę, decydując o przenikaniach i retrospekcjach... Uczyniła *Cudowną* naprawdę cudowną.

Byłam tak zafascynowana jej czarodziejską relacją, że zajęło mi sporo czasu, zanim otarłam łzy spływające po policzkach i spojrzałam na Webera. Siedział na kanapie, otoczywszy rękoma kolana. Na twarzy miał uśmiech absolutnego triumfu. Udało się! Przywrócił ją do życia! Celowo znudził nas, by sprowokować Arlen do podjęcia opowieści w sposób, na jaki zasługiwała: z entuzjazmem, zachwytem i zapalem neofity; kogoś poruszonego widokiem światła planu i zaangażowanego w to, by być częścią zamierzenia. Jego pomysł zadziałał znakomicie. Kiedy Arlen skończyła mówić, była najbardziej podnieconą osobą w salonie. Widziała przyszłość - i ta przyszłość należała do niej. Zakończyła, opisując swoją rolę. Z tonu jej głosu wynikało, że gdyby ten film był domem wystawionym na sprzedaż, byłaby już zdecydowana kupić go, wprowadzić się i ułożywszy na posłaniu, zacząć czytać kobiece magazyny.

Nasza trójka siedziała w napiętej ciszy, zniewolona jej grą. Roland odezwał się pierwszy. Arlen nadal przeżywała minione chwile; wstrząsnęła się na dźwięk jego głosu. - To jest chyba coś dla ciebie, kochanie. Powoli docierało do niej, co powiedział. Odwróciła się. - Tak. Muszę to zagrać, Rolandzie. Jeśli nie... - Podeszła do wielkiego okna, z którego rozciągał się widok na winnice. - Zamierzam wszędzie tutaj posadzić słoneczniki. Słoneczniki i dynie. Uwielbiam ich widok, kiedy zaczynają rosnać; przypominają mi japońskie lampiony.

Długo stała przed oknem zwrócona do nas plecami. To była niezaprzeczalnie jej chwila; przyznawaliśmy to zgodnie. Kiedy odwróciła się wreszcie, jej wzrok od razu spoczął na Weberze.

- Ty, draniu! - wykrzyknęła. - Nie wiem, czy mam ci podziękować, czy zabić cię?

- Och, daj spokój. To jest jak zjedzeniem grejpfruta, po drugim kęsie nie czujesz już, że jest cierpki.

Obdarzyła go przesadnie fałszywym uśmiechem, który momentalnie zniknął z jej twarzy.

- W porządku, zatem ty ugryź pierwszy.

Po powrocie z Europy poczułam się dziwnie. Kiedy wrażenie osobliwości nasiliło się, powędrowałam do lekarza, po to tylko, by się dowiedzieć, iż jestem w ciąży. Niestety, należą do kobiet, które muszą walczyć ze swoim ciałem przez całą ciążę, by dotrzeć szczęśliwie do terminu porodu; jedna komplikacja goni drugą. Podczas kiedy Arlen wróciła do Stanów i rozpoczęła zdjęcia, ja musiałam leżeć plackiem w łóżku i niestety nie mogłam prowadzić jej spraw. Być może stało się tak na szczęście dla mnie, ponieważ od pierwszego dnia kręcenia

Cudownej ekipę prześladowała taka plaga kłopotów, że każdy mający coś wspólnego z produkcją rwał włosy z głowy lub starał się zejść z oczu kierownictwa wytwórni, którego gniew spowodowany wydłużaniem się okresu zdjęć oraz widokiem budżetu sięgającego niemal jonosfery, zbliżał się niebezpiecznie do momentu eksplozji.

Nikt nie chciał martwić mnie tymi szczegółami, ponieważ sama przeżywałam trudny okres, zatem to, co do mnie docierało, było mocno „rozwodnione”. Słyszałam tylko o „pewnych trudnościach”; jeden z aktorów zachorował (w rzeczywistości miał ciężki atak apopleksji), co „chwilowo” przerwało zdjęcia... Takie tam „drobiazgi”. Jakiś czas potem w „Los Angeles Times” ukazał się artykuł zatytułowany „Cudowna w chaosie”, przedstawiający w detalach wszystko to, co do tej pory wydarzyło się na planie. Wstrząsnęło mną to, co przeczytałam. Kiedy powiedziałam Rolandowi, że znam ten tekst, i zapytałam, co się tam, do diabła, dzieje, usiadł obok mnie na brzegu łóżka i wdychając niczym ciężko chory stary człowiek, zaczął od stwierdzenia, że to jest jedna wielka katastrofa i będzie wielce zdziwiony, jeżeli ta produkcja kiedykolwiek zostanie ukończona. Weber znany był do tej pory ze szczęśliwej ręki; każdy swój projekt kończył w terminie i nie przekraczając budżetu, więc zachodziłam w głowę, co mogło być przyczyną obecnych kłopotów. Mój mąż, który nie jest bynajmniej milczkiem, zwłaszcza gdy rozmowa schodzi na kręcenie filmów, potrząsnął tylko głową.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Nigdy dotąd nie widziałem czegoś takiego. „Wygląda na to, że Weber stał się Jonazem przemysłu filmowego. Wszystko, czego się tknie, idzie nie tak, jak powinno. Któregoś dnia dla kawału dałem mu w prezencie kask motocyklowy. Wiesz, co zrobił? Nawet się nie uśmiechnął. Powiedział, że to dobry pomysł, włożył go na głowę i wrócił do pracy! Cały dzień nosił ten przeklęty kask. A wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze? Że nie widziałem ani jednej twarzy, która by uśmiechnęła się na ten widok!

Jedną z osób, które uratowały projekt, okazała się Arlen. Wszyscy pracujący przy filmie stwierdzili zgodnie, iż była nieoceniona. Nawet kiedy nie grała, kręciła się po zapleczu, starając się dodać ekipie animuszu lub pochlebstwami uspokajając rozwścieczonych bossów wytwórni, którzy po raz kolejny grozili przerwaniem zdjęć. Weber opowiadał, że kiedy szef wezwał go na decydującą rozmowę, uparła się, żeby w niej uczestniczyć. Przemawiała z tak nieodpartą logiką, że siedzący po przeciwnej stronie biurka cynik w garniturze za dwa patyki powiedział: „Okay, róbcie dalej i kończcie”. Za swój film Weber zdobył mnóstwo nagród, ale trzeba oddać mu sprawiedliwość, iż odbierając je, podkreślał zawsze, że bez pomocy Arlen Ford, nigdy by go nie ukończył.

Szczerze mówiąc, wcale nie lubię tego filmu. Uwielbiam w nim jedynie pojedyncze sceny, szczególnie początkowe; cały ten zamglony śnieg i ciszę. Obraz wyostreza się i stwierdzamy, że to, co widzimy, jest do góry nogami. Potem podnosi się zgiełk i okazuje się, iż to nie śnieg, tylko konfetti. W postawionym na głowie świecie szaleje burza papierowych skrawków. Obraz odwraca się, zmienia perspektywę i następuje długi odjazd - widzimy przez okno małą dziewczynkę w popisie stepowania. Uwielbiam to. Uwielbiam wiele fragmentów tego filmu, ale historia, którą Weber i Arlen opowiedzieli nam w Wiedniu, była daleko bardziej ekscytująca niż ostateczny rezultat ich pracy. Prawdziwa sztuka pokazuje w wielkim skrócie i w zaskakujących detalach, że świat jest tak samo złym, jak i dobrym miejscem. Oba sądy są równie przekonujące i to od nas samych zależy, jak chcemy wykorzystać te bezsporne prawdy w naszym własnym doświadczeniu. Pierwszy raz widziałam *Cudowną* po zwycięstwie odniesionym nad własnym ciałem i niedouczonego konowalem, urodziwszy zdrowe dziecko. Nie chcę, by mi mówiono, że życie składa się z ciągu migoczących zdarzeń i zwrotów losu, które są tu i teraz i jaśniejają pięknie, lecz w końcu powodują zamieszanie. Wierzę, że nasze potyczki z losem mogą być wygrane; a to dlatego, że posiadamy pewne ważne rodzaje broni, jak zaangażowanie, wytrwałość i miłość, które wyrównują nasze marne szanse.

Według powszechnie panującej opinii reprezentuję przestarzałe poglądy. Gdziekolwiek *Cudowna* była oglądana, wywoływała emocjonalne poruszenie i burzliwe debaty, choćby z tej prostej przyczyny, że należało ją obejrzeć, jeżeli chciało się uchodzić za dobrze poinformowanego. Krytycy i krzykacze różnej maści mieli swój wielki dzień. Film nazywano arcydziełem, kamieniem obrazy, pustym obrazem, ostrzegawczą egzegezą (naprawdę użyto tego słowa), która znakomicie naświetla... Jednym słowem - był to sukces. Intelktualny film, wzruszający jednocześnie szeroką widownię, która ochoczo przyjdzie ponownie do kina z obawy, iż za pierwszym razem coś mogło umknąć jej uwagi.

Dodając pikanterii całej sprawie, kiedy film był już rozpowszechniany i zaczynał zdobywać nominacje oraz nagrody, Arlen ogłosiła podczas Festiwalu Filmowego w Berlinie, że rezygnuje z dalszej kariery aktorskiej. Dlaczego? Bo ma po prostu dosyć. Była czarująca, zabawna i bardzo szczerą. Przyznała, iż z wyjątkiem tego filmu jej kariera przez ostatnie lata nie obfitowała w sukcesy. Woli odejść teraz, zagrawszy najlepszą rolę w swoim życiu, aniżeli przekroczyć linię, poza którą będzie drżała, by dostać jakieś charakterystyczne role.

- Chcę wierzyć, że mam nieco charakteru, chociaż jeszcze się nim nie stałam. Wkrótce do tego dojdzie. Znacznie lepiej jest odejść, siedząc na grzbiecie słonia otwierającego parade; tak sądzę.

Nadal zajmowała się promocją filmu, ale nawet po otrzymaniu nominacji Akademii Filmowej za najlepszą rolę kobiecą, kiedy mogła przebierać w ofertach, mówiła: nie. Kiedyś zapytałam ją, dlaczego rezygnuje z tego wszystkiego, skoro jej kariera zdaje się sięgać szczytów.

- Sądziłam dawniej, że w aktorstwie jest wszystko. Graj dobrze, a wszystkie odpowiedzi, a także nagrody, jakich mogłabyś zapragnąć podczas dziesięciu ludzkich istnień, będą ci dane na końcu twojej drogi. Znajdziesz swoje miejsce w życiu, dom i spokój... Potem, po kilku nieudanych wyborach, zaczęłam wątpić, czy to była prawda. Moje prywatne życie także się zawaliło, więc pomyślałam, iż może jest to wynikiem utraty złudzeń. Jednym z powodów, dla których zagrałam w *Cudownej*, była chęć sprawdzenia, czy tak jest istotnie. W kilku ostatnich filmach zagrałam po prostu dla pieniędzy. Czułam się zawstydzona i zażenowana, gdy je później obejrzałam. Pomyślałam: pieprzyć to, nie będę więcej tego robić. Oddałam im część swej duszy, więc jesteśmy kwita. Kiedy Weber poprosił mnie, bym zagrała u niego, wiedziałam, nieważne skąd ani jak, że to w końcu będzie mój wielki film. Moja największa szansa. Ale nawet po *Cudownej* pozostałam zupełnie zimna, Rose, to tak, jakby pójść do łóżka z kimś, kogo kiedyś się kochało, a teraz już nie. Nie zaiskrzy. To definitywnie mój ostatni film.

Na rozdanie Oskarów poszliśmy całą czwórką. Zanim rozpoczęła się uroczystość, powiedziałam swej najlepszej przyjaciółce, że jeżeli nie dostanie nagrody, osobiście wysadzę w powietrze Akademię Filmową. Wiedziałam, że traktuje poważnie swoje postanowienie porzucenia świata filmu. Wcześniej w ogólnokrajowym magazynie ukazał się artykuł pełen ohydnych kłamstw. W konkluzji zawarte było szyderstwo wobec „trafnego” wyboru momentu ogłoszenia przez Arlen decyzji o odejściu - na długo przed przyznaniem nagród, by w ten sposób wzbudzić sympatię głoszących. Arlen wręczyła mi ten artykuł ze słowami:

- Jeszcze jeden dobry powód, by wrócić do Wiednia.

Kiedy wyczytano nazwisko Webera jako zdobywcy Oscara za reżyserię, Arlen gwizdnęła na palcach niczym wozak. Weber, zanim poszedł odebrać statuetkę, wyciągnął Arlen z fotela i ścisnął ją przez długi czas. Płakała, kiedy zmierzał na estradę. Klaszcząc szaleńczo, nie usiadła, póki nie zaczął swojej krótkiej przemowy, w której dziękował wszystkim, a jej najbardziej.

Byłoby cudownie, gdyby dostała nagrodę, ale tak się nie stało. Zamiast do niej Oskar trafił do rąk pewnej starszej aktorki, która powinna była otrzymać go przed laty za dużo lepszą rolę niż ta nagrodzona; podniosła się chwiejnie i podziękowała Akademii z uśmiechem, który mówił: Wszyscy wiemy, że to nie ja miałam tu być, ale...”

Płacząc, odwróciłam się do Arlen.

- Tak nie powinno być! Wszyscy tutaj wiedzą, że to ty zasłużyłaś na tę nagrodę. Cały świat to wie, Arlen.

Ścisnęła mnie za rękę.

- Nie ma róży bez kolców - powiedziała.

Tydzień później wyjechała na dobre do Austrii.

## **Część druga**

## Wyatt

- Dobry Boże, toż to Finky Linky! Mogę prosić o autograf?

Uwielbiam rozdawać autografy, uwielbiam sam fakt, że ktoś uważa mój podpis za tak ważny, by go przechowywać.

Zdumiewam się, iż ludzie ciągle mnie rozpoznają i proszą o niego, chociaż zniknąłem z wszechmocnego ekranu telewizora wiele lat temu. Byłem sławny tak dawno temu, że wydaje mi się, jakbym tamto życie spędzał na innej planecie. Kiedy zatem ktoś podchodzi do mnie i rozpoznaje moją twarz, odczuwam to niczym telefon z Saturna lub Plutona. Mile widziany, oczywiście, który odbieram z przyjemnością.

Jedyny problem stanowił fakt, że wraz z Sophie zakończyliśmy właśnie straszliwą podróż z Los Angeles - jeden z tych lotów prosto z piekła, na jakie współczesny podróżny bywa narażony coraz częściej. Koszmar zaczął się, kiedy nasz odlot opóźnił się o godzinę, którą spędziliśmy w gorącym wnętrzu samolotu upakowani niczym sardynki w puszcze. Nasze świeżo wyprasowane ubrania i dziarskie dusze rychło zmarniały. Potem włączyło się diabelskie stereo - dwoje nieszczęsnych dzieci podniosło obok nas wrzask i nie wyłączało się przez większą część lotu. Do tego wszystkiego obsługiwała nas dobrana paczka stewardes, tak pozbawionych choćby śladu uprzejmości i troski o podróżnego, że nie miałem odwagi poprosić o szklankę wody w obawie, by której nie zirytować.

Dwanaście godzin lotu do Europy, a potem trzy godziny przerwy, podczas której nasze piekące po odbyciu tej kampanii wojennej oczy obserwowały frenetyczną krzątaninę i chaotyczność gigantycznego portu lotniczego. W końcu wsiedliśmy na pokład samolotu lecącego do Wiednia. Lądując, mieliśmy nadzieję, że zostaniemy odebrani z lotniska przez szwagierkę Sophie, która jednak nie przybyła; i tak oto stanęliśmy wobec wyzwania, jakim było dotarcie z terminalu do miasta w kraju, w którym za przewodnika miał nam wystarczyć mój szkolny niemiecki.

Witajcie w Europie. Z lotniska autobus zawiózł nas do „Hilтона”. Kiedy miotałem się z naszymi bagażami, usłyszałem ową mile brzmiącą prośbę. Byłem tak potwornie zmęczony, zestresowany i dezorientowany, że nie doszukałem się niczego dziwnego w fakcie, iż ktoś nagabuje mnie o autograf w Wiedniu, gdzie nie mogło być zbyt wielu ludzi, którzy kiedykolwiek oglądali *The Finky Linky Show*, a jeszcze mniej takich, którzy po latach mogli mnie rozpoznać.

Kiedy odwróciłem się, by spojrzeć na śmiałka, roześmiałem się po raz pierwszy od dwudziestu godzin. Przede mną stała jedna z najpiękniejszych, a do niedawna i najślawniejszych kobiet świata, wyciągając do mnie tanie pióro i świstek papieru.

- Jestem pańską największą fanką, Mr Linky!

- Arlen! Mój Boże, kiedy to było?! Padliśmy sobie w objęcia.

- Zbyt dawno, Wyatt. Cholernie dawno temu.

- Zupełnie zapomniałem, że mieszkasz teraz w Wiedniu. Cudownie! Arlen, to moja przyjaciółka, Sophie.

Obie kobiety uściśniły sobie dłonie. Sophie powiedziała „cześć”, ale jej twarz nie wyrażała przyjacielskich uczuć; zastanowiło mnie to, normalnie bowiem jest osobą bardzo otwartą i chętną do nawiązywania nowych znajomości. Było jasne, że nie poczuła sympatii do Arlen będącej - wbrew jej sławie - jedną z najmilszych osób, jakie znałem. Ta właśnie Arlen Ford, która miała kolosalną energię i odwagę, żeby zrezygnować ze statusu gwiazdy filmowej na rzecz świętego spokoju. Lata temu przedstawił nas sobie Weber Gregston, a już po chwili zdawało się nam, że znamy się od bardzo dawna. Okazała się dowcipna, wrażliwa i stanowiła okaz cudownego kompana. Była tak wspaniałomyślna, iż kilka razy wzięła udział w moim programie i wygłupiała się razem z nami. Sądząc z poczty, jaką otrzymywaliśmy po jej występach, według dzieciaków okazała się wielkim przebojem.

Staliśmy i gawędziliśmy przez chwilę, aż do momentu, kiedy za plecami Arlen pojawił się jakiś mężczyzna i dotknął jej ramienia. Obróciła się. Na jego widok jej twarz eksplodowała uczuciami radości i miłości. Kimkolwiek był ten człowiek, zajmował ważne miejsce w jej sercu; w tej chwili nie było dla mnie nic bardziej oczywistego. Wzięła go za rękę, wskazując nas gestem. - Wyatt i Sophie. A to jest Leland Zivic. - Witaj, Lelandzie. Mógłbyś powtórzyć swoje nazwisko? Ciepły, przyjacielski uśmiech wykwitł na jego twarzy, ukazując duże, białe zęby z intrygującą przerwą pomiędzy górnymi jędynkami.

- Z-i-v-i-c - przeliterował. - Wiem, że to śmiesznie brzmi, ale moi przodkowie pochodzą z Jugosławii.

Oboje z Arlen wybierali się właśnie do Włoch. Kiedy znałem ją jeszcze w Kalifornii, wobec mężczyzn była chłodna i wyniosła i zupełnie nie tolerowała głupców. Teraz ta sama kobieta przypominała mi owładniętą pierwszym uczuciem nastolatkę. Nie odrywała oczu od Lelanda. W Hollywood miała opinię kobiety skłonnej do wiązania się z mężczyznami, którzy pracują lub walczą zbyt ostro i noszą po zmroku ciemne okulary. Na pierwszy rzut oka Zivic daleki był od tego wzorca. Dosyć wysoki, miał kasztanowe, stosunkowo długie włosy oraz miłą, okrągłą twarz, zdradzającą otwartość i przyjacielski stosunek do świata. Jego oczy



zdawały się zbyt małe, ale trudno było to stwierdzić z całą pewnością, ponieważ nosił zabarwione na szaro szkła w metalowej oprawce. Miał na sobie kurtkę z brązowej skóry, sztruksowe spodnie w tym samym kolorze i białe sportowe buty. Wygodny strój. Wszystko w nim było spokojne, nawet twarz. Gdyby był żyjącym i oddychającym fotelem, z przyjemnością zagłębiłbyś się w nim. Całe nasze spotkanie nie trwało dłużej niż pięć, sześć minut, ale odniosłem głębokie wrażenie, że Arlen jest szaleńczo zakochana w tym zwykłym, miłym facecie. Nie wiem, czy byłem bardziej uszczęśliwiony czy zdziwiony ową konstatacją.

Arlen podała mi swój numer telefonu i powiedziała, bym zadzwonił za kilka dni, to umówimy się na kolację. Zaznaczyła, że i Sophie jest włączona do tego zaproszenia, ale po raz kolejny moja przyjaciółka ograniczyła się do zaledwie uprzejmego podziękowania. Szczęśliwa para wsiadła do autokaru wiozącego pasażerów na lotnisko, a my poszliśmy rozejrzeć się za taksówką. Kiedy udało nam się znaleźć wolną i siedzieliśmy już w środku, Sophie wygrzebała z torebki adres swego brata i powoli usiłowała wymówić długą nazwę ulicy. Kierowca odwrócił się, potrząsając głową, i wyciągnął rękę po kartkę.

- Laimgrubengasse. Okay!

Sophie opadła z powrotem na oparcie siedzenia.

- Dlaczego każde słowo po niemiecku brzmi niczym wojskowa komenda? - zapytała.

- Ćwiczą, ćwiczą i jeszcze raz ćwiczą. Od wieków zresztą. Dlaczego byłaś wobec Arlen tak oschła? To niepodobne do ciebie.

- Czyżby? Sądzę, że jestem po prostu zmęczona. Nie, nieprawda, to nie jest żaden powód. Istotnie, nigdy jej nie lubiłam. We wszystkich filmach, w których ją widziałam, sprawiała na mnie wrażenie, jakby ledwo raczyła grać. Jak Meryl Streep, kolejna moja antyfaworytka. Przejście dla Jej Wysokości, Królowej Sztuki Aktorskiej! Zaczynicie polerować Oskary!

- Och, dajże spokój! Widziałaś ją w *Cudownej*? Musisz przyznać, że to wielki film.

- Film był wielki, ale ona nie. Klaskałam z radości, że nie dostała Oscara.

Nie byłem w nastroju do kłótni. Sophie bywała czasem równie niewzruszona w swych opiniach jak najbardziej uparty i pewny siebie dureń. Raz na jakiś czas wydawało się nawet zabawne próbować nakłonić ją do zmiany zdania w spornej kwestii, ale przez większą część naszej znajomości okazywało się to bezcelowym i bezowocnym zajęciem, z którego zrezygnowałem już bardzo dawno temu.

W tym momencie miałem natomiast ochotę tylko na jedno - chciałem usiąść w fotelu, trzymać w ręku drinka i czuć wdzięczność, że choć przez chwilę nie muszę się ruszać. Na zewnątrz, za oknami taksówki, Wiedeń wyglądał mniej więcej tak, jak to sobie wyobrażałem.

Większość wielkich europejskich miast, które widziałem wcześniej, ma w sobie masywne dostojęństwo i czuje się w nich upływ wieków. Budynki są wystarczająco długie, by pomieścić w sobie spory kawałek historii. Wiedziałem, że w rzeczywistości wszystko wokół jest tak samo nietrwale i toczy się w ciągłej pogoni za modą jak wszędzie indziej na świecie. Jednak przebywając w takich miejscach, miało się wrażenie, że te miasta przetrwają takie, jakie są teraz, a teraz są takie, jakie były przed wiekami. Imponujące ulice, szerokie niczym pasy startowe, pozostaną nie zmienione nawet wówczas, kiedy ludzie będą parkować na nich latające samochody, statki kosmiczne czy co tam jeszcze przyszłość zdoła wymyślić. Ameryka jest wciąż świeża i kotłuje się w niej jak w tyglu alchemika; Europa przy niej to stare dziedzictwo i nieważne, co przyszłość przyniesie, ona zawsze tu będzie.

Gdy przejeżdżaliśmy obok gmachu, który - jak to później odkryliśmy - był operą narodową, taksówkarz omdlewającym gestem wyciągnął w jego stronę rękę.

- Opern - powiedział.

Skoro przekonał się, że informacja nie poruszyła nas, ze smutkiem pokiwał głową nad naszą ignorancją i włączył na cały regulator szaloną arabską muzykę.

- To Kair czy Wiedeń?

- Może powinniśmy dać mu duży napiwek, żeby to ściszył? Aby się porozumieć poprzez rozbrzmiewającą wściekle melodię, musielibyśmy krzyczeć, zatem aż do końca jazdy nie powiedzieliśmy więcej ani słowa. Miałem wrażenie, że za każdym razem, gdy zdarzyło mi się zerknąć we wsteczne lusterko, oczy kierowcy patrzyły na mnie z lekceważeniem. Laimgrubengasse okazała się wąską, krótką, stromo opadającą uliczką, łączącą się w dole z inną, podobną. Kilka budynków poniżej domu, w którym mieszkał Chapman, znajdowała się restauracyjka „Ludwig Van”. Płyta pamiątkowa na fasadzie głosiła, że podczas pobytu w Wiedniu mieszkał tutaj Beethoven.

Taksówka zostawiła nas i odjechała, rozsiewając wokół cichnące dźwięki wścieklej muzyki. Mozoliłem się z naszymi bagażami, przenosząc je pod drzwi wejściowe, podczas gdy Sophie naciskała dzwonek domofonu. Bez rezultatu. Popatrzyliśmy na siebie i ta sama myśl przebiegła nam przez głowy: Co teraz? Co poczniemy, jeśli nikogo nie ma w domu?

- Czy na Caitlin można polegać? - zapytałem.

- Absolutnie. Musiało wydarzyć się coś ważnego lub spotkało ją coś niedobrego, skoro nie czekała na nas na lotnisku. Martwi mnie to.

Sophie zachmurzyła się; przytrzymała przycisk domofonu przez kilkanaście sekund. - Muszę z nią porozmawiać i dowiedzieć się...

- Halo? - Z głośnika dobył się słaby, jakby dochodzący z bardzo daleka kobiecy głos.

- Caitlin? To ja, Sophie. Jestem tutaj z Wyattem!

- Cześć, Sophie, hm, hm...

- Co się dzieje? Wpuścisz nas wreszcie czy nie?! Tkwiemy tutaj ze wszystkimi bagażami!

- Ja... Sophie, ja nie mogę. Mam tutaj spory problem. Wiesz co, hm, idźcie w dół Laimgrubengasse do miejsca, gdzie przecina się z Gumpendorferstrasse. Na Gumpendorf skręćcie w lewo i idźcie, aż zobaczycie kawiarnię, nazywa się „Sperl”. Wejdźcie tam i zaczekajcie na mnie. Będę za dziesięć minut.

- Zwariowałaś? - Sophie eksplodowała przed mikrofonem. - Nie pójdziemy do żadnej kawiarni! Przelecieliśmy milion mil, a ty nie chcesz nas wpuścić?!

Głos Caitlin rozległ się ponownie - teraz był głośniejszy i przepełniony złością.

- Proszę, zróbcie, co powiedziałam. Przyjdę do „Sperl” za dziesięć minut. Wiem, Sophie, że pokonaliście całą tę drogę z mojego powodu, ale zapewniam cię, że wkrótce zrozumiesz, dlaczego o to proszę.

Głośny trzask w domofonie świadczył, że połączenie zostało definitywnie przerwane. Staliśmy przed nieokreślonych kształtów budynkiem, patrząc na piętrzący się u naszych stóp stos czarnych walizek, które znów należało dokądś zatargać. Powoli zacząłem windować na ramię jedną z nich.

- To najdziwniejsze powitanie, jakie spotkało mnie w obcym mieście. Nie zrozum mnie źle, nie skarzę się, chciałbym jedynie mieć teraz dwadzieścia lat i móc to właściwie docenić.

Sophie podeszła do mnie i otoczyła ramionami mój zdrętwiały ze zmęczenia kark.

- Masz ochotę mnie zamordować? Ja mogłabym teraz zabić swoją szwagierkę, więc i ty masz do tego pełne prawo! - Nie, ale muszę zaraz usiąść. Jestem bardzo zmęczony i powinienem zażyć lekarstwa. Inaczej będą kłopoty...

- Och, Wyatt, zupełnie zapomniałam. Pozwól, że ja wezmę te bagaże.

- Daj spokój, mogę je nieść. Znajdźmy tę kawiarnię i napijmy się piwa. Czy piwo w Austrii jest tak dobre jak w Niemczech?

- Nie wiem, nigdy wcześniej tutaj nie byłam. Co ona powiedziała? Gumperstorstrada? Laimgrubengasse. Jakim cudem wszystkie te nazwy ulic brzmią niczym nazwy potraw węgierskiej kuchni?

„Sperl” znaleźliśmy całkiem łatwo. Wyobraźcie sobie europejską kawiarenkę, przysypcie ją kurzem wieków i aurą romantyzmu - i to będzie właśnie to. Mężczyźni grający w bilard w ciszy i z powagą, kelnerzy w smokingach z białymi serwetkami przewieszonymi

przez ramię i poruszający się z gracją pomiędzy zapleczem a stolikami, na których marmurowych blatach, pośród dramatycznych wyrzutów rąk oraz cichych pomruków skierowanych - zdawałoby się - do serwowanych potraw i trunków, stawiali białe filiżanki lub kładli talerzyki z ciastkami. Mężczyźni i kobiety czytający gazety w tuzinie języków, zakochani tulący się w kątach... Było dopiero wczesne popołudnie i lokal wypełniony był zaledwie w połowie. Wraz z naszymi bagażami usadowiliśmy się w miłej, sennej atmosferze spowijającej nastrojowe wnętrze. W mgnieniu oka wypiliśmy podane nam piwo, a ponieważ serwowane komuś obok złociste kiełbaski z jasnożółtą musztardą wyglądały wyjątkowo smakowicie, zamówiliśmy również po porcji wraz z kolejnym piwem. Czekaliśmy na drugą odsłonę naszych Przypadków wiedeńskich. Nie mówiliśmy wiele nawet wówczas, kiedy sakramentalne dziesięć minut rozrosło się do dwudziestu, a następnie do pół godziny. Gdy podniosłem się, żeby pójść do toalety, Sophie wstała wraz ze mną.

- Może powinnam do niej zadzwonić? Co o tym myślisz?

- Zaczekaj jeszcze trochę. Jeżeli jest osobą godną zaufania, jak twierdzisz, musi mieć ważny powód, skoro jeszcze nie przyszła. Pozwól jej to załatwić po swojemu.

- Cholera, masz rację. - Usiadła z powrotem. - Nie mam już ochoty na kolejne piwo ani kiełbaski; nie chcę dłużej siedzieć w tej knajpie! I dlaczego się wreszcie nie zamknę? Idź do toalety, Wyatt, wszystko będzie w porządku.

Spędziłem długą chwilę nad umywalką, usiłując za pomocą zimnej wody tchnąć nieco życia w swoje ciało i umysł. Kiedy wracałem do stolika, zderzyłem się z kobietą śpieszącą do żeńskiej toalety. Ten krótki wstrząs pełen onomatopeicznych wykrzykników i przeproszeń zdezorientował mnie dodatkowo; czułem się potwornie zmęczony. Wychodząc zza rogu, z mętlikiem w głowie, ujrzałem jakąś postać siedzącą obok Sophie przy naszym stoliku. W pierwszej chwili nie zorientowałem się, że jest to Caitlin Chapman. Może dlatego, że jak na kogoś znajdującego się w oku cyklonu wywołanego zaginięciem męża, wyglądała znakomicie; dużo lepiej, niż kiedy widziałem ją ostatni raz w Los Angeles. Rozprawiała z ożywieniem, jedną rękę wyciągnęła w poprzek stolika i ścisnęła nią Sophie za nadgarstek. Miała na sobie czarną bluzkę i dzinsy; wysoko na lewym ramieniu nosiła srebrną bransoletę, a jej włosy były starannie ułożone. Patrzyłem na obie kobiety przez kilka sekund. Były pochylone ku sobie i wydawało mi się, iż mówią jednocześnie; dwie dobrze prezentujące się kobiety w średnim wieku, gawędzące ze sobą w wiedeńskiej kawiarni. Czemu zatem czułem się niczym intruz na myśl, że mam im przerwać rozmowę? To Sophie zmusiła mnie, bym jej towarzyszył w podróży. Czy nie byłem zatem tak samo częścią tej dziwnej przygody jak one obie? Nie, ponieważ nie uważałem się za złączonego z tą sprawą ani więzami krwi, ani

miłości. Oddawałem Sophie przysługę, nic ponadto. Znalazłem się w Wiedniu za sprawą swej najlepszej przyjaciółki, wypełniając dawno zapomnianą umowę, którą kiedyś zawarliśmy pośród szwajcarskich szczytów Alp. Byłem tutaj nie dlatego, że czułem się zainteresowany czy wewnętrznie przekonany o potrzebie uczestnictwa w tej wyprawie ratunkowej - i z tego właśnie powodu wahałem się, czy mam podejść i ujawnić swoją obecność. O czym jednak one rozprawiły tak zawzięcie? Cóż takiego wydarzyło się od momentu, kiedy wsiedliśmy na pokład samolotu w LA, co spowodowało konieczność spotkania się w kawiarni, a nie w jej mieszkaniu?

Intruz czy nie, nie mogłem sterczeć w pół drogi, nie wiedząc, po co przeleciałem taki szmat świata; podszedłem. Caitlin odwróciła się i spostrzegła mnie pierwsza. Podskoczyła momentalnie, podbiegła i uściśliła mnie serdecznie. Wiedziałem dobrze, iż Caitlin Chapman nie jest wylewna. Była miłą, cichą i pełną rezerwy wobec otoczenia kobietą, która spędzała życie w cieniu ciągle podróżującego, apodyktycznego męża. Teraz trzymała mnie w objęciach tak długo, iż spojrzałem pytająco ponad jej ramieniem na Sophie, która dawała mi znaki, bym przycisnął jej szwagierkę do serca. - Wyatt, jak dobrze, że przyjechałeś! Cudownie!

- Co się stało, Caitlin? Wiadomo coś nowego o losie Jesse'ego?

- Tak, właśnie mówiłam Sophie. Jesse odnalazł się! Wrócił do domu dzisiaj rano!

Niczym trafiony w szczękę lewym sierpowym, pozwoliłem wziąć się za rękę i poprowadzić do stolika. Gdy byłem już blisko, zapytałem Sophie bezgłośnie: Wrócił?" Skinęła głową.

- Siadaj, Wyatt. Musisz i ty wszystko usłyszeć, ponieważ twoja rola w tym jest bardzo ważna.

Już siadałem, kiedy dotarło do mnie złowieszcze znaczenie ostatniej kwestii - i zamarłem w wielce niewygodnej pozycji.

- Ważniejsza niż dotychczas? - zapytałem.

Kobiety spojrzały na siebie; zrozumiałem je bez słów.

- Oczywiście, ważniejsza - odpowiedziałem sam sobie. - Wal śmiało. Zaczynaj od początku.

Caitlin siedziała naprzeciwko mnie i Sophie. Nadal nie mogłem się nadziwić, jak ładnie i miło się prezentuje; żadnych śladów zmęczenia czy zaniedbania, każdy włos na swoim miejscu. Widziałem ludzi mających poważne problemy - przedstawiali sobą zgoła inny widok. Jak mogła przeżyć tyle dni ze świadomością, że jej mąż jest może ciężko ranny lub nie żyje - i nadal wyglądać, jakby dopiero opuściła salon fryzjersko-kosmetyczny?

- Wyatt, znasz mojego męża dosyć dobrze...

- Nie, nie zna - przerwała jej Sophie. - Widzieli się zaledwie kilka razy. Ty byłaś tutaj, w Wiedniu, kiedy mieli ze sobą tę głupią sprzeczkę. Jesse go nie lubi, ponieważ Wyatt jest pedalem.

Oczy Caitlin zrobiły się okrągłe, gdy rzuciła na mnie zakłopotane spojrzenie, sprawdzając, jak na to zareaguję. Sophie zamachała niecierpliwie rękami.

- Słuchaj, teraz nie ma czasu na grzeczności. Mój brat jest człowiekiem wielce nietolerancyjnym. Zbyt długo był sztywno myślącym, ograniczonym osłem niezdolnym do zaakceptowania faktu, że mógłby się mylić w jakimkolwiek względzie; i to właśnie jest jego wadą. Wszyscy jakieś mamy. To, co teraz usłyszysz, powinnaś odnieść do tego kontekstu. Mam na myśli to, iż masz przed sobą geja o imieniu Wyatt, prawdziwego sceptyka uważającego, że umowa staje się czymś realnym dopiero wówczas, kiedy gotowy do podpisu kontrakt leży przed jego nosem. W związku z tym nie lubi francuskich restauracji, ponieważ nie potrafi zrozumieć menu. To niewierny Tomasz. Teraz możesz mówić, Cait.

Caitlin spojrzała na mnie i z pewnym wahaniem w głosie rozpoczęła opowieść.

- Mniej więcej tydzień temu Jesse wstał rano z łóżka i powędrował do łazienki, żeby się umyć, jak sądziłam. Prawie zawsze wstawał wcześniej, a potem przygotowywał śniadanie dla nas obojga. Tym razem - nie wiem dokładnie, ile czasu minęło, sądzę, że z pół godziny - wstałam także i poszłam za nim. Zastałam go siedzącego nieruchomo na sedesie, z twarzą skrytą w dłoniach. Pomyślałam, że ma jakieś dolegliwości żołądkowe, może biegunkę, ale potem dostrzegłam, że pokrywa sedesu jest opuszczona. Podeszłam bliżej, żeby zapytać, czy dobrze się czuje, ale kiedy go dotknęłam, szarpnął się, jakby pchnięty nożem. Popatrzył na mnie oszalałym wzrokiem osaczonego przez ogień konia. Wcześniej tylko raz zdarzyło mi się widzieć go takim, kiedy mieliśmy paskudny wypadek samochodowy. Jesse jest człowiekiem skrajnie opanowanym, mało co wyprowadza go z równowagi, ale tego dnia był wstrząśnięty do głębi. Gdy zapytałam, co się stało, nie chciał odpowiedzieć. Zadałam wszystkie te pytania, które zwykle padają w podobnych sytuacjach z ust żon, ale nic to nie dało, nie zamierzał się zwierzyć. Może, pomyślałam, czuje się skrupowany. W porządku, zostawię go w spokoju, niech sam dojdzie ze sobą do ładu. Poszłam do kuchni.

Jesse jest niewolnikiem przyzwyczajeni i zawsze je śniadanie - kontynuowała. - To jedna z jego naczelných zasad: nie wychodzi z domu z pustym żołądkiem. Oczekiwałam zatem, że w końcu coś zje, choćby banana, albo wypije szklanekę mleka. Tym razem nic takiego się nie stało i, śmieszna rzecz, zaniepokoiło mnie to bardziej niż całe to jego dziwne zachowanie. Nie słyszałam nawet, kiedy wyszedł z domu. Kilka godzin później zatelefonowałam do niego do biura i odniosłam wrażenie, że wszystko jest w porządku. Także

wieczorem, gdy powrócił z pracy, wydawało się, iż czuje się dobrze, chociaż nadal nie chciał mówić o porannym zdarzeniu. Wiecie, jak to bywa, życie pełne jest dziwacznych wypadków, o których, jeżeli to tylko możliwe, człowiek stara się zapomnieć, nie czyniąc wokół nich zbędnej wrzawy; a to z tej przyczyny, że jeżeli zwrócisz na nie uwagę lub będziesz się skarżyć, opanują cię bez reszty. Zatem zepchnęłam to w niebyt, składając wszystko na karb pełni księżyca czy czegoś podobnego. W porządku. Następnej nocy obudziły mnie jego krzyki dobiegające z łazienki: „Nie chcę tego! Nie chcę tego!” Nie chcę i nie chcę, wołał tak ciągle. Był środek nocy, druga czy trzecia, kiedy wszystko jest bardziej przerażające i to nie wyłącznie dlatego, że wybiłaś się ze snu. Weszłam do łazienki i zastałam go stojącego przed lustrem i gapiącego się na siebie. I znowu, kiedy zapytałam, co się dzieje, nie chciał mi odpowiedzieć. Był zaskoczony, iż przyłapałam go na tym, co robił, cokolwiek to było, i w końcu wydukał, że to tylko senny koszmar. Wiedziałam, że nie jest to cała prawda, ale co mogłam uczynić? Powiedział mi, żebym wracała do łóżka, zaraz tam przyjdzie. Chciałam z nim zostać, ale nie zgodził się. Boże, czułam się okropnie i zupełnie bezradnie... Rzeczywiście, przyszedł wkrótce. Zdziwiłam się, że chwycił mnie brutalnie i wziął tak nieudolnie, jakbyśmy byli dwojgiem dzieciaków z college kochających się na tylnym siedzeniu samochodu. Wiecie, wszystkie te nieporadne gmerania, zbyt mocne szarpnięcia, szorstkość ruchów... Kiedy... kiedy skończył, krzyknął ponownie: „Nie chcę tego!”, ale zanim pozbierałam myśli po tym wszystkim i zebrałam się na odwagę, by zapytać, czego nie chce, usnął zupełnie wyczerpany. Jesse chrapie tylko wtedy, gdy jest kompletnie zalany, ale tej nocy grzmiał niczym samochód ciężarowy z urwanym tłumikiem. Rankiem jak zwykle wyszedł do pracy, chociaż miałam nadzieję, że wyjaśni mi, co się, do diabła, dzieje. „Powiedz mi wreszcie!” - prosiłam. Usłyszałam stanowcze „nie”. Tego dnia zniknął. Prosto z domu pojechał na lotnisko i odleciał.

- Ale już wrócił?

- Tak, dziś rano. Byłam na zakupach, a po powrocie zastałam go w salonie w żółtym płaszczu kąpielowym, popijającego kawę.

- Co powiedział?

- Zupełnie nic. A ja odczułam taką ulgę, że nie należałam, aby wyznał, gdzie się podziewał. Był bardzo spokojny i powiedział jedynie, że czuje się dobrze i jest zadowolony z powrotu do domu.

- Nie próbowałaś więcej?

- W końcu tak. I wtedy przyznał się, że był w Londynie i w Wenecji.

- Powiedział, po co?

Sophie przerwała jej ponownie.

- Najpierw opowiedz mi o bandażu.

- Jasne. Wiesz, rękawy jego płaszcza kąpielowego są długie, ale kiedy podniósł rękę w jakimś geście, dostrzegłam nagle coś jaskrawobiałego. Zapytałam, czy to jest bandaż, a on powiedział, że coś sobie zrobił w ramię. Nie ciągnęłam dalej tego wątku, bo było tyle innych pytań!

Spojrzałam na Sophie.

- Co znaczy ten bandaż?

- Usłyszysz za chwilę.

Podszedł kelner i zapytał, czy Caitlin chciałaby coś zamówić. Odpowiedziała mu cicho bo niemiecku i usługujący zniknął.

- O czym mówiłam?

- O bandażu.

- Racja. Cała ta scena pomiędzy nami była wariacka, lecz szybko odzyskałam właściwą perspektywę. W porządku, drogi mężu, jesteś z powrotem. Teraz jednak nadszedł czas odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Co robiłeś? Po co poleciałeś do Londynu i do Wenecji? Poczulałam się nagle zraniona do głębi; zaczęłam przemawiać i bredzić bez sensu... była w tym jednocześnie i ulga, i furia, i złość. Wszystkie te uczucia, które nachodzą człowieka w takiej chwili, Jesse nawet nie próbował się odezwać, dopóki nie przeszedł mi ten wybuch. Dlaczego nie zatelefonował i nie powiedział mi, gdzie jest? Czy nie zastanowił się choćby przez chwilę, że mogłam się martwić? Miałam w zapasie pełno takich pocisków. Usiadłam naprzeciwko niego i trwaliśmy w milczeniu, patrząc na siebie. Wtedy zapytał mnie, czy miałam kiedykolwiek prawdziwego wroga; kogoś, kto pragnął mnie zniszczyć i zabić. Zrobiło mi się zimno. O czym on mówi? Ja chcę tylko poznać przyczyny jego zniknięcia; co ma z tym wspólnego jakiś wróg? Kiedy zapytałam, co dokładnie ma na myśli, odpowiedział pytaniem: „Pamiętasz Iana McGanna z Sardynii?”

Caitlin zwróciła się do Sophie, pytając, czy czytałam tamten list. Sophie skinęła głową.

- Jaki list? - Najwyraźniej nie nadażalem za ich myślami.

- List, który Jesse napisał do mnie o ich pobycie na Sardynii. Pamiętasz? Pokazywałam ci go. Pisał o człowieku, któremu śniło się, że rozmawia ze śmiercią i zadaje jej pytania.

Obie spoglądały na mnie wyczekująco, mając nadzieję, że odpowiednie trybiki w moim mózgu wreszcie zaskoczą bez potrzeby dalszego tłumaczenia z ich strony. Cisza spadła



na całą naszą trójkę i trwała, podczas gdy ja badawczo wpatrywałem się w twarze kobiet w poszukiwaniu dodatkowych znaków. Wyglądało na to, że bawimy się w zgaduj-zgadulę, a one dały mi już tę ostatnią wspaniałą wskazówkę.

- Londyn. Wenecja. Bandaż. Czy skaleczenie ma z tym wszystkim coś wspólnego?

Pokiwały głowami.

- McGann. Jego dziewczyna miała takie dziwne imię. To Holenderka.

- Miep.

Odniosłem wrażenie, że moje powieki zrozumiały wszystko najwcześniej - poczułem, jak się podnoszą, choć przez kilka sekund nie wiedziałem dlaczego. Potem zrozumiał mój język, ponieważ zaczął wymawiać nazwisko „McGann”, zanim umysł poskładał w jedną całość wszystkie kawałki układanki, czemu towarzyszył dźwięk jak przy łączeniu wagonów kolejowych. Babang! McGann!

- Jesse poleciał do Londynu, żeby odnaleźć McGanna! Żadna się nie poruszyła. Czekają na resztę. - Bandaż. Rana. Jak u McGanna! Och, Jezu Chryste! Sophie, twój brat śni to samo!

- Tak.

W słyszalnym tylko dla mnie kolejnym „babang!” przypomniał mi się policjant, Śmierć, która w hollywoodzkim sklepie z maskami powiedziała, iż czasami przychodzi do niektórych ludzi wcześniej, by mogli z tego skorzystać i zadać jej nurtujące ich pytania. Powiedziała mi, że Ian McGann żyje. Nigdy o tym nie zapomniałem; ja tylko bardzo się starałem, żeby o tym nie pamiętać. Kiedy byłem jeszcze w college’u, pewien mój znajomy trzymał u siebie węża. Karmił go przeważnie myszami i raz zapytał, czy chciałbym asystować w czasie posiłku gada. Najbardziej zaintrygowało mnie wówczas zachowanie gryzonia. Gdy kolega włożył mysz do terrarium, ta pobiegła do kąta i zaczęła się czyścić jak szalona. Kiedy skończyła, została tam, gdzie była, bez ruchu, i zdawało się, że wygląda na zewnątrz przez szybę. Czy nie zdawała sobie sprawy z groźnego sąsiedztwa? Zwierzęta mają przecież te wszystkie swoje superczułe zmysły; czy żaden z nich nie ostrzegł tego biednego stworzenia, że w pobliżu czai się śmierć? Rozejrzyj się! Uciekaj, żeby ocalić życie! Nic z tych rzeczy. Wąż przypelzł, otworzył paszczę i zaatakował. Mysz cofnęła się tylko odrobinę, nie więcej. Nie mogłem w to uwierzyć. Trwała spokojnie, a przecież musiała wiedzieć, że jej wróg znajduje się w odległości zaledwie kilku cali. Dlaczego nie uciekała? W końcu, czemu ja tego nie zrobiłem lub nie postradałem zmysłów, kiedy śmierć proponowała mi wspólny lunch?

- Co Jesse miał na myśli, pytając cię, czy kiedykolwiek miałas prawdziwego wroga?

- To, że on od pierwszej minuty swojego snu wiedział, iż osoba, z którą rozmawia, jest jego nieprzyjacielem.

- Kto to był?

- Norman Ivers. Najlepszy przyjaciel Jesse'ego z czasów dzieciństwa. Norman utonął, gdy był w pierwszej klasie liceum.

- Chłopak? Ale to ma sens. To może być ktokolwiek, kto nie żyje, prawda? Czemu zatem nie chłopiec? Czy Jesse powiedział ci, co tamten mówił?

- Nie mógł. Ale może to powiedzieć tobie, Wyatt. Tak twierdzi.

- Mnie? Dlaczego?

- Ty wiesz dlaczego.

- Nie, nie wiem.

- Ponieważ jesteś śmiertelnie chory.

To powiedziała Sophie; Caitlin nawet nie potrafiła spojrzeć mi w oczy. Kiedy mówiła, jej wzrok wwiercał się w blat stolika.

- To dlatego nie mogłam wpuścić was do mieszkania. Sprzeczałyśmy się z Jesse'em, jak należy to zrobić. Twierdziłam, że nie powinniśmy cię w to wplątywać, ale on obstawał przy swoim. Ze względu na swój stan jesteś jedyną osobą, której może to powiedzieć. Jeśliby wyznał cokolwiek Sophie lub mnie, „zaraziłybyśmy” się w ten sam sposób co on. Zaczęłybyśmy śnić to samo i budziłybyśmy się poranione, gdyż nie rozumiałybyśmy jej odpowiedzi.

- Ale co ja mogę zrobić? Tylko słuchać!

- Jesse uważa, że to jest cholernie ważne. Powiedział... Ostatnie słowa utonęły bezpowrotnie w płaczu Caitlin.

Płakała w milczeniu. Łzy toczyły się po jej twarzy, a zmysłowe usta zmarszczyły się jak u starej kobiety - jakby nagle osiadły na nich lata bólu i smutku. Sophie wstała, obeszła stolik i usiadła obok niej. Nastąpiła cisza, a wraz z nią pojawił się kelner, który postawił przed Caitlin filiżankę kawy. Kiedy ujrzał jej twarz, obrzucił mnie i Sophie pełnym dezaprobaty spojrzeniem i oddalił się pośpiesznie.

- Nie musisz tego robić, Wyatt. Masz wystarczająco dużo kłopotów z własnym życiem. Powiedziałam mu, iż uważam, że to nie jest w porządku. Zrozumie cię, jeżeli nie zechcesz się z nim spotkać. Wiem, że on... - Łzy ponownie nie pozwoliły jej dokończyć i resztę zdania starała się przekazać gestem.

- Sophie? - powiedziałam.

- Tak?

- Co o tym myślisz?

- To mój brat. Trudno mi zachować obiektywizm. Tysiące myśli przebiega mi przez głowę. Wiesz, jakich.

- Zanim podejmę decyzję, chciałbym z nim porozmawiać przez telefon. Mogę?

- Oczywiście.

- Więc zadzwońmy od razu.

Poszedłem z Caitlin do budki i wystukała swój numer telefonu. Jesse musiał podnieść słuchawkę podczas pierwszego dzwonka, ponieważ Caitlin zaczęła mówić do mikrofonu niemal w tym samym momencie, w którym skończyła wybierać kod.

- Kochanie? Tak. Tak. Powiedziałam mu. Wyatt jest obok mnie. Nadal jesteśmy w kawiarni. Wyatt powiedział, że chce najpierw porozmawiać z tobą przez telefon.

Zamilkła i obdarzyła mnie nikłym, nieszczerym uśmiechem, jednocześnie słuchając, co mówi Jesse.

- Nie! Ale on... - Jej usta poruszyły się, by wyartykułować resztę, lecz nie pozwolił jej skończyć, mówiąc tak głośno, że słyszałem poszczególne słowa wyciekające ze słuchawki. - Nie, ale Wyatt powiedział...

Ponownie jej przerwał. Zamknawszy oczy, kwitowała kiwnięciami głowy to, co słyszała; próbowała mówić, ale nie mogła wdrzeć się w tok jego przemowy. Udało się jej to wreszcie po dosyć długim czasie.

- Tak. Powiem mu. Co? Tak, powiem mu na pewno! Zasłaniając dłonią mikrofon, zdawała się zbierać wszystkie siły, by przekazać mi to, co jej polecił.

- Jesse twierdzi, że nie może rozmawiać przez telefon. To musi się odbyć twarzą w twarz, nie inaczej. Zrozumiesz to, kiedy go zobaczysz.

Cóż za nonsens! Sięgnąłem po słuchawkę, ale cofnęła ją, odsuwając od ucha, jednocześnie nadal osłaniając dłonią dolną jej część.

- Nie! Powiedział, że nie może rozmawiać w ten sposób. Zupełnie oszalał na tym punkcie. Krzyczy na mnie i przeklina. Jesse nigdy przy mnie nie kłął, nigdy. A teraz krzyczy i... i zupełnie postradał zmysły. Nie obchodzi mnie, co zrobisz, ale nie wolno ci rozmawiać z nim przez telefon. Nie mogę ci na to pozwolić; to by tylko wzmogło jego szaleństwo. Nikt nie był w tej chwili bardziej oszalały niż sama Caitlin Chapman. Jej twarz błyszczała od potu; ścisnęła słuchawkę z taką siłą, że pobieleły jej kłykcie. Czysty obłąd. Wszyscy wokół mnie byli na swój sposób szaleni.

- Okay! W porządku! Powiedz mu, że zaraz przyjdę. Niech się trochę uspokoi, zanim tam dotrę.

Pokiwała posłusznie głową niczym mała dziewczynka, którą rodzice zapewniają, iż miała tylko zły sen i to już się więcej nie powtórzy. Powoli skłoniła głowę, oczy miała ogromne i pełne nadziei.

- Wyatt przyjdzie, Jesse. Co? Nie, powiem jej, by została tutaj. Podprowadzę go pod nasze drzwi, a potem wrócę i zostanę z Sophie, póki nie skończycie.

Sophie nie protestowała. Wzięła mnie za rękę, dziękując, a potem odprowadzała nas wzrokiem, kiedy odchodziliśmy. Ruch na Gumpendorferstrasse nasilił się. Staliśmy przed kawiarnią długą chwilę, zanim udało się nam przejść na drugą stronę ulicy. Chciałbym przebiec ją na skos, pobiec do ich mieszkania, dopaść Jesse'ego i dowiedzieć się wszystkiego w dwie sekundy - wszystko jak w szybko przewijanym filmie. Obojętnie, czy miałyby się to obrócić na dobre czy złe, był to jeden z tych momentów, kiedy pragnąłem, aby życie przyspieszyło swój bieg, żebym jak najwcześniej mógł się dowiedzieć, co dalej. Świst, błysk, grzmot - oto jestem, wiem już wszystko.

- Kiedy wrócił, opowiadał o ptakach.

- Słucham?

Długi mercedes w kolorze szampana przemknął obok, sycząc wytwornie; miał niemieckie numery rejestracyjne.

Byłem w Europie. Boże, znowu jestem w Europie; po raz ostatni w życiu. Niemal wszystko nosiło znamię ostatniego razu. Dni pełne ostatnich zdarzeń.

- Jesse mówił o ptakach, ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z całą sprawą.

Spojrzałem na Caitlin, lecz zanim którekolwiek z nas zdążyło ponownie się odezwać, wypatrzyliśmy przerwę w potoku aut i popędziliśmy na drugą stronę. Znalazłszy się tam, ruszyliśmy szybko w stronę Laimgrubengasse.

- Co jest z tymi ptakami?

- Odkąd wrócił, nie rozstaje się z książką o ptakach. Czyta mi z niej całe fragmenty.

- Ornitologia to jego hobby?

- Wcale nie, to właśnie jest dziwne. Nic nie wiem o tym, by kiedykolwiek interesował się tym choćby w najmniejszym stopniu.

- O czym jeszcze mówił?

- To tutaj, skrócić w prawo. Opowiadał o Wenecji. O tym, że jest tam drogo, a mieszkańcy są nieuprzejmi.

- Długo tam był? I po co w ogóle pojechał do Włoch?

- Skontaktował się z ludźmi z tej miejscowości na Sardynii, by zdobyć londyński adres McGanna. Dzwonił do niego i dzwonił, ale nie miał żadnego odzewu. Poleciał zatem do

Londynu, by się z nim osobiście zobaczyć. Nie było to łatwe, ponieważ pracownicy z agencji turystycznej zatrudniającej McGanna nie byli specjalnie pomocni. Udało mu się jednak trafić do jego brata i dowiedział się, iż Ian jest w Wenecji razem z Miep. Mieszkali tam od czasu opuszczenia Sardynii. Poleciał do nich prosto z Londynu, co, jeżeli znasz mojego męża, jest zupełnie do niego niepodobne. Jesse nie skacze tak po prostu, niczym konik szachowy, z Anglii do Włoch czy gdziekolwiek indziej, przesiadając się z samolotu do samolotu; to nie leży w jego naturze.

- Dlaczego McGann zatrzymał się w Wenecji?

- Pragnie spędzić tam z Miep ostatnie dni swojego życia. Podeszliśmy pod kamienicę, w której mieszkali, i Caitlin zaczęła otwierać bramę.

- W jakim stanie jest McGann?

Zamarła z kluczem w dłoni, niepewna, czy ma odpowiedzieć. W końcu zrezygnowała z wyjaśnień.

- To Jesse powinien ci powiedzieć. Nie chciałabym niczego popsuć.

Drzwi przed nami były jedną z owych olbrzymich, drewnianych powierzchni często widywanych w Europie i pochodzących z czasów, kiedy ich zadaniem było nie tylko zamknięcie domu przed światem zewnętrznym, ale także stawienie należytego oporu demonom piekła. Zmagając się z wrotami, Caitlin musiała użyć obu rąk. Za nimi ukazał się śliczny zakątek - ocieniony, cichy dziedziniec z marmurową fontanną pośrodku i dobrze utrzymanymi klombami pełnymi kwiatów. Centralnym elementem wodotrysku był kamienny aniołek, który z figlarnym uśmiechem na ustach wznosił oczy ku niebu. Mimo iż śpieszyliśmy się, przystanąłem, by rzucić nań okiem. Rzeźba zaskakiwała mieszaniną świętości i frywolności, podbarwioną na dodatek odrobiną seksu. Pobożny, nieprzyzwoity, erotyczny aniołek.

- Czyż nie jest zabawna? - zapytała Caitlin. - To był jeden z powodów, dla których wynajęliśmy to mieszkanie. Kiedy przyszliśmy tu po raz pierwszy, oboje stanęliśmy jak wryci, nie przymierzając tak jak ty przed chwilą, i gapiliśmy się na nią. A teraz spójrz w górę, by ocenić całkowity efekt. Widzisz? Ściany budynku są brązowe i wąskie. Wydaje się, że aniołek siedzi ponad poziomem podwórza, zażywając kąpeli słonecznej i radując się, iż światło pada jej na twarz.

- Uważasz, że to jest dziewczynka?

Caitlin uśmiechnęła się, a potem spojrzała na mnie uważnie, sprawdzając, czy nie żartuję.

- A ty nie? To śmieszne, ponieważ oboje z Jesse'em od razu tak pomyśleliśmy.

- Nie sędę. Musiałbym to zbadać choćby pobieżnie. Chociaż nie, nawet teraz nie wysuwałbym tak daleko idących wniosków.

- Och, spójr! Tam jest Jesse! Widzisz? Macha do nas.

Wskazywała ręką w jakimś bliżej nie określonym kierunku, ale ja widziałem tylko same okna, których szyby porażały wzrok odbitym, popołudniowym blaskiem słońca.

- Chodźmy.

Obchodząc fontannę, przyglądałem się cały czas uśmiechniętemu aniołkowi, a potem weszliśmy do chłodnej, ciemnej sieni, na której końcu widać było kręte schody z masywną, drewnianą poręczą. Rozglądałem się w poszukiwaniu windy, ale niczego takiego nie dostrzegłem.

- Macie tu windę?

Caitlin potrząsnęła głową.

- Które piętro?

- Trzecie.

Odetchnąłem głęboko i uśmiechnąłem się do niej.

- Chodźmy zatem...

Stopnie były kamienne, mocno zniszczone i bardzo szerokie. Obserwowałem stopy Caitlin i starałem się dotrzymać jej kroku. Mieszkając tutaj, musiała stać się ekspertem w chodzeniu po schodach. Czyż zdobywając Mount Everest, himalaista nie przygląda się, jak sobie poczynają Szerpowie? Mimo to wkrótce dostałem zadyszki i musiałem dwukrotnie przystanąć, żeby złapać oddech, podczas gdy Caitlin zdawała się tańczyć wciąż dalej i wyżej.

- Wydaje mi się, iż czytałem gdzieś, że każdy pokonany stopień wydłuża życie o trzy sekundy.

- Coś koło tego, jeżeli wcześniej nie zabije cię wysiłek. - Uśmiechnęła się radośnie przez ramię, nie zaprzestając wspinaczki.

Jak wszystko w tym domu, także drzwi do ich mieszkania były imponująco wysokie, szerokie i wykonane ze wzbudającego podziw drewna. Stare drewniane drzwi i kamienne stopnie. Ilu ludzi mieszkało w tym domu? Żyli pomiędzy kamieniami i drewnem, planując coś lub spiskując, ożywieni nadzieją lub płaczący z powodu spraw, o których dzisiaj już nikt nie pamięta.

Caitlin zadzwoniła do drzwi. Jesse otworzył je tak szybko, jakby czekał na nas, stojąc tuż przy nich.

- Wróć teraz na dół do Sophie, kochanie. - Caitlin pocałowała go w policzek i odwróciła się.

Kiedy podeszła do krawędzi schodów, spojrzała na nas przez ramię i uśmiechnęła się, wzruszając lekko ramionami; potem zbiegła szybko w dół.

Jesse ubrany był tego dnia na szaro; popielaty pulower, spodnie i skarpetki. Był bez butów. Dostrzegł, że zatrzymałem wzrok na jego stopach, i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cześć, Wyatt. Przebierałem się właśnie i jeszcze nie doszedłem do nóg. Wejdz.

Ich mieszkanie zaczynało się od długiego, ponurego korytarza, prowadzącego do równie ciemnego salonu, wypełnionego, ku memu zdumieniu, ogromnymi meblami. Ze wszystkich ścian atakowały mnie stare olejne obrazy przedstawiające górskie pejzaże oraz portrety otyłych jegomościów mających gęste brody i wyraz tępego samozadowolenia na twarzach. Wiedziałem, że Jesse Chapman jest zgreдем, ale nie, że aż takim.

Zauważył, iż rozglądam się badawczo.

- Piękne obrazy, nie sądzisz? Dzięki Bogu, nie są nasze. Kiedy przeprowadziliśmy się do Wiednia, odkryliśmy pewną niezwykłą zasadę rządzącą rynkiem lokalowym w tym mieście. Otóż jeżeli wynajmujesz „umeblowane” mieszkanie, znaczy to, że musisz je wziąć ze wszystkimi gratami, jakie w nim stoją i stać będą do końca świata, czy ci się to podoba czy nie. Nienawidzę tego kiczu. Wszystko wokół wygląda tak, jakby żył tutaj stu pięćdziesięciolatek. Kiedy zapytaliśmy gospodarza, czy moglibyśmy usunąć te sprzęty i wstawić własne, poczuł się dotknięty do żywego. A zatem, jest to moje mieszkanie i z pewnością płacę za nie wystarczająco dużo, ale jednocześnie nie wolno mi niczego zmienić.

- To jakby żyć w cudzej skórze.

- Dokładnie tak.

- No, dobrze, ale co się z tobą dzieje, Jesse? Słyszałem, że popadłeś w jakieś tarapaty.

- To dobre słowo. Siadaj na kanapie Frau Spusty - powiedział, wskazując mebel o kształtach i rozmiarach chorego na puchlinę wodorową sterowca; usiedliśmy na obu jego końcach, zwracając się ku sobie.

- Co wiesz na temat ptaków, Wyatt?

- Śpiew niektórych miło brzmi, a inne dobrze smakują.

- To prawda, ale posłuchaj tego.

Sięgnął w stronę niskiego stolika stojącego przed kanapą i podniósł małą, niebieską książkę, z której wystawały białe karteluszki pełniące funkcję zakładek. Odliczył kilka i na kolejnej otworzył tomik.

- Słyszałeś kiedykolwiek o ortolanie? Łacińska nazwa *Emberiza hortulana*.

- Nie.

- Sądzę, że jest wyśmienity. Posłuchaj: „Europejskie obzartuchy, jedząc osobliwie soczyste ortolany, nakrywają swoje głowy wielkimi serwetkami, dzięki czemu soki i tłuszcz nie pryskają na współbiedników”. Co ty na to?

- Nie obchodzą mnie ortolany, Jesse. Jestem potwornie zmęczony, źle się czuję i nie mam najmniejszej ochoty na kulinarny onanizm. Myślę, że byłoby lepiej, gdybyśmy porozmawiali o sprawach zasadniczych, zwłaszcza że tam na dole czekają dwie kobiety, które cholernie się o ciebie martwią.

- Ty nie?

- A ja nie. Nie ty jesteś moim przyjacielem, tylko Sophie. Martwię się o nią.

- Dostyc jasno to ująłeś. Ale posłuchaj uważnie... - Ku mojej irytacji przeczytał poprzedni fragment jeszcze raz. - Dał mi tę książkę Ian McGann. Zaznaczył w niej szczególne miejsca, z którymi powinienem się zapoznać. To był pierwszy fragment. Nie zrozumiałem żadnego i nie wiedziałem, o co mu chodzi. Siedział i patrzył na mnie, a ja nie potrafiłem mu nic powiedzieć. Znalazłem go, by zapytać o jego sny i o to, co się stało z moim życiem; jedynie on mógł to wiedzieć. Zamiast odpowiedzi, dał mi tę książkę o ptactwie. On i jego dziewczyna, na imię ma Miep, zatrzymali się w małym pensjonacie nieopodal hotelu „Danieli”. Mieli z okna ten sam widok za trzykrotnie mniejszą cenę. Miłe miejsce. Przytulne, znakomite. Znał je, ponieważ jego biuro podróży posyła tam turystów całymi stadami. Ianowi trudno się teraz poruszać, więc wiele czasu spędza, siedząc w oknie i obserwując gondole oraz kanały. Jeżeli czuje się na siłach, idą na kilka godzin do mieszczącej się niedaleko „Caffé Florian”. Bawi ich to, ponieważ Miep powiedziała jednemu z kelnerów, że Ian jest bardzo sławnym angielskim pisarzem, wracającym do zdrowia po poważnej chorobie. Teraz traktują go tam niczym członka rodziny królewskiej. Kiedy tylko pojawia się w drzwiach, szykują dla niego stolik i obsługują go najlepiej, jak można. Miep jest cudowna, Ian ma wielkie szczęście, że ona z nim jest. To śmieszne, że niektórzy ludzie otrzymują to, co w życiu najlepsze, przed samą śmiercią.

Jesse mówił cicho, ale z wewnętrznym żarem, jakby opowiadał szczególnie zabawną historię, która wydarzyła się co prawda bardzo dawno temu, lecz jest tak sympatyczna, że ciągle w jego pamięci zachowuje świeżość kwiatu. Chciałem mu przerwać i zadać parę pytań palących żywym ogniem mój umysł, ale wiedziałem, że to nie byłoby w porządku. Poza tym uważałem, że na wszystko przyjdzie czas. Na wszystko, co musiałem usłyszeć.

- Byliśmy właśnie w tej kawiarni, kiedy dał mi książkę i powiedział, bym przeczytał fragment o ortolanach. Kiedy skończyłem, zapytał, co o tym myślę. Co mogłem odpowiedzieć? To było po prostu zabawne, więc powiedziałem mu to. Wyobrazić sobie ludzi,



którzy siedzą przy stole z głowami nakrytymi serwetkami, by nie strzykać na sąsiadów sosem z pieczystego pomiędzy zębów, i nie śmiać się? Daj spokój, przecież to można ryczeć ze śmiechu!

Jesse potarł dłonie, potem wyciągnął ręce i obrócił je w górę i w dół.

- Nie sądzisz? Ale do rzeczy, patrzyłem na Miep, lecz nie uśmiechnęła się nawet; Ian także nie. Sięgnął przed siebie i położył dłoń na moim kolanie. „To jestem ja, Jesse. Ja ci to zrobiłem: rozpryskałem swoje sny dookoła ciebie, gdy ci je opowiadałem na Sardynii. I zobacz, co się przez to z tobą stało. Przykro mi. Strasznie mi przykro z powodu tego, co zrobiłem”. W tamtej chwili, pomimo całego dławiącego mnie przerażenia, poczułem ogromne współczucie dla tego człowieka.

- Jak on się teraz ma?

- O, to interesujące. Wygląda, jakby był bardzo chory, bez dwóch zdań, ale nie czuje się gorzej niż wtedy, kiedy poznałem go na Sardynii. Spodziewałem się czegoś gorszego, byłem wręcz przekonany, że już nie żyje, ale kiedy po raz pierwszy ujrzałem go w Wenecji, pomyślałem nawet, iż może jest z nim nieco lepiej.

- Nadal prześladują go sny o śmierci?

- Tak, ale obecnie potrafi już pojąć co nieco z udzielanych mu odpowiedzi. To dzięki temu nie jest z nim całkiem źle. Nie do wiary, ale różne sprawy rozumie. Poza tym wyznał mi, iż czyta wszystko, co tylko może znaleźć na temat śmierci i umierania. Odkrył, że czasem nieuleczalnie chorzy osiągają pewien rodzaj spokoju, gdy zaakceptują fakt, iż umierają. To była jedna z fundamentalnych zmian, jakie zaszły w lanie: w swoich snach nie jest już zły na śmierć za to, co z nim wyprawia. Gniew uszczupla energię życiową. Teraz Ian próbuje znaleźć tylko proste pytania, których zadanie śmierci nie powoduje u niego kolejnych spustoszeń.

Nie odezwałem się ani słowem, ponieważ nie miałem podobnych doświadczeń. Według mnie śmierć była równie zjadliwie sadystyczna jak zbrodnicza - i nienawidziłem jej bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Moje życie stawało się coraz gorsze, a zarazem pęczniało od cudownego bólu istnienia wraz z tym, jak zbliżał się mój koniec. Obok ciągle obecnego lęku przed nieznanym, sprawy tego świata, który miałem wkrótce opuścić, kusiły mnie wciąż mocniej swą wspaniałością. Każdego przeżytego dnia wzrastała moja miłość do tego, co traciłem. To nie było w porządku; tak czy inaczej, czekała mnie śmierć.

- Ian nauczył się zadawać tylko pewne pytania, to znaczy na tyle proste, żeby mógł zrozumieć odpowiedzi.

- Na przykład jakie?

- Nie mógł mi powiedzieć. A może nie chciał, przekonał się bowiem, że im więcej mówi, tym więcej spraw ulega pogorszeniu. Utwierdził go w tym pobyt na Sardynii.

- Dlaczego Miep nie podlega temu złowrogiemu wpływowi? Czemu ty, a nie ona?

- Ian nie wie, ale przypuszcza, że antidotum stanowi miłość. Wydaje się, że prawdziwe uczucie jest zdolne utrzymać śmierć z dala od ukochanej osoby.

- Zatem nie obawiasz się o Caitlin?

- Ją jedyną w życiu kocham, Wyatt. Tak naprawdę przeraźliwie się o nią boję, lecz muszę o tym z kimś porozmawiać, inaczej będę zgubiony. Muszę wierzyć w to, co Ian powiedział na temat miłości.

- Dlaczego nalegałeś na rozmowę ze mną?

- Ponieważ McGann twierdził, że przyjedziesz tutaj i będzie to ważne dla nas obu.

Westchnąłem z wrażenia.

- Wiedział o mnie? Skąd?

- We śnie widział nas obu w Wiedniu. Wiedział także, że będę go szukał. Oprócz tego, że przynoszą mu samo zło, jego sny, stają się coraz bardziej wieszczce. Mówił o tobie jak o greckim proroku, kimś w rodzaju Tejrezjasza z Króla Edypa. W tych antycznych dramatach jasnowidze są przeważnie niewidomi lub w jakiś inny sposób upośledzeni; to pozwala im dostrzec i zrozumieć rzeczy, o których my nie mamy pojęcia.

- Co Ian mówił o mnie?

- Opisał mi ciebie szczegółowo i dodał, iż będziesz w Wiedniu, gdy wrócę do domu. Przysięgam, nie miałem pojęcia, że przyjedziesz tu z Sophie.

- Dlaczego McGann śni o mnie?

- Bo jesteś jedynym człowiekiem, który może mnie ocalić. Tylko ty możesz powstrzymać moje sny, Wyatt.

- Jak mam to zrobić?

- Musisz odnaleźć śmierć. W rzeczy samej, to jest właśnie to, co pragniesz zrobić, czyż nie? Właśnie dlatego przyjechałeś razem z Sophie.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Oczywiście, że wiesz.

Czekałem, aż powie coś więcej, ale on tylko siedział, wpatrując się w książkę o ptakach i gładząc od niechcienia jej okładkę.

- O czym ty mówisz, Jesse?

Zacisnął usta, a kiedy spojrzał na mnie, w wyrazie jego twarzy była ledwo skrywana furia.

- Mówiłeś, że nie chcesz tracić czasu, Wyatt?! Okay, pogadajmy zatem o tym, co ci się przydarzyło, zanim tu przyleciałeś! Pogadajmy o pewnym glinie, którego spotkałeś w sklepie z maskami, i o tym, co od niego usłyszałeś. Pogadajmy o tym, co?

- Skąd wiesz...

- To nie ja wiem, to Ian. On teraz wie wszystko. Jest wspaniałym, chorym człowiekiem walczącym w najbardziej beznadziejnej z bitew, a ma jeszcze czas martwić się o mnie. Także o ciebie. Zna cię. To jest właśnie to, co usiłuję ci powiedzieć - on teraz widzi prawdziwe oblicze każdego zdarzenia.

- On jest chyba tym, który sprawił, że do nich doszło! Co ty na to, Jesse? Przecież to on cię zaraził!

- Być może będziemy musieli zrewidować swoje poglądy.

- Zrewidować się?...

- Powiedziałem: swoje, nie: się! Może to, co zrobił Ian, ocali mnie? Może jest to najwartościowsze, co mogło mi się przytrafić?

- Mógłbyś to rozwinąć? Z jakiegoś dziwnego powodu uważam, iż umieranie nie jest najlepszym, co może spotkać człowieka.

- Masz dosyć odwagi, Wyatt? Jesteś mężnym człowiekiem?

- Nie mam pojęcia. Nigdy nie znalazłem się w sytuacji, która wymagałaby ode mnie męstwa.

- Ani ja. Ale poczekaj chwilę. Mogę ci jeszcze coś przeczytać? To ważne.

- Czytaj.

Przez moment siedział nieruchomo, jakby podejmował decyzję, a potem sięgnął po inną książkę leżącą na stoliku.

- Jak z twoją znajomością Biblii?

Potrząsnąłem z powątpiewaniem głową.

- Posłuchaj tego:

*Gdy zaś wrócił i został sam jeden, ktoś zmagał się z nim aż do wschodu jutrzeńki, a widząc, że nie może go pokonać, dotknął jego stawu biodrowego i wywichnął Jakubowi ten staw podczas zmagania się z nim. A wreszcie rzekł: „Puść mnie, bo już wschodzi zorza!” Jakub odpowiedział: „Nie puszczę cię, dopóki mi nie pobłogosławisz!” Wtedy (tamten) go zapytał: „Jakie masz imię?” On zaś rzekł: „Jakub”. Powiedział: „Odtąd nie będziesz się zwał Jakub, lecz Izrael, bo walczyłeś z Bogiem i z ludźmi, i zwyciężyłeś”. Potem Jakub rzekł:*

„Powiedz mi, proszę, jakie jest Twe imię?” Ale on odpowiedział: „Czemu pytasz mnie o imię?” - i pobłogosławił go na owym miejscu.

Jakub dał temu miejscu nazwę Penuel, mówiąc: „Mimo że widziałem Boga twarzą w twarz, jednak ocaliłem me życie”\* [\*Rdz 32, 25-31, Pismo święte. Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań-Warszawa 1991 (przyp. tłum.)].

Jesse zamknął książkę.

- To jedna z tych znanych historii biblijnych, których uczymy się jako dzieci, by potem je ignorować przez resztę życia. Sądzę, że mówi dokładnie wszystko. Sny mocują się ze mną i z Ianem. Rak mocuje się z tobą. To jest to samo. Nikt z nas nie jest przygotowany do tej walki. W jednej chwili jesteśmy sami, w następnej siłujemy się z obcym, który pragnie nas zranić. Nie jest ważne, jakie życie było naszym udziałem do tej pory, gdyż nie musieliśmy „mocować się” z niczym. Czy potrafimy teraz to zrobić? Czy mamy dosyć siły? Czy znamy jakieś chwyt? Kto wie? Spójrz na Jakuba. On także nie wiedział, ale porzucił wszystko i wskoczył w sam środek nieznanego. W jednej chwili podróżował z rodziną, by w następnej walczyć z czymś zupełnie obcym. A potem okazało się, że jest dobrym „zapaśnikiem” i może siłować się z aniołem, czy cokolwiek to było, aż do zupełnego wyczerpania przeciwnika. Walczyć. Nigdy nie rozumiałem tej historii, póki nie przeczytałem jej jako człowiek zupełnie dorosły. Odwaga. Odwaga znaczy stanąć przed nieuniknionym i pozbawić go nadziei na zwycięstwo. „Mimo że widziałem Boga twarzą w twarz, jednak ocaliłem me życie”. To coś znaczy.

- To, z czym my się mocujemy, nie jest Bogiem - wtrąciłem. - To śmierć! Ona nie przysłała nam błogosławić ani pozwolić nam odejść. Ona chce zabić nas trzech. Nie da się pokonać śmierci ani jej zrozumieć. Jest tylko cierpienie i strach. Zostaliśmy pokonani na starcie.

- Nieprawda! Nie, jeżeli podejmiesz walkę; nie, jeśli masz wolę mocować się! Nie ma żadnego znaczenia, czy obcym jest Bóg, anioł czy śmierć. Jeżeli położymy się i powiemy: „Okay, zwyciężyłaś. Mam dosyć!”, to jesteśmy zgubieni. - Jesse przełożył sweter przez głowę i wskazał na obandażowane ramię. - Mam takie same blizny jak Ian. Przerażeniem napawa mnie myśl o zaśnieciu. Twoje rany kryją się wewnątrz, ale to nie ma większego znaczenia, są tak samo śmiertelne. Co się jednak stanie, kiedy przestaniemy się bać i zechcemy zrozumieć? Tylko dzięki przyjęciu wyzwania Jakub zrozumiał, kim naprawdę jest jego przeciwnik. I zwyciężył! Walczył z aniołem aż do jego wyczerpania!

- Śmierć nie jest aniołem!

- Może jest, ale na pewno nie takim, jak to sobie wyobrażamy jako dzieci. Widziałem, że oglądałaś rzeźbę z fontanny na dole. Chcielibyśmy, aby tak właśnie wyglądały anioły: tłuste, uśmiechnięte dzieciaczki z aureolą nad głową, które nam błogosławią. A co, jeżeli świat aniołów jest równie skomplikowany jak ludzki? Jeżeli są dobre i złe, niebezpieczne i życzliwe?

- To rozsądne, ale nieprawdziwe.

- Skąd wiesz? A może cały świat to Peniel? Anioł zmienił Jakubowi imię na Izrael. I Izrael stał się narodem. Życie jest uporczywym mocowaniem się z siłami, których nie pojmujemy. Może, jeżeli zwyciężymy, przeciwnik pobłogosławi nas?

- Policjant w sklepie powiedział, że mamy wolny wybór. Możemy żyć, jak chcemy. Do śmierci - mruknąłem na wpół do siebie.

Jesse pokiwał głową.

- Ian twierdził, że powodem, dla którego przybyłeś do Wiednia, jest znalezienie śmierci pośród rzeczywistości zwykłego dnia. Nie we śnie, jak ja czy on; ponieważ nie mamy zasad ani tamtego obszaru, nie mamy nad nim kontroli. Tutaj, w rzeczywistym świecie, jak Jakub. I śmierć jest tutaj; i tylko ty potrafisz stawić jej czoło z nadzieją na sukces.

- Co powinienem uczynić, kiedy już ją odnajdę? Zaproponować partię szachów?

- Nie. Musisz zadać wszystkie najbardziej niebezpieczne pytania, jakie przyjdą ci do głowy. Jeżeli, oczywiście, znajdziesz w sobie wystarczająco dużo odwagi. Ty jesteś człowiekiem, który może ocalić i mnie, i McGanna. Ian twierdzi, iż to jedyna rzecz, którą w pełni rozumie.

- Dlaczego ja?

- A dlaczego Jakub? Dlaczego my z Ianem miewamy sny, które zjadają nas po kawałku niczym drapieżne bestie? Dlaczego niektóre komórki twego ciała nienawidzą cię tak bardzo, iż pragną twojej śmierci? Ponieważ każdy musi walczyć, a niektórzy zmuszeni są mocować się za wszystkich innych. Podejdz do okna, Wyatt. Spójrzmy na naszego aniołka w dole. - Jesse wstał i uśmiechnął się. - Może tym razem coś nam powie. Ciągle mam taką nadzieję!

Zbliżyłem się do niego i obaj spojrzeliśmy na urokliwy podwórzec. Ku swemu zdumieniu ujrzałem Sophie i Caitlin stojące obok fontanny. Sądzę, iż nie widziały nas, żadna z nich bowiem nie zareagowała na nasze pojawienie się w oknie, chociaż obie patrzyły w górę, każda z niemal identycznym wyrazem twarzy - pełnym troski, zmieszania i nadziei. Jakby w każdej chwili mogło się coś wydarzyć. Jakby już coś się stało.

**Arlen**

20 kwietnia

*Najdroższa Rose,*

*to było wspaniale móc pogadać z tobą i z Rolandem w zeszłym tygodniu, chociaż muszę ponownie stwierdzić, że najbardziej lubię kontakt z tobą za pośrednictwem naszych listów. W czasie rozmowy telefonicznej czuję się przymuszona do mówienia wszystkiego bardzo szybko, dokładnie, w pełni precyzyjnie... i nienaturalnie. To odpowiednie słowo. Przez telefon wszystko wydaje się sztuczne - nieważne, jak bliska przyjaźń łączy rozmówców ani jak długo rozmawiają. Czy zgadzasz się z tym? Słyszysz cudownie wierny głos, w którym pobrzmiwa frustracja, ponieważ twojej przyjaciółce wydaje się, że jesteś tuż za ścianą. Chciałaby sięgnąć za pośrednictwem tej durnej maszyny poprzez ocean i ściągnąć cię natychmiast do siebie. Nie ma znaczenia, jak długo trwa rozmowa; jeżeli pojawiają się w niej jakieś wahania czy przerwy, mój umysł pracuje ze zdwojoną szybkością, by wypełnić czymś tę śmiertelną ciszę - zachowuję się niczym radiowy disc jockey. Nawet z kimś takim jak ty, drugą połówką mej duszy, czuję potrzebę bawienia cię lub bycia interesującą na tyle, by było to warte kosztów transatlantyckiego połączenia. Wiem, że uważasz to za głupotę - objaw narastającej we mnie aktorskiej paranoi - ponieważ spośród wszystkich ludzi właśnie wobec ciebie nie powinnam odczuwać niczego podobnego. Jednak tak jest - w związku z tym ponad składanie „telefonicznych wizyt” przedkładam pisanie naszych długich listów. Jak obszerny był ostatni, który do ciebie wysłałam? Miał chyba ze dwadzieścia stron. Taaak... uwielbiam to. Nad kartką papieru mogę się nie śpieszyć i bez przykrego wrażenia, że jestem przez ciebie ponaglana, paląc jednocześnie papierosy, których tak nie znosisz, mogę zastanawiać się godzinami lub dniami, co chcę ci powiedzieć; a jeżeli nie mam pod ręką zapalek, mogę wstać i poszukać ich bez obawy, że zirytujesz się, iż - via telefon - pozostawiłam cię zbyt długo samą.*

*Ponieważ mieszkam daleko od miasta, listonosz nie zjawia się u mnie wcześniej niż o drugiej po południu i jeżeli przynosi coś interesującego, zadaję sobie tortury, nie otwierając z miejsca przesyłki. Zamiast tego, niczym dziecko obnoszące swój urodzinowy prezent na podółku, by przedłużyć rozkosz oczekiwania, kładę ją (cokolwiek to jest - twój list lub sprowadzona z Ameryki książka, której lektury niecierpliwie oczekuję) na kanapie. Idę do kuchni, miele kawę i biorę swoją ulubioną, pękatą, szarą filizankę oraz resztę potrzebnych mi przyborów. Czekam, aż kuchnia wypełni się wspaniałym, gorzkim aromatem parzonej kawy, zastanawiając się cały czas, co też jest w liście i co mnie spotka po powrocie do pokoju.*

*Czekanie, czekanie. Stawiam kawę na tacce obok popielniczki i Kipferl lub kilku kromek świeżego chleba, jeżeli akurat go mam. Teraz w drogę, do salonu. Powoli, nie śpiesz się! Uczyń oczekiwanie jeszcze bardziej bolesnym, a zarazem rozkosznym. Celowo omijam kanapę, spoglądając pożądliwie głodnym wzrokiem na kopertę lotniczą, bielejącą na czarnej skórze mebla. Wychodzę na taras i przygotowuję wszystko do mającej nastąpić uczyty. Dopiero kiedy świat dookoła jest doskonale przyszykowany do tej chwili, mogę wrócić po list i otworzyć go.*

*Ironia naszej zesłotygodniowej rozmowy telefonicznej polegała na tym, że ostatni list od ciebie otrzymałam dzień później, ale nadal byłam równie podniecona chęcią ujżenia twojego pisma jak wcześniej tym, iż słyszałam twój głos w słuchawce. Ludzie powiedzieliby pewnie, że jesteśmy w sobie zakochane.*

*Dzisiaj chciałabym odpowiedzieć na twoje pytania dotyczące życia „za morzem”. Pragnęłaś wiedzieć, jak się czuje, mieszkając długo w kraju, w którym nikt nie rozumie mojego języka? Jak powiedziałam, jest to w pewien sposób izolujące; powoduje powstanie uczucia samotności. Często mówię do siebie samej; dużo częściej niż kiedykolwiek przedtem, ale to może być wynikiem starzenia się i stawania bardziej ekscentryczną. Tym, co w Kalifornii doprowadzało mnie do szaleństwa, była nieprzebrana liczba przyprawiających o mdłości rozmów prowadzących donikąd. Wszyscy gadali tam jak najęci, szczególnie ludzie z branży. Każdy miał coś do powiedzenia, ale zbyt często na końcu dyskusji wychodziło na jaw, i to nawet jeżeli bardzo się starałam, iż nie pamiętałam ani słowa z tego, co paplał mój interlokutor. Jeżeli człowiek nie uważał, stawał się taki sam - jednym „kliknięciem” umysł i język wysyłały go pod zwierzchnictwo powszechnej w Los Angeles przypadłości, zwanej pląsawicą myśli. Rozumiesz, o czym mówię? Chodzi mi o przypadek, kiedy człowiek nie śpi i jest przytomny, jego usta poruszają się zgoła normalnie, a jedyne, co mózg produkuje za ich pośrednictwem, to zwykła sieczka. W związku z tym wolę teraz ten przeklęty niemiecki; stanowi miłe wyzwanie, zwłaszcza gdy moje krótkie, kretyńskie zdania, wprawiają wszystkich w zakłopotanie. Ale cóż za satysfakcja, kiedy uda mi się powiedzieć coś poprawnie!*

*Mieszkam tutaj od sześciu miesięcy i staram się przekonać samą siebie, że już tu zostanę i że nie jest to tylko przystanek na drodze prowadzącej gdzieś daleko stąd. Nie wiem, czy przyjdzie mi spędzić resztę życia w Austrii, ale z pewnością chcę tu pozostać jeszcze przez kilka najbliższych lat. Z początku nie lubiłam samotności wynikającej z bariery językowej. Oczywiście, mogłam pójść do miejscowego Feinkostu i uciąć sobie powolną pogawędkę ze stojącym za kontuarem Herr Patzakiem o tym, że podróżowało masło, ale nie można tego uznać za prawdziwą rozmowę - moje sylabizowanie byłoby bardziej na miejscu w przedszkolu lub na*

*kursie niemieckiego. Na dodatek wyrażenia, które naprawdę znam i rozumiem, niekiedy przybierają nagle setkę nowych znaczeń.*

*Innymi słowy: życie z dala od domu przypomina unoszenie się ponad ziemią w balonie wypełnionym gorącym powietrzem - powiedzmy trzydzieści stóp nad gruntem. Wznosisz się jeszcze trochę - czterdzieści stóp i perspektywa jest zgołą inna, chociaż elementy krajobrazu są ciągle rozpoznawalne. Żeglujesz ponad ludźmi i możesz pochwycić oraz rozszyfrować strzępki rozmów czy polatujące ponad ich głowami oddzielne słowa, a nawet całe frazy, ale nie pojmiesz istoty rzeczy. Świat staje się inny, kiedy doświadczasz go z zupełnie nowego punktu widzenia. W Ameryce, pomiędzy mówiącymi po angielsku, czuję się niczym ryba w wodzie i nie potrzebuję obserwować otoczenia zbyt bacznie. Tutaj natomiast bardziej jestem zmuszona właśnie do przyglądania się wszystkiemu niżli do słuchania; jeżeli słucham, to raczej „rzeczy”, nie języka.*

*Ciemną stroną mojego życia jest to, że popadam w depresje, o których rozmawialiśmy wcześniej. Jest coś przerażającego w wykopywaniu swoich słupów granicznych i przesuwaniu ich na nowe terytoria. Jednego dnia podziwiasz siebie za odwagę, by innego obudzić się rano z myślą: „Dobry Boże, co ja tutaj robię?” Jest to niezmiennie pytanie, które pojawia się zawsze, kiedy zaczynasz się zastanawiać nad dalszym życiem. Patrząc na czekający cię labirynt miesięcy i lat, które, masz nadzieję, jeszcze ci pozostały, zacukasz się czasem: „Jak zdołam przebyć tę drogę?” Zadajesz sobie to pytanie niezależnie od miejsca, w którym akurat przebywasz, lecz odczuwasz je głębiej, gdy znajdujesz się z dala od domu i nie możesz pogrążyć się w znanej ci kulturze oraz wieloletnim przyzwyczajeniu. Zresztą, może ja tylko za bardzo się ze sobą pieszczę?*

*Kochany Weber jest znakomity, jeśli chodzi o przysyłanie mi książek, co do których ma nadzieję, że mi się spodobają. Mam mnóstwo powieści i tomików poezji. Jestem zdumiona, znając jego rozkład dnia, jakim cudem znajduje czas na czytanie. Jednym z jego ulubionych poetów, którego szczerze mi poleca, jest Charles Simic. Przeczytaj poniższy fragment, pochodzący z wiersza Wieczorna rozmowa:*

Wszystko, czego nie pojmujesz.

Czyni cię takim, jakim jesteś. Nieznajomi.

Których spojrzenia chwytasz na ulicy.

Obserwują cię. Być może są wszystkowiedzącymi

Prorokami? Wiedzą to, czego ty nie wiesz.

I pozostawiają cię zdrczonego jak po dziwnym



Śnie...

*Dokładnie tak właśnie się czuję, szczególnie wtedy, gdy jestem przygnębiona. Potrzebuję wokół siebie ludzi znających wielkie odpowiedzi na wielkie pytania. Gdybym ich, znalazła, pomogliby mi na tysiączne sposoby. Czy to nie głupie? Czy mądrze jest oczekiwać, że ktoś powie mi, co mam zrobić, żeby zyskać miłość i spokój? To brzmi sympatycznie, chociaż nigdy nie uważałam się za optymistkę. W jednym ze swoich młodzieńczych wierszy (który przeczytałam ponownie) Weber napisał:*

Kiedy już będziemy starzy, zawiśniemy ponad  
światem w hamaku naszych wspomnień.

*Ale jakie będą te nasze wspomnienia, jeżeli teraz nie będziemy żyć prawdziwie? Jak to się dzieje, że tak wielu starych ludzi jest pomarszczonych nie tylko z powodu wieku, ale również na skutek nienawiści, zniechęcenia oraz doznanych rozczarowań? A teraz, przyjaciółko, spójrz na siebie - masz kochającego cię mężczyznę i zdrowe dziecko. Czy to tylko szczęśliwy przypadek, czy właściwe życie, czy jeszcze coś innego?*

*Wczoraj byłam na kolacji u Easterlingów i spędziłam cudowny wieczór. Lubię ich; oboje mają w sobie wewnętrzny spokój i budującą ufność. A poza tym są niezwykle zabawni. Opowiadali anegdoty, od których pękałam ze śmiechu; przysięgłam sobie, że ci je opiszę. Na pierwszy ogień pójdzie Maris.*

*Jej ojciec stanowił okaz drania pierwszej klasy; cała rodzina żyła to śmiertelnym strachu przed nim. Jako karę stosował policzkowanie krnąbrnych, a nie pytanym nie pozwalał się odzywać - to ten rodzaj tyrańca. Nasz tatuś to bydlak. W czasie posiłków panowała zawsze absolutna cisza, chyba że Tatko powiedział coś lub o coś zapytał. Dzieci musiały trzymać opuszczone głowy, ponieważ już samo podniesienie na niego wzroku i przyglądanie mu się było uznawane za zuchwalstwo. Pewnego wieczoru rodzina zasiadła do kolacji o zwykłej porze, mimo nieobecności Tatki, co było zupełnie do niego niepodobne. Pojawił się jakieś dziesięć minut później, wodząc wokół wzrokiem pokąsanego przez węże fakira, który na dodatek dostąpił religijnego objawienia. Oczy miał wielkie niczym dekle samochodowe, a włosy sterczały mu na głowie jak druty; z ust toczył pianę, ręce mu się trzęsły. Przedstawiał sobą widok tak osobliwy, iż Maris nie mogła się powstrzymać, by nie zapytać, co się przydarzyło kochanemu tacie. „Piorun we mnie strzelił!”, brzmiała odpowiedź. Szedł ulicą, kiedy zaczęło padać; nagle zagrzmiało i błyskawica, skwiercząc, powaliła Tatkę na miejscu.*

*Był jednak tak złym człowiekiem, że nawet grom nie zdołał go zabić! To w sumie okropna historia, ale Maris przedstawiła ojca jako wielkiego nikczemnika, a życie z nim pod jednym dachem jako rządu terroru - kiedy więc usłyszałam, co się stało i jak musiał wyglądać tamtej nocy, stojąc przy ich zastawionym do kolacji stole, wybuchnęłam śmiechem.*

*Rozmawialiśmy potem o czasach studenckich i Walker powiedział, iż znał kobietę, która przyszła na bal podyplomowy do Palladium w Nowym Jorku przebrana za Lizę Minnelli. Były tam te wszystkie Myszkki Miki w najczystszej postaci, a cały tłum podrygiwał na parkiecie. Nieprzerwany ciąg bohaterów filmowych i tych niezobowiązujących „spotkajmy się przy barze”; tego rodzaju zabawa. Po pewnym czasie owa kobieta udała się do damskiej toalety, a kiedy już stojąc przed umywalką, poprawiła makijaż, weszła olśniewająco piękna dziewczyna w niezwykle obcisłej sukience. Stała obok i zaczęła gapić się na tamtą.*

*- Mój Boże! Birgit Thiel! To naprawdę ty! - zawołała. Birgit spojrzała na boginię przy sąsiedniej umywalce, ale nie rozpoznała jej. Nic a nic.*

*- To ja, Richard Randall! Nie pamiętasz mnie? Liceum Mili Valley, rocznik osiemdziesiąty szósty! Chodziliśmy razem na zajęcia kółka dramatycznego - zapiszczał(a).*

*Przez ponad minutę Birgit Thiel przyglądała się z niedowierzaniem, próbując uzmysłwić sobie, kto do niej mówi. Kiedy prawda dotarła do niej - wymiękła. W czasach szkolnych Richard Randall był raczej nietowarzyski i zdawało się, że nikogo w klasie nie zauważa. Teraz stał się Rochelle i wyglądał niczym przybyła z Las Vegas bogini seksu. Nasza dziewczyna usiłowała odzyskać równowagę ducha i stanąć mocno na nogach w świecie nagle pozbawionym siły ciężkości, podczas gdy Rochelle trajkotała jak najęta, wspominając czasy, kiedy obie występowały w Oklahomie. Czy nie chciałabyś, Rose, być tam i oglądać tej sceny?*

*W niektórych ludzi musi uderzyć grom, inni operują swe ciała, by się zmienić... Ja jestem w dużo szczęśliwszym położeniu - wystarczy mi spojrzeć na własne życie, żeby od razu stwierdzić, iż nikogo nie kochałam, nie miałam żadnej pasji, nie troszczyłam się o to, co zdarzy się dzisiaj, jutro lub za tydzień. Pytasz mnie, dlaczego porzuciłam dotychczasowe życie i przenieśliśmy się do Austrii? Teraz, kiedy o tym myślę, to sądzę, iż odpowiedź jest dosyć prosta. Życie musi mieć własną geografie. Barwy, góry, różnorodność... Jeżeli nie ma tego, to znaczy, że mieszkasz na Księżycu lub pośrodku pustyni; i kiedy przyjrzesz się temu miejscu, przekonasz się, iż tylko najbardziej niesamowite, najbardziej zawzięte jaszczurki oraz owady mogą przetrwać tam, gdzie poza chłodem lub gorącem nie ma nic więcej. Ale to nie jestem ja. Być może, co mnie najbardziej przekonuje, straciłam już swoją „geografie” bez względu na to, jakie bogactwo kryło się w moim wnętrzu? Nie, zaczekaj: może stwierdziłam, iż staję się*

*jednym z owych obrzydliwych, drobnych pustynnych insektów spędzających, całe dnie na kopaniu w piasku nie kończących się tuneli?*

*Dosyć o tym.*

*Ciao, Main -*

*Arlen*

*Droga Rose,*

*mamy już koniec maja, a ja tak długo nie pisałam do Ciebie! Wybacz, proszę. Prawda jest taka, że przez całe tygodnie tkwiłam w psychicznym dołku i bez względu na to, ile porcji tortu Sachera zjadałam i ile wypijałam młodego białego wina, nie byłam w stanie wydostać się z oków lęku. Wynikiem tego, w sporej części, był wielki błąd, jaki popełniłam niedługo po napisaniu poprzedniego listu do Ciebie. Kiedy przyjechałam do Austrii, przysięgłam sobie, że już nigdy więcej nie będę „tą” Arlen Ford, którą ludzie znali wcześniej. Och, oczywiście, czasem ktoś zatrzymywał mnie na ulicy, prosząc o autograf, co było nawet miłe, ale szczerze mówiąc, nie pragnęłam tego. Niedawno wypożyczyłam kasetę ze starym filmem z Tonym Curtisem, Wielki oszust, i obejrzałam go z prawdziwym zadowoleniem. Bohater wciela się w wiele rozmaitych postaci, podejmując różne profesje i radząc sobie znakomicie niemal w każdej z nich. Ludzie nie kwestionują jego autorytetu, ponieważ jest dobry w tym, co robi. Wiem, iż z mojej strony to naiwne pytanie, ale dlaczego sami nie potrafimy przestać żyć według jednego schematu i po prostu nie zmienimy swego losu, jeżeli nie zmuszą nas do tego inni? To brzmi dziecinnie, ale ja naprawdę nie chcę już nigdy więcej być aktorką; ten zawód uczynił mnie pustą i ogromnie nieszczęśliwą. Nadszedł taki czas, kiedy stwierdziłam, że mniej byłam człowiekiem, a bardziej postacią. Aktorstwo jest wspaniałym zawodem, szczególnie jeżeli odnosi się sukcesy, lecz czyż niewdzięcznością jest powiedzieć, że mam go po dziurki w nosie i chciałabym teraz poświęcić się czemuś zupełnie innemu? Tylko czemu? Co ja chcę właściwie robić? Niestety, nie wiem jeszcze. Z drugiej strony jednak, pół życia zajęło mi podjęcie decyzji, iż zostanę aktorką. Może zatem przez następną połowę będę się zastanawiać, co dalej? Jednocześnie przeszłość, niczym psie gówno, przykleja się do podeszew moich butów.*

*O czym ja właściwie mówię? Ostatnio jakiś włoski dziennikarz zmaterializował się na progu moich drzwi z prośbą o udzielenie mu wywiadu. Zdumiałam się jego bezczelnością, iż pojawia się bez wcześniejszego umówienia, ale lubię ludzi z nerwem, pod warunkiem że nie stają się nieprzyjemni. Zaprosiłam go na herbatę. Z początku wydawał się interesujący. Mnóstwo wiedział na temat moich filmów i był dobrym rozmówcą. Miła pogawędka w sam*

*raz na srodowy poranek. Był atrakcyjny, szczupły, a ja - jak ci mówiłam wcześniej - od dosyć dawna trwałam w celibacie. Fakt, że ten dziennikarz był przystojny, nie ranił mnie specjalnie! Nie zamierzałam iść z nim do łóżka, ale przyjemnie było przebywać w jednym pokoju z ładnym chłopakiem. Rozmawialiśmy, trochę się pośmialiśmy i pomyślałam: „Och, do diabła, niech zrobi ten swój przeklęty wywiad, może to nawet będzie interesujące”.*

*Zaczęło się z pozoru niewinnie. „Szokujące” pytania: „Dlaczego odeszłam z branży? Czemu mój wybór padł na Austrię? Która rola jest moją ulubioną?” Staralam się mówić mądrze, błyskotliwie i zabawnie ale mniej więcej w połowie tych męczarni dostrzegłam jakiś zły błysk w jego oku, który powiedział mi, że go to nie interesuje. Momentalnie przestałam być słodką Arlen i zapytałam, czego naprawdę chce. Uśmiechnął się niczym stuzębna barakuda i powiedział, że ma dosyć materiału na wywiad, czy moglibyśmy zatem porozmawiać przy wyłączonym magnetofonie. „O co chodzi, panie dziennikarzu?” O to mianowicie, iż krążą plotki, jakoby prawdziwym powodem, dla którego Arlen Ford z taką gracją opuściła świat kina, było to, iż umiera na AIDS, ulubioną chorobę ludzi show - biznesu - i oczywiście nie chce, by ktokolwiek o tym wiedział. Jakbym naśladowała Freddy'ego Mercury'ego i zamierzała powiadomić o tym prasę na dzień przed śmiercią!*

*Nie poddając się złości, odparłam, iż będę szczęśliwa, mogąc mu pokazać wyniki badań, którym musiałam się poddać trzy tygodnie wcześniej w związku z moimi staraniami o austriackie ubezpieczenie. Powiedział, iż chciałby to obejrzeć. Ciągle spokojna, poszłam do swojego pokoju i przyniosłam papiery. Masz, patrz, żadnego AIDS. Następne pytanie? Wyobraź sobie, że ten sukinsyn miał ich jeszcze całkiem sporo!*

*Najbardziej niepokoiło mnie to, że nigdy dotąd nie rozmawiałam z dziennikarzem, który by lepiej wykonywał swoją pracę. Wydawało się, że wie o mnie więcej, niż to w ogóle jest możliwe. Kiedy zapytałam, skąd ma te wszystkie informacje, wyznał, iż spędził półtora miesiąca, badając i sprawdzając całą prawdę o mojej przeszłości. Nagle zrozumiałam, jak musieli czuć się ludzie postawieni w latach pięćdziesiątych przed komisją McCarthy'ego, przesłuchiwani na temat poznanych przypadkowo osób czy spotkań, które nierzadko odbyli dwadzieścia lat wcześniej! To było przerażające, ale jeszcze bardziej - przygnębiające. Kiedy już oswoiłam się z jego pytaniami, wydały mi się co najwyżej irytujące. Jednak najbardziej wstrętne w tym wszystkim było wrażenie, iż tonę, a całe moje życie staje mi po raz ostatni przed oczami. I znienawidziłam to, co ujrzałam.*

*Cóż uczyniłam, by zasłużyć na współczucie lub przebaczenie? Zrezygnowałam z kariery, czułam się bowiem kompletnie pusta - i to napawało mnie strachem. Kiedy jednak twoje życie rozpostrze się przed tobą niczym mapa lub ujrzysz je w jednym błysku danym*

*umierającemu, wówczas kulisz się z przerażenia na widok popełnionych błędów, zachłanności, jałowości... Rozpaczliwie zapragnęłam dostać wydruk komputerowy, taki jak wynik testu na AIDS, w którym na zwykłym kawałku papieru stałoby czarno na białym, że wszystko jest ze mną w porządku i jestem moralnie czysta. Jedyne taki dokument świadczyłby dosadnie mrowiem liczb oraz naukowych i medycznych terminów, że żyłam dobrze. Powinna znajdować się na nim skala od zera do dziesięciu i jeżeli ktoś zmieściłby się na niej wraz ze swymi uczynkami, znaczyłoby to, iż szedł przez życie właściwą ścieżką i nie ma powodów do niepokoju. Ale nie miałam takiego wydruku, by mu go podsunąć przed oczy. Ta wstrętna mała gnida ciskała we mnie faktami niczym piłeczkami: znajdowały się wśród nich wypowiedzi na mój temat byłych kochanków i znajomych (miał nawet oświadczenie naszego nauczyciela angielskiego z jedenastej klasy, w którym obie się kochałyśmy!), recenzje, począwszy od mojej pierwszej roli, liczby sprzedanych biletów na filmy, które zrobiły klapę... a wszystko to zabarwiał zgryźliwym: „No i co ty na to?”*

*Kiedy byłam małą dziewczynką, moi rodzice wynajmowali na lato bungalow z wielkim ogrodem. Pewnego popołudnia mama zaprosiła na kawę kilkoro przyjaciół. Podczas gdy dwoje z nich rozmawiało, siedziałam na moim ulubionym drzewie, ćwicząc się w wydawaniu indiańskich okrzyków wojennych i znakomicie się bawiąc. W końcu jeden ze znajomych mamy powiedział wystarczająco głośno, bym go usłyszała: „Tej dziewczynie brakuje porządnego kompleksu niższości”. No i trzydzieści lat później spełniło się to.*

*Nie opowiadałam ci dotychczas, że jako wolontariuszka pracuję w szpitalu dziecięcym w Wiedniu. Powiedziałam, że będę robić wszystko, cokolwiek mi zlecą. Przydzielono mnie na salę, w której leżą nieuleczalnie chore dzieci mówiące wyłącznie po angielsku. Chodzę tam codziennie i głównie czytam im lub bawię się z nimi w różne gry - zależnie od tego, w jakim są nastroju. Podchwyciłam ten pomysł od Webera po tym, gdy mi powiedział, że pracował z chorymi na raka w Nowym Jorku.*

*Jak pewnie przypuszczasz, widok tej heroicznej walki toczonej przez dzieci każdego dnia nawet nie o życie, ale o nieco spokoju i komfortu, powoduje, iż moje własne rozterki wydają mi się głupie i odrażające. Codziennie opuszczam budynek szpitala z sekretnym poczuciem szczęścia, że jestem zdrowa i żywa, lecz wystarczy go do momentu, kiedy dotrę do domu, gdzie na powrót wpadam w apatię i czuję do siebie obrzydzenie, które od pewnego czasu wydaje się stałym gościem w moim życiu.*

*Wczoraj przeżyłam wstrząs. Wyszłam właśnie ze szpitala na ulicę. Był jeden z tych cudownych, letnich wieczorów, gdy wszystko pachnie odurzająco. Przez trzy poprzednie godziny grałam w „Monopol” z Sorayą i Colinem. Krzyczeli, kłócili się i paplali jak*

normalne, zdrowe dzieci; coś wspaniałego. Stałam na chodniku z rękami w kieszeniach i nigdzie się nie śpieszyłam. W pewnej chwili usłyszałam za sobą odgłos szurania i jakiś hałas. Odwróciłam się i ujrzałam bardzo atrakcyjną parę młodych ludzi; on pochylał się nad klęczącą na trotuarze kobietą, pomagając jej wstać. Szybko stwierdziłam, że mężczyzna usiłuje przemocą postawić ją na nogi, a ona opiera się temu. Pozostawała na klęczkach, uderzając się pięściami po udach i krzycząc: „To nie w porządku! Tak nie powinno być! To niesprawiedliwe! Och, Boże, to naprawdę nie jest w porządku!”

Nie szlochała ani nie lamentowała: po prostu rozpaczliwie klęczała - to najlepsze określenie. Wyśpiewywała swój żal i smutek. Jej mąż płakał, a jednocześnie na jego twarzy gościł wyraz zażenowania. Podnosił ją za ramiona, mówiąc: „Daj spokój, wstań, daj spokój...” Ale ona nie chciała się podnieść. Co ich spotkało w szpitalu? Czy umarło ich dziecko? Czy może powiedziano im, że nie ma dlań ratunku? Czy też odwiedzając je po raz pięćdziesiąty, ujrzeli cierpienie i nieszczęście, na jakie nie zasługuje żaden malec na świecie?

Podbiegłam do nich i zapytałam, czy mogłabym w czymś pomóc. Oboje zamarli, zmrożeni, i spojrzeli na mnie takim wzrokiem, jakbym wyśmiewała się z nich; w ich oczach czaiła się nienawiść. Przeszkodziłam im w ich żalości i w jakiś sposób wszystko to, co się stało, było teraz moją winą. Kobieta poderwała się na równe nogi, odepchnęła mnie i pobięła przed siebie. Mężczyzna ruszył za nią. Kiedy obejrzał się, jego twarz mówiła: „To ty powinnaś umrzeć!”

I mieli rację. Jeżeli życie jest sprawiedliwe, co dobrego uczyniłam komukolwiek, oprócz siebie samej? Co dobrego w ogóle kiedykolwiek zrobiłam, poza ofiarowaniem ludziom kilku ulotnych godzin rozrywki i odesłaniem ich zaraz potem na powrót do ich życia - ani lepszych, ani mądrzejszych, ani spokojniejszych? Nie mam dzieci, nikogo nie kocham. Pieniądzy posiadam więcej niż wypada, ale ciągle się obawiam, czy mi ich wystarczy do końca życia. Ale jakiego życia? Nie wiem nawet, czy w ogóle kiedykolwiek kogoś kochałam - i już samo to budzi przerażenie w tym worku gówna, jakim jestem. Czytam książki, chodzę z psem na spacer i pracuję w szpitalu, gdzie dzieci toczą walkę, której ja z pewnością bym nie podolała; żyję z dnia na dzień.

Reasumując: Arlen Ford zagrała w kilku filmach, pieprzyła się z mnóstwem mężczyzn, nieprzyzwoicie długo martwiła się o siebie i została rozpoznana przez włoskiego dziennikarza i parę wiedeńców jako to, czym naprawdę jest - cień, szalbierstwo i jałowe pole. Ucałowania.

Arlen

Cześć, Rose, kochanie. Tym razem zamiast listu posyłam ci taśmę magnetofonową. Przeżyłam kilka dziwnych tygodni i chciałabym się po prostu wygadać. Kiedy siadłam do pisania, nie nadążałam z notowaniem kłębiących się we mnie myśli, a bardzo chciałam przekazać ci wszystko na żywo - stąd to nagranie. Wybacz mi, jeżeli będę się powtarzać bądź przeskakiwać z tematu na temat, ale próbuję jednocześnie opowiadać i analizować to, co zaszło. Sama wiesz, jaki to powoduje mętlik w głowie; jeżeli jednak nie mogłabym plątać się w opowieści dla ciebie i nie być z tego powodu zawstydzona, to któż by mi pozostał?

Jak zapewne zrozumiałaś z mego poprzedniego listu, ostatnimi czasy moja egzystencja po tej stronie oceanu stała się ponura i pełna wątpliwości. Mówiąc prawdę, było tak źle, iż stwierdziłam, że czas najwyższy wydostać się z tej czarnej dziury. Jednym ze sposobów na to - lepszym od ukrywania się na moim wzgórzu niczym postać żywcem wyjęta z powieści Kafki - jest skoczyć z powrotem w wartki nurt zewnętrznego życia. W każdym razie nie panikuj i nie dzwoń, by sprawdzić, czy nie powiesiłam się na winorośli! Wszystko jest w porządku i to tak dalece, że aż mnie samą to niepokoi. Ale do rzeczy.

Zaczęło się w operze. Każdego roku w maju odbywa się w Wiedniu wielki festiwal kultury i przy tej okazji w Operze, Konzerthausie, w Towarzystwie Muzycznym oraz w wielu innych miejscach tego zwariowanego na punkcie muzyki miasta pojawiają się niemal wszystkie związane z nią wielkie nazwiska. Nigdy nie lubiłam opery. Jasne, wiem, że to jest miejsce, gdzie ludzkie głosy stają się najwspanialszym instrumentem, a muzyka jest nadmysłowa... Słyszałam te argumenty, ale mimo to sztuka operowa nadal mnie nie porywa. Może dlatego, iż śpiewacy nie grają jak aktorzy; jeżeli już w ogóle się poruszają, to kroczą ciężko po scenie, machając ramionami niczym Wielki Ptak z Ulicy Sezamkowej, usiłujący poderwać się do lotu. To stanowczo nie dla mnie.

Ponieważ jednak próbuję zacząć tutaj nowe życie, kupiłam bilet na premierę i włożyłam nową suknię. Wszystko, co prowadziło do fatalnego końca, było wspaniałe: zarówno majestatyczność samego budynku, jak i snobistyczna publiczność o twarzach zmrożonych przez forszę i jawnie okazywane lekceważenie dla świata. Miałam wrażenie, iż oto znajduję się w miejscu, które jest za pan brat z historią.

Kiedy zgasły światła i zagrzmiała muzyka, poczułam tak silny napad klaustrofobii, że jak oparzona wystrzełam z fotela, by poszukać wyjścia. Nie zwracałam uwagi na to, komu deptę po nogach i przeszkadzam - musiałam koniecznie wydostać się stamtąd, zanim głowa mi eksploduje. Miałas kiedyś atak paniki? Ja nigdy dotąd, i nie wyobrazasz sobie, jak mnie to przeraziło. W takiej chwili nie masz zupełnie kontroli nad sobą. Żadnej! Strach niczym gorąca, bulgocząca lava pochłania wszystko i nie znajdujesz w sobie dosyć siły, by to

powstrzymać. Wypadłam z teatru wprost na kobietę, która była uszczęśliwiona, kiedy zaoferowałam jej swój bilet.

Pamiętasz, gdzie znajduje się Opera? Dokładnie na końcu Karntnerstrasse, spacerowo-handlowej ulicy w centrum miasta. W pogodne dni staje się ona aleją ulicznych muzykantów i aktorów popisujących się przed przechodniami. Czułam się tak szczęśliwa, że nie jestem już w dusznym, pozbawionym dopływu świeżego powietrza pomieszczeniu, iż wrzucałam pieniądze do każdego napotkanego kapelusza czy pudła na skrzypce.

Idąc ulicą wolnym krokiem, zatrzymałam się dwa czy trzy razy, żeby obejrzyć przedstawienia trup aktorskich.

Nie mając specjalnego planu, wędrowałam dalej, aż dotarłam do Kanału Dunajskiego. Był piękny letni wieczór; poubierani w szorty ludzie zajadali lody, przechadzając się niespiesznie. Grupy nastolatków siedziały nad wodą na ławkach, paląc papierosy i śmiejąc się głośno, a całe rodziny przejeżdżały obok na rowerach. Przy placu Szwedzkim znajduje się zakotwiczony na stałe i zamieniony na restaurację stary dunajski parowiec; nazywa się oczywiście Johann Strauss. Nigdy wcześniej nie byłam tam, ale tego wieczoru wyglądał wspaniale - rzeźbiście oświetlony i z wystrojonymi ludźmi na pokładzie, podnieconymi tym, że są w takim miejscu. Kobiety ścisnęły dłonie towarzyszących im mężczyzn, a każdy z nich zachowywał się jak najprawdziwszy VIP. Ahoj, przyjaciele!

Stałam obok i przyglądałam się temu. Nie byłam zazdrosna ani smutna; czułam się raczej jak dziecko obserwujące przygotowania rodziców przed wyjściem na wielki bal. Nie wiem, jak długo to trwało, zanim usłyszałam zza pleców kobiety głos, który zabrzmiał niczym wybuch miny akustycznej.

- Jesteś z tego przyjęcia na łajbie? - zapytała w najczystszy narzeczu tubylców z Nowego Jorku.

Odwrociłam się i ujrzałam wielką, uśmiechniętą kobietę w wieczorowej sukni koloru ochry. Musiałam w duchu przyznać, iż jej głos pasował jak ulał do postury!

- To jest ta łajba, no nie? Straciłam orientację. Mój mąż wyrzucił mnie z samochodu i powiedział: „Prosto schodami w dół. Zobaczysz wielki statek. Tam ich wszystkich znajdziesz”. Sam pojechał zaparkować gdzieś auto. Łatwo mu mówić. Spójrz, obok znajduje się jeszcze inny statek. Wiem, że jeden z nich służy jako atrakcja turystyczna do zwiedzania, a drugi jest restauracją. My chcemy się dostać do tej knajpy. Jak myślisz, który to jest?

Najpierw chciałam zapytać, skąd wie, że mówię po angielsku, ale potem sama się domyśliłam, iż wzięła mnie za kogoś ze swej grupy - stałam przecież w eleganckiej sukni na wprost burty parowca. Grałam dalej przypisaną mi przez nią rolę i zapytałam o nazwę



„naszego” statku. Rzuciła ukośne spojrzenie na bliższy z nich, a potem zaczęła machać do kogoś na pokładzie, mówiąc:

- *Johann Strauss*. Och, popatrz na pokład. To C. J. Dippolito. To musi być ta krypa. Jeżeli to jest C. J., to i mój syn jest w pobliżu. Chodźmy. Nie usłyszałam twojego imienia. Jestem Stephanie Singer.

Uścisnęłyśmy sobie dłonie i wymamrotałam pod nosem coś na kształt swego nazwiska, ale Stephanie już ruszyła, ciągnąc mnie za sobą. Niczym pustynna burza przewaliłyśmy się przez pokład statku, by znaleźć się w samym środku jednej ze starszych klas Międzynarodowej Szkoły Amerykańskiej w Wiedniu.

Nie uczestniczyłam w naszym balu maturalnym i zawsze było mi z tego powodu przykro, choć nigdy ci się do tego nie przyznałam. Każdej dziewczynie powinna być dana jedna magiczna, wiosenna noc, na randkę z kimś modnie ostrzyżonym, ubranym w biały smoking i roztaczającym woń English Leather. Ona sama zaś miałaby wtedy na sobie coś jedwabnego i długiego do ziemi oraz nową, szalową fryzurę. Tak widzę to teraz, po latach. Nigdy nie przeżyłam podobnej nocy i czułam się z niej ograbiona. I nagle teraz zostało mi to dane przez cudowne zrządzenie losu, dzięki sukience włożonej na premierę do opery oraz Stephanie Singer. Szkolny bal w Wiedniu na statku stojącym na Dunaju!

Pokład *Johanna Straussa* zapelniali głupkowato wyglądający młodzieńcy w białych smokingach i dziewczęta podobne dojrzewającym aniołom. Można było powiedzieć, że pod sukienkami kryły jeszcze tu i ówdzie dziecięcy tusczyk, ale wyglądały na szczęśliwe i dumne w towarzystwie swych chłopaków. Stephanie znalazła wolny stół, ale zanim usiadłyśmy, przeprosiłam ją na chwilę i poszłam się rozejrzeć. Niektóre pary były najwyraźniej zakochane, inne pozowały na takie, a jeszcze inni uczniowie obawiali się nawet spojrzeć na swego partnera. Ale to była ich wielka noc i wszyscy usiłowali sprostać jej wyzwaniom najlepiej, jak umieli. Okazało się potem, iż powodem obecności Stephanie i jej męża, Ala, była pomoc w doglądaniu bawiącej się młodzieży, a Singerowie zostali do tego zadania zgłoszeni na „ochotnika” przez ich syna. Powiedziała mi to później jakaś szesnastolatka. Podczas rozmowy z nią zorientowałam się, iż mnie także bierze za jedną z matek. Do diabła, przecież mam dosyć lat, bym mogła być matką któregoś z tych dzieciaków! Tej szczególnej nocy było to jak najbardziej na miejscu, każdy bowiem wyglądał tak, jak zawsze tego pragnął.

A więc mamuśka Arlen przechadzała się po pokładzie z kieliszkiem taniego szampana w dłoni, cudownie się bawiąc. Byłam niezmiernie zdziwiona nieprawdopodobną międzynarodową mieszanką uczniów. Chociaż szkoła była amerykańska, nie tylko

Amerykanie do niej uczęszczali. Byli tu Arabowie i Afrykańczycy w galabijach i sarongach oraz dziewczęta spowite w sari... Blondyn z Kalifornii obejmował ramieniem śliczną Hinduskę, Sarosh Sattar. Czyż to nie piękne nazwisko? W Wiedniu znajduje się agenda ONZ i wszystkim tym biuromatombom dobrze by zrobiło, gdyby przyszli tutaj i mogli zobaczyć, jak potrafią się porozumieć zupełnie odmienni ludzie.

Byłam na statku może dopiero z piętnaście minut i siedziałam z Singerami przy stoliku, kiedy podeszła jakaś dziewczyna i z wahaniem zapytała, czy nie jestem Arlen Ford. Kiedy potwierdziłam, sprawy przybrały nieco inny obrót niż dotychczas. Niektórzy zapragnęli autografu, kilku chłopców poprosiło mnie do tańca, jednak generalnie nadal pozostałam jedynie przyzwoitką, która sama dobrze się bawiąc, ma jednocześnie oko na tańczących i udających dorosłych nastolatków, podczas nocy oddzielającej ich od ostatnich dni młodszej beztraski.

Niemal każdy miał aparat fotograficzny i robił zdjęcia. Błyskały flesze i młodzi przestawiali swych przyjaciół do kolejnego ujęcia, śmiejąc się i wystawiać rozczapierzone palce ponad ich głowami. Chłopcy przyczepiali kwiaty do sukien dziewcząt lub robili głupie miny; słowem były to fotografie, jakie po dwudziestu latach znajdujesz podczas generalnych wiosennych porządków wcisnięte w najdalszy kąt szuflady biurka. Wyjmujesz je, dmuchnięciem usuwasz sprzed oczu zawiadający kosmyk włosów i nagle nostalgia bijąca ze zdjęcia powoduje, że musisz usiąść. Pamięć podsuwa ci zapach tamtej nocy, kiedy jechałaś samochodem na przyjęcie, oraz sposób, w jaki twoja sympatia pocałowała cię, kiedy trzeba było się rozstać.

Zostałam tam jeszcze godzinę i udzieliłam wywiadu dla szkolnej gazetki chłopakowi nazywającemu się Fadil Foual. Fadil tak naprawdę pragnął się dowiedzieć jedynie, czy poznałam Billy'ego Joela lub Stephena Kinga; tak więc wspominał tę rozmowę dużo milej niż wywiad z włoskim dziennikarzem.

Wróciłam do samochodu, czując się młodziej i przepelniona wdzięknością dla wyższych mocy, że pozwoliły mi przeżyć taką noc.

Kilka dni później zadzwonili Easterlingowie z pytaniem, czy nie chciałabym wybrać się z nimi na piknik; w skład ekipy miał wejść także Nicholas, ich synek. Spotkaliśmy się u nich i pojechaliśmy za miasto do ogrodu zoologicznego Lainzer. Jest to wielki leśny rezerwat, położony na dawnych królewskich terenach łowieckich, które oddano w używanie wiedeńczykom. To miłe miejsce, jeżeli jesteś akurat w nastroju, by spędzić popołudnie pod hasłem „powrót do natury”. Zwierzęta chodzą tutaj wolno i możesz być pewna, iż spotkasz na swej drodze sarnę lub dzika. Kiedy jeszcze byliśmy w drodze, sądziłam, iż tam właśnie

jedziemy, ale na miejscu Walker nałożył nosidełka z dzieckiem i poprowadził nas ścieżką wzdłuż parku w stronę schodów ciągnących się bez końca w górę. Kiedy wyraziłam wątpliwość, czy osiągnięcie szczytu warte jest tej wspinaczki, oboje z Maris krzyknęli: „Tak!” Nie byłam przekonana, więc spytałam ponownie, co tam jest.

- Szczęśliwe Wzgórze - odparła Maris.

Nie wypadało mi powiedzieć, że zaczekam na nich na dole, więc wzięwszy głęboki oddech, ruszyłam za nimi.

Schody istotnie nie miały końca i kiedy wdrapaliśmy się na wierzchołek, oboje Easterlingowie zgodnie kontynuowali wędrówkę. Myślałam, że może zrobimy przerwę na papierosa, ale nic z tego. Szliśmy przez las, aż Walker skręcił w lewo i nagle znaleźliśmy się na olbrzymiej, otwartej łące, ze wspaniałym widokiem na leżące w dole miasto. Nazwali to miejsce Szczęśliwym Wzgórzem, ponieważ było jednym z pierwszych miejsc, do których Walker przyprowadził Maris, gdy się poznali. Teraz wymogli na mnie obietnicę, że nie przyjdę tutaj nigdy bez bardzo ważnego powodu. Oni sami byli tu zaledwie trzeci lub czwarty raz, odkąd są razem, a dzisiaj zdecydowali się je odwiedzić, by pokazać Szczęśliwe Wzgórze synkowi.

Ich Nicholas jest rezolutnym dzieckiem, pulchnym i zdrowym, pomimo że urodził się z sporą dziurą w sercu. Maris twierdzi, iż jest to stosunkowo częsty przypadek i małemu nie grozi w tej chwili żadne niebezpieczeństwo. Operacja korygująca tę wadę zostanie przeprowadzona za kilka lat, a teraz chłopczyk jest dużym, szczęśliwym i uśmiechniętym cały czas bobasem.

Zabrałam ze sobą wino i deser, oni mieli wszystko inne - kurczaka na zimno, sałatkę, trzy gatunki sera, krakersy i owoce. Siedzieć tak w promieniach jasnego słońca, pośród jedzenia rozłożonego na obrusie, którego rogami lekko szarpał wiatr, i trzymać na kolanach Nicholasa, jedną rączką głaszczącego mnie po twarzy, a w drugiej ściskającego butelkę z sokiem jabłkowym - to było bardzo... podniosłe, Rose. Trzymałam dziecko na podołku, mili ludzie siedzieli obok mnie... Muszę sobie westchnąć, tak byłam zadowolona z przebywania z nimi. Dziękowałam Maris i Walkerowi za zaproszenie, ale jakże wyrazić wdzięczność za darowany spokój, choćby trwał tylko chwilę?

Po posiłku Walker wyjął plastikowy latający talerz, więc zostawiliśmy Nicholasa przy „stole”, a sami rozproszyliśmy się po łące. Rzucaliśmy zabawkę, obserwując jej zwariowane podrygi w podmuchach wiatru. Kiedy byliśmy już mocno zmęczeni, pojawił się nagle człowiek z pięknym psem tej samej rasy co moja Minnie. Zwierzak wabił się Red i okazało się, że zabawa, której się oddawaliśmy, była jego specjalnością. Łapał talerz bez względu na

to, w którym kierunku lub jak daleko go rzuciłaś; był w tym zdumiewający. Nicholas spał spokojnie, pies wyskakiwał z dziesięć stóp nad ziemię, Maris i Walker trzymali się za ręce... sama błogość. Życie nie może być już lepsze!

To jednak jeszcze nie koniec. Kiedy zeszliśmy na dół, Maris poddała pomysł, byśmy na kilka minut poszli do zoo, to może uda się nam zobaczyć dzika. Niemal zaraz po przekroczeniu bramy ujrzeliśmy małe ich stadko, karmione czerstwym chlebem przez gajowego. Czy widziałaś kiedykolwiek dzika z bliska? To są godne podziwu pradawne bestie, przywodzące na myśl czasy jaskiniowców. Chociaż nie były oswojone, zbliżały się do człowieka w porze kolacji. Leśniczy wołał je po imieniu - Mickey Mouse był największy, przywódca stada. Pierwszy dopadał kawałków chleba, gdziekolwiek zostały rzucone. Po chwili zebrał się spory tłum obserwatorów. Niespodziewanie gajowy podszedł do mnie i wręczył mi bochenek czarnego chleba. Byłam ostrożna, ale i tak zbliżyłam się do zwierząt na tyle, by poczuć ich zapach. Wrażenie nie do opisania - przypominał czasy pierwotnej puszczy! Ich chrapy i kły były groźne. Zwierzęta - gdyby chciały - mogły mnie zaatakować. Kiedy odwróciłam się, zauważyłam, że mnóstwo ludzi robiło zdjęcia, ale zapewne bardziej chodziło im o wielkiego Mickey Mouse niż o mnie. Myliłam się, o czym przekonasz się za minutkę.

W porządku, zrobiłam sobie małą przerwę i jestem gotowa do następnego odcinka.

Walker miał wyjechać z miasta na tydzień, więc zanim powiedzieliśmy sobie do widzenia, zaprosiłam Maris z Nicholasem na jeden dzień do siebie. Dało mi to wspaniały pretekst do zrobienia czegoś, na co od dawna miałam ochotę - chciałam posprzątać w domu. Wiem, wiem, byłam jedną z największych bałaganiarek tego świata, ale teraz weszłam w nowy okres. Być może pucowanie mieszkania uznałam za odpowiednią terapię wobec braku wskazówki, jak mam zrobić porządek z resztą swojego życia. Jakkolwiek było, zakasałam rękawy, mimo iż właściwie wszędzie było czysto. Ile można sprzątać, jeśli całe wyposażenie składa się z pięciu sztuk mebli? Odpowiedź brzmi, że w takim wypadku należy je polerować do znużenia. Może przyczyna moich obsesyjnych napadów sprzątania był fakt, iż odkąd przeprowadziłam się do Europy, nie spałam z nikim? To prawda! Powiedziałam ci, iż hołubię wstrzemięźliwość i jak mi się wydaje - stopniowo odzyskuję dziewictwo. Pewnego dnia zjawi się przecież mój książę i chcę się do tego wydarzenia przygotować.

Po skończeniu porządków pojechałam do Wiednia, na Naschmarkt. Jestem zwariowana na punkcie zakupów na świeżym powietrzu - lubię oglądać tę barwną różnorodność towarów, wąchać niemal erotyczne wonie wschodnich przypraw i zgadywać, co to za egzotyczne cudeńka rozpościerają się na stołach. Marzę wtedy, by ugotować jakieś

gigantyczne danie, którego przygotowanie zabierze mi całe życie. Nigdy wcześniej pitraszenie nie bawiło mnie, ale jakiś czas temu Weber zaczął mi przysyłać wielkie książki kucharskie, a kilka ostatnich jego wizyt spędziliśmy niemal wyłącznie w kuchni, gdzie uczył mnie sztuki kulinarnej. Kolejna rzecz, za którą jestem mu wdzięczna. To prawdziwe szczęście mieć was wszystkich za przyjaciół!

Ale do rzeczy. Pojechałam do Wiednia z listą zakupów długą na miłę. Obok austriackich stoisk na Naschmarkt znajdziesz także tureckie piekarnie i sklepy ze zdrową żywnością; jest też rzeźnik muzułmanin oraz stragan, gdzie można dostać najlepsze na świecie masło orzechowe z Indonezji. Świeże owoce i warzywa z Bułgarii, Izraela czy Afryki; wielkie pomidory z Albanii, ementaler wprost spod Alp... słowem jest to miejsce, w którym można przepaść na całe godziny.

Byłam tak pochłonięta zakupami, że nie słyszałam niczego podejrzanego, kiedy zapelniałam swoją torbę. Naschmarkt zawsze jest bardzo gwarny; niełatwo usłyszeć odgłos tak dyskretny jak cichy trzask migawki aparatu. Obmacywałam właśnie melon, kiedy wreszcie dotarł do mnie ten dźwięk. Podniosłam wzrok znad owocu. Przechodząca kobieta uśmiechnęła się do czegoś lub kogoś za moimi plecami; odwróciłam się i ujrzałam wielkiego mężczyznę wycelowującego we mnie obiektyw. Byłam w dobrym nastroju, więc utkwiałam w nim wzrok, przytulając melon do policzka i przybierając minę dziewczyny z reklamówki. Uśmiechnął się i zrobił kilka dodatkowych ujęć. Odłożyłam owoc, pomachałam fotografowi i ruszyłam dalej. W Wiedniu częsty jest widok ludzi pstrykających fotki gdzie popadnie, nie przywiązywałam więc do tego zdarzenia wagi. Aż do chwili, kiedy kilka minut później znów usłyszałam trzask migawki i ujrzałam mężczyznę biorącego mnie na cel swego aparatu. Tym razem spojrzałam na niego krzywo i odwróciłam się - mam zbyt wiele złych doświadczeń z reporterami, którzy robili mi zdjęcia nawet wbrew mej woli. W końcu mógłby zapytać, psiakrew! Pamiętasz, co wyprawiał ze swoim kieszonkowym aparatem ten świr z Japonii, kiedy byliśmy na festiwalu filmowym w Sundance? Nawet jeżeli ów facet na targu był nieszkodliwy i fotografował mnie tylko dlatego, że mu się podobałam, to i tak nie miałam na to ochoty. Odwróciłam się i szybko odeszłam.

W połowie długości targu, po drugiej stronie ulicy, znajduje się nastrojowa, stylowa kawiarenka „Dreschler”. Ten lokal to obraz Wiednia z lat pięćdziesiątych. Pełno w nim ciężko harujących ludzi i emerytów ze starego portfela, mamroczących do swych kufli z piwem. Często przysiadalam tutaj przy kawie przed powrotem do domu - zajmowałam miejsce przy oknie i śledziłam wydarzenia rozgrywające się na targu. Teraz zrobiłam dokładnie tak samo i nagle stwierdziłam, że jestem obserwowana przez moją nową nemezis,

Pana Fotografę. Nie ukrywał się wcale - stał dokładnie naprzeciwko mnie po drugiej stronie ulicy i mierzył w moim kierunku nikonem wyposażonym w teleobiektyw długości oraz grubości ramienia ciężarowca.

Próbowałam go zignorować, ale nie potrafiłam, a on nie zamierzał odejść. Rozdrażniona ruszyłam do stolika z dala od okna, ale zaraz pomyślałam: „Diabła tam! Dlaczego ten facet ma burzyć mój spokój?” Byłam już bliska dania mu tej satysfakcji, że udało mu się wyprowadzić mnie z równowagi, ale nagle zamiast tego wstałam, poprosiłam kelnera, by postawił moją kawę na poprzednim miejscu i energicznym krokiem wymaszerowałam z kawiarni na zewnątrz.

Trzeba mu oddać sprawiedliwie, iż nie zrezygnował na mój widok. Większość paparazzich nie ma odwagi stanąć twarzą w twarz z podglądaną osobą - będą robić ci zdjęcia, kiedy jesteś naga, kochasz się z kimś lub właśnie popełniasz samobójstwo, ale stań tylko przed takim, a pierzchnie niczym zajac. Ten, choć widział, że nadchodzę, nie ruszał się z miejsca; więcej - nadal robił mi zdjęcia. Mimo iż żyję w niemieckojęzycznym kraju i bardzo staram się zaadaptować do tutejszych warunków, to kiedy jestem wściekła, przechodzę na angielski.

- Jak ci się zdaje, co robisz? - zapytałam.

Miał miłą twarz. Nawet w tym stanie ducha nie mogłam tego nie dostrzec - nieładną, ale żywą i sympatyczną.

- Robię ci zdjęcia. Nieczęsto zdarza mi się spotkać gwiazdę filmową.

- Gadaj zdrow! Napstrykałeś ich już dosyć, byś mógł iść w swoją stronę i zostawić mnie w spokoju. Przestań wtykać swój długoogniskowy nochal w moje życie!

Twarz mu się skurczyła. Nie - raczej zapadła w sobie; był zmieszany. A potem zapytał, czy naprawdę mi to przeszkadza.

- Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić. Skoro wiesz, kim jestem, to musisz także wiedzieć, że wycofałam się z branży. Nie chcę więcej żadnych filmów, żadnych publicznych występów. I żadnych zdjęć! Zrozumiałeś? Więc bądź tak miły i idź sobie!

Zrobił coś nieoczekiwanego. Wyciągnął do mnie dłoń, jakbyśmy byli właśnie sobie przedstawiani, i powiedział:

- Nazywam się Leland Zivic. Bardzo panią przepraszam, panno Ford. Oczywiście, nie będę więcej pani niepokoił swoim aparatem, myślałem jedynie... - Coś chciał powiedzieć, ale nie dokończył zdania i tylko potrząsnął głową.

- Dzięki, Lelandzie. Będę wielce zobowiązana.

Zamierzałam już odejść, kiedy pewna myśl powstrzymała mnie.

- Co chcesz z tym zrobić?

- Z tym? - Podniósł aparat trochę wyżej. - Och, nie martw się. Te zdjęcia są wyłącznie dla mnie. Nie mam zamiaru ich sprzedawać ani wykorzystywać w żaden inny sposób. Nie musisz się tym martwić.

- To dobrze.

Odwróciłam się i nie oglądając więcej, przeszłam z powrotem przez ulicę. Kiedy usiadłam przy swoim stoliku w kawiarni, popatrzyłam na drugą stronę, tam gdzie stał jeszcze przed chwilą, ale nie zobaczyłam go już.

Miałam tego dnia dużo zajęć w domu i nie myślałam o nim, aż znalazłam się w łóżku. Miałam nadzieję, iż mówił prawdę, twierdząc, że nie zamierza spożytkować moich zdjęć w innym charakterze niż jako pamiątki z Wiednia. Zresztą i tak nie mogłam mu w niczym przeszkodzić, a czyż moje zdjęcia podczas robienia zakupów miały jakieś nadzwyczajne znaczenie?

Następnego dnia wstałam wcześniej i wyszłam z psem na spacer. Zwykle odbywamy długą przechadzkę, ponieważ Minnie rozpira energia i kiedy tylko znajdzie się poza domem, goni przed siebie aż do zupełnego wyczerpania. Kiedy wracamy do domu, zwijają się w kłębek na swym posłaniu i śpi przez kilka godzin. Tego dnia obeszyliśmy winnice i powędrowaliśmy aż do lasu, tam gdzie ostatnio rozmawialiśmy. Pamiętasz, Rose?

Podczas drogi powrotnej, już ze ścieżki prowadzącej do domu dostrzegłam wielką, żółtą kopertę opartą na progu o frontowe drzwi. Jak wiesz, mieszkam na uboczu i tak daleko od uczęszczanych dróg, że listonosz bez obawy zostawia wszelkie przesyłki na zewnątrz. Ale teraz była zaledwie ósma rano, zbyt wcześnie jak na niego, więc mogło to być pismo urzędowe lub przesyłka kurierska. Jednak w takim przypadku wymagany jest podpis odbiorcy. Podniosłam kopertę, usiadłam na progu i otworzyłam ją. Wewnątrz znajdowało się siedem fotografii. Widok pierwszej sprawił, że wstrzymałam oddech, przy drugiej zakłębłam, a reszta pozbawiła mnie mowy i zdolności myślenia. Doznałam wstrząsu.

Na pierwszym zdjęciu zostałam uwieczniona poprzez brudną szybę kawiarni „Dreschler”, jak odrzucam dłonią zasłaniające mi twarz włosy. Wiem, iż nie brzmi to wcale zbyt ekscytująco, ale artyzm krył się w kompozycji sceny i uchwyconym wyrazie twarzy. Znasz mnie, Rose - kiedy chodzi o image niejkiej Arlen Ford, jestem najzimniejszym i najbardziej surowym krytykiem świata. Jednak na tej fotce ujęcie mego oblicza oraz sposobu, w jaki odgarniam z czoła niesforny kosmyk, było kapitalne. Widząc to, musiałybyś pomyśleć, że owa kobieta, bez względu na to, kim jest, boleśnie przeżywa zawód miłosny. Głowę odrzuciła do tyłu, oczy przymknęła, a usta skrzywiła jak do płaczu - jakby właśnie

dowiedziała się, że ktoś, kogo kochała, umarł, albo mężczyzna, na którym jej zależało, powiedział, żeby odpieprzyła się od niego raz na zawsze. Wyglądała tak, jakby to, co usłyszała przed chwilą, zabiło ją. W głębi, za nią, dostrzec można przechodzącą przez kawiarnię starą kobietę o martwej, pozbawionej wyrazu twarzy, a na zewnątrz, na ulicy, widać idącą w przeciwnym kierunku roześmianą parę. Tajemniczość, samotność i ból razem na jednym zdjęciu! Było to tak natarczywe, że gdybyś zobaczyła je wiszące w galerii, chciałabyś jednocześnie i iść dalej, i wrócić. Byłabyś zdumiona: „Och, mój Boże, co też przytrafiło się tej kobiecie? I jak fotografowi udało się uchwycić ten moment udręki i obojętności świata?”

Kiedy ujrzałam to zdjęcie, byłam tak zaskoczona, że przez kilka sekund nie docierało do mnie, iż to ja jestem tamtą kobietą. Nie pamiętam, bym odgarniała włosy z twarzy, a poza tym z całą pewnością nie byłam nieszczęśliwa w tamtej chwili - cieszyłam się przecież na odwiedzinach Maris i jej dziecka. Jedyne, co pamiętałam, to zadowolenie z tego, iż mogę odpocząć w kawiarni po zakupach, a potem irytację z powodu prześladowającego mnie faceta z teleobiektywem; to wszystko.

Odłożyłam fotografię. Następna. Ogród zoologiczny w Lainzer podczas pikniku z Easterlingami - rzucam chleb Mickey Mouse, wielkiemu dzikowi. Wyglądamy, jakbyśmy uśmiechali się do siebie - zwierzę i ja. Miłość od pierwszego wejrzenia. Maris stoi obok z dzieckiem w ramionach; Nicholas, śmiejąc się, wyciąga dłonie przed siebie. Jeżeli pierwsze zdjęcie mogłoby mieć tytuł Piekło, to drugie można by nazwać Niebo. Wszyscy, nie wyłączając dzika, są szczęśliwi. I o ile pierwsze mną wstrząsnęło, o tyle drugie emanowało taką radością, że wbrew sobie uśmiechnęłam się wesoło. Jak powiedziałam, było tam jeszcze pięć innych ujęć; dwa z pokładu Johanna Straussa w noc szkolnego balu, jedno sprzed budynku Opery i jedno ze spaceru z psem. Ostatnie zostało zrobione zza moich pleców, kiedy przechodziłam przez ulicę, wracając do kawiarni. Stary mężczyzna w śmiesznym kapeluszu na głowie patrzył w moją stronę, wskazując mnie palcem swej żonie; mówił coś do niej i oboje się śmiali. Ten sukinsyn, fotograf, trzasnął je dokładnie w pięć sekund po tym, jak mi przyrzekł, że więcej nie będzie tego robić! Ale to było tak zabawne zdjęcie, że aż zachichotałam. Gdybyś nie wiedziała, co tam wówczas naprawdę się stało, pomyślałabyś, iż stary wskazuje swej żonie mój tyłek. Obejrzałam fotografię jeszcze kilka razy, a potem położyłam je na kolanach i przytuliłam twarz do Minnie, pieszcząc ją. Kim był ten człowiek? Od jak dawna chodził za mną ze swym aparatem, robiąc mi zdjęcia? I to jakie! Każde z nich było w pewien sposób niezwykle. Byłam wobec niego podejrzliwa, ale także zaintrygowana jak wszyscy diabli. To było perwersyjne i poruszające.



Maris przyszła tego samego dnia, nieco później. Kiedy tylko uświadomiła, że wyjęłam zdjęcia i pokazałam jej bez słowa wyjaśnienia. Byłam ciekawa jej pierwszego wrażenia. Wiesz przecież, jak sławna staje się Maris dzięki swym modelom miast; pragnęłam usłyszeć, co powie jako artystka, zanim wykonam następny krok.

Fotografie były ułożone w takim porządku, w jakim je otrzymałam. Najdłużej przypatrywała się pierwszemu zdjęciu, ale potem prawie tyle samo uwagi poświęciła temu, na którym widać mnie spacerującą z psem. Zapytała, czy zostały wykonane przez tę samą osobę, a kiedy potwierdziłam, odrzekła, iż trudno w to uwierzyć - jedno wygląda jak część serii o mnie zrobionej przez Herba Rittsa i opublikowanej w „Vanity Fair”, natomiast to przed Operą przypomina jej z kolei fotografie z lat dwudziestych, z epoki Bauhausu - w typie Moholoya czy Herberta Bayera. Najwspanialsze, także jej zdaniem, było ujęcie w kawiarni; nigdy dotąd nie widziała równie dobrego. Kim był ów fotografik? Maris pragnęła się dowiedzieć, czy wydał jakiś album, bo chciałyby go mieć.

Opowiedziałam jej, w jakich okolicznościach spotkałam twórcę tych arcydzieł. Potrząsnęła głową, nie przestając spoglądać na zdjęcia. Z kolei ja zapytałam, czy cała ta sprawa nie wydaje się jej dziwaczna. Odparła, że jak najbardziej, co nie zmienia faktu, iż zdjęcia są znakomite. Ponadto uważała, że kogoś, kto był zdolny je wykonać, nie można podejrzewać o nieczne zamiary. Powiodłam wkoło spojrzeniem i powiedziałam:

- Słuchaj, on łąził za mną przez całe dni, oczywiście bez mojej wiedzy. Jest Jamesem Bondem i zwykłym podglądaczem w jednej osobie, więc nie wspominaj mi, jaki świetny z niego fotografik! Jak długo krążył wokół mnie, zanim się o tym dowiedziałam?

Odrzekła, że jeżeli jeszcze kiedyś go spotkam, powinnam mu zakazać chodzenia za mną, chociaż nie sądziła, by się do tego zastosował. Potem dodała coś, co mnie zaskoczyło.

- W dzisiejszych czasach obawiamy się niemal wszystkiego. Terror przeważa nad współczuciem.

Nie zrozumiałam, co miała na myśli, więc poprosiłam, by mi to wyjaśniła. Przerzuciwszy zdjęcia, podniosła to z kawiarni.

- Ten człowiek nie miał zamiaru cię przestraszyć. Niczego w ogóle od ciebie nie chce. Pragnie jedynie powiedzieć ci, że masz zmartwienie.

Moim żołądkiem targnął skurcz i chociaż było to oczywiste, zapytałam Maris, czy sądzi, że o to właśnie chodzi.

- Tak, coś w tym rodzaju - odparła.

Mam w kuchni mały odbiornik telewizyjny, który zwykle włączam na wiadomości CNN. Od czasu do czasu spoglądam na ekran, jeżeli usłyszę coś interesującego, ale zazwyczaj tylko słucham, jak mruczy po angielsku.

Do Jugosławii jest stąd zaledwie kilkaset mil i od czasu wybuchu wojny Austriacy z oczywistych powodów starają się nie dostrzegać tego, co się tam dzieje. Dubrownik stał się ulubionym celem ataków i jest przerażające, iż usiłuje się zniszczyć to piękne miasto wyłącznie z zemsty. Dwa dni po wizycie Maris przygotowywałam sobie lunch, słuchając jednocześnie ostatnich doniesień ze strefy walki. Wybuchały bomby i ludzie biegli do schronów. Słychać było terkot broni maszynowej, a karetki na sygnale pędziły w różne strony. Stara kobieta, kryjąc twarz, wyłoniła się tuż przed kamerą. Płynący zza kadru głos reportera opisywał, co się dzieje, a ja siekałam cebulę, usiłując sobie przypomnieć, czy kupiłam szczypiorek. W telewizorze zacharkotało:

- Bla, bla, bla Leland Zivic.

Gdzieś w zakamarkach umysłu wiedziałam, że to nazwisko nie jest mi obce, ale zbyt byłam zajęta siekaniem i szczypiorkiem. Włączył się inny głos, bardziej miękki i łagodny - spojrzałam na ekran tylko dlatego, że ktoś się tam roześmiał, co wydało mi się niezwykle wśród huku broni palnej. To był on! Jego nazwisko bieгло wypisane na dole ekranu z dodatkiem słowa „fotoreporter”. Chwyliłam pisak i niezmywalnym tuszem zapisałam je na deseczce do krojenia; później dopiero miałam się martwić, jak to wyszorować.

Dziennikarz przedstawił Zivica jako fotografa, który zdobył sławę dzięki zdjęciom z zapalnych punktów świata: był w Rumunii, kiedy upadał reżim Ceausescu, przebywał w Liberii podczas egzekucji Doe oraz w czasie wojny w Somalii. Gdy prowadzący rozmowę zapytał Zivica, co sądzi o konflikcie jugosłowiańskim, ten odpowiedział:

- Przez czterdzieści lat w tym kraju panował pokój i nagle jednego dnia ludzie żyjący do tej pory obok siebie wpadają na sale poporodowe i otwierają ogień do nowo narodzonych dzieci. Nikt, nie wyłączając polityków, nie rozumie, jak do tego doszło. Kłopot z tą wojną polega na tym, że strzelający wyglądają dokładnie tak samo jak ludzie nie zamieszani bezpośrednio w walkę.

- Jeżeli to wszystko prawda, to czemu narażasz życie dla zwykłych zdjęć? - pytał dalej reporter CNN.

Zivic pokiwał głową, jakby tamten zrobił trafną uwagę.

- Ponieważ uważam, że jeżeli dobrze wykonam swoją pracę, to ludzie zobaczą, iż wojny nie są takie same i nie sprowadzają się wyłącznie do liczby ofiar oraz anonimowych

nieszczęść. Śmierć powinna być pokazana w taki sposób, by nie można było o niej zapomnieć.

Znam pewną korespondentkę CNN; po długich godzinach spędzonych przy telefonie udało mi się znaleźć ją w Hollywood. Wyjaśniewszy pokrótce, o co mi chodzi, poprosiłam, by mi podała adres Lelanda. Była na tyle dyskretna, że nie zapytała, po co mi to. Okazało się, że Zivic ma mieszkanie w Londynie, a w Wiedniu reprezentuje go miejscowy oddział agencji informacyjnej. Dostałam oba adresy i numery telefonów. Pomyślałam, że skoro widziałam w telewizji, że tego dnia był w Jugosławii, to jest mało prawdopodobne, by odebrał telefon w Anglii. Zadzwoiłam jednak i zostawiłam wiadomość na automatycznej sekretarce: „Mówi Arlen Ford. Przekręć do mnie, jeżeli będziesz miał okazję”.

Zdawało mi się, iż wkrótce się odezwie, ale to wcale nie nastąpiło. Najpierw stwierdziłam, że nie odpowiada, bo pewnie nadal jest w Jugosławii, a potem z przerażeniem uzmysłowiłam sobie, że mógł zostać zabity! Próbowałam wyrzucić wszystkie te myśli z umysłu, ale jego fotografie leżały na stole w salonie i ciągle na nie spoglądałam. Londyński numer telefonu przykleiłam na żółtej karteczce nad swoim aparatem w kuchni, a „Leland Zivic” wypisałam wielkimi czarnymi literami na bloczku notatnika.

Kiedy pewnego dnia otworzyłam skrzynkę na listy, znalazłam w niej tylko samotną pocztówkę; pismo było mi nie znane - staranne, niemal drukowane litery. Stempel z Sarajewa. Na odwrocie widok Nowego Jorku z lat trzydziestych - parada z okazji Dnia Dziękczynienia - wielkie postaci Pinokia, Wuja Sama i Blaszanego Drwala z *Czarnoksiężnika z krainy Oz* dryfowały ponad ulicami, rzucając ogromne cienie na ściany budynków. Ludziki wielkości mrówek utrzymywały te balony na uwięzi lin. Przeczytałam:

*Obawiam się zatelefonować do Ciebie i zrobię to tylko pod warunkiem, że oczyścisz przede mną pole. Odkąd wysłałem Ci zdjęcia, noszę na głowie stalowy hełm na wypadek ataku jądrowego z Twojej strony. Ciekaw jestem, biorąc pod uwagę skalę od jeden do dziesięciu, jak bardzo jesteś na mnie zła. Jak zdobyłaś numer mojego telefonu? Czy istnieje życie na innych planetach? W wolnej chwili odpowiedz na wszystkie lub chociaż na jedno z tych pytań.*

Ostatnio Sarajewo przeżywało gwałtowny ostrzał artyleryjski. Wyobrażałam go sobie w podziemnym schronie, piszącego tę kartkę, podczas gdy bomby spadały na zewnątrz. Było zdumiewające, iż nie wspomniał ani słowem o tym, co się tam dzieje. W dzisiejszych czasach ludzie mają tak niewiele odwagi, że jeżeli spotka się kogoś, kto ma jej chociaż za grosz,

trudno nie być pod wrażeniem. A przecież tylko przypadek sprawił, że dowiedziałam się, w jaki sposób Leland zarabia na życie. Pomimo to nadal myślałam o nim jak o facecie z aparatem, który obserwował moje prywatne życie. Nie byłam zadowolona z obrotu sprawy, ale jednocześnie czułam się poruszona i zaintrygowana faktem, że ten interesujący, skromny człowiek mnie lubi. Zadzwoiłam ponownie do Londynu i powiedziałam tylko jedno krótkie zdanie: „Droga wolna”, po czym znów zaczęłam czekać.

Czy zauważyłaś, jak życie nabiera intensywności, kiedy oczekujesz na ważny telefon? Aparat staje się dominującym elementem w pokoju. Człowiek kręci się podenerwowany po domu, bo w każdej chwili może zadzwonić - i to może być właśnie on. Jeżeli durne pudełko w ogóle się nie odzywa, stajesz się coraz bardziej niespokojna. Może tylko ja tak to przeżywam? Jeszcze niedawno, zanim zrobił mi te zdjęcia, nie znałam go, a teraz martwiłam się, że bawi się w chowanego ze snajperami w Jugosławii. Dni mijały. Bóg mi świadkiem, iż chciałam do niego zatelefonować, bo pomyślałam, że może moja wiadomość była zbyt lakoniczna i spłoszyła go. Zastanawiałam się także, co mam powiedzieć, jeżeli w końcu zadzwoni. Zapytać o jego pracę? Albo dlaczego zrobił te zdjęcia? Czy okaże się interesujący, czy tylko zacny, a może ponury? Nigdy nie wypowiedziałam głośno jego nazwiska, ale raz spróbowałam wykrzyknąć je w duchu. Leland - to brzmiało po amerykańsku. A Zivic - nie.

Była późna noc. Leżąc w łóżku, czytałam ponownie *Mariette w ekstazie* - znasz to? Jeżeli nie, przeczytaj koniecznie. Podczas lektury odnosi się wrażenie, iż życie w klasztorze pełne jest ponadzmysłowego piękna i cudownych możliwości. Odezwał się telefon. Byłam pewna, że to ty, ponieważ jesteś jedyną osobą, która ma zwyczaj dzwonić do mnie o tak późnej porze. W pierwszym momencie nie rozpoznałam głosu, który wypowiedział moje imię, więc zapytałam:

- Kto mówi?

- Leland Zivic. Możemy pogadać?

Jego ton wydał mi się zupełnie inny od tego, jaki zapamiętałam. Cóż zresztą mogłam zachować z tej naszej krótkiej rozmowy - zaledwie trzech zdań? Myśląc o nim, musiałam sobie wyobrazić wiele rozmaitych głosów, które usiłowałam dopasować do jego osoby. Ten, który słyszałam teraz, był miękki i bezosobowy. Niski, ale nie charakterystyczny ani wyróżniający się czymś specjalnym. Leland powiedział, że chciał być dowcipny, ale dzisiaj nie potrafi. Chciał porozmawiać, czy zgadzam się? Zapytałam, jak się układają jego sprawy, i odrzekł, że nadal jest w Jugosławii, w pobliżu działań wojennych. Odparłam, że wiem o tym, bo widziałam go w telewizji. Wtedy ściszym głosem, och, powinnaś to sama słyszeć, powiedział, iż w ostatnich dniach widział rzeczy, w jakie nie uwierzyłabym. Był wszakże

fotografem i portretował wojnę. Zwykle nigdy go to nie dręczyło, po prostu robił swoje. Być może jednak dlatego, że rodzina jego ojca pochodziła właśnie stamtąd, tym razem było z nim źle, naprawdę źle. Poczekaj chwilę, Rose, muszę przerwać i zapalić papierosa. Samo wspomnienie jego głosu przenika mnie dreszczem.

Aha, tutaj stałam. Było w nim przerażenie i zagubienie. Zadzwoił, ponieważ pragnął ze mną porozmawiać. Mówił pośpiesznie, jakby brakowało mu oddechu - przypominało to bardziej spowiedź czy rozmowę z samym sobą. Zupełnie mnie tym zaskoczył. Sądziłam raczej, że nasza pierwsza pogawędka będzie co prawda interesująca, ale i relaksująca; teraz natomiast moje ucho porażało napięcie stu tysięcy voltów! Powiedziałam, by mówił, co chce, jeżeli ma taką potrzebę, i usiadłam wyprostowana na łóżku, obciągając starannie piżamę - chociaż znajdował się w innym świecie, zachowywałam się tak, jakby mnie widział.

- Jestem teraz w slasticarnie - powiedział. - To jugosłowiańska cukiernia. Cała podłoga usiana jest ciastkami, możesz to sobie wyobrazić? Ciastka. Posadzka pokryta lepką masą. Małżeństwo, właściciele cukierni, sprzątają na kolanach, zbierając różowy i niebieski lukier. Okna są potrzaskane od wybuchów, a wszystkie wypieki wymieszały się w jedną masę, ale telefon działa i pozwolili mi z niego skorzystać.

Zapytałam, czy gdzieś w pobliżu toczą się walki; odpowiedział, że tak, ale nie jest najgorzej. Niedobrze było kilka godzin temu, teraz się nieco uspokoiło. Dodał, że to bardzo miło z mojej strony, iż rozmawiam z nim mimo późnej pory. Odparłam, że nic nie szkodzi, że po prostu czytałam i walczyłam z pokusą pójścia do kuchni i zjedzenia czegoś. Poprosił, bym opowiedziała o swojej kuchni. Tak mnie tym zaskoczył, że spytałam: - Co?

- Opisz mi ją - powtórzył. - Chcę ujrzeć przed oczami kuchnię Arlen Ford.

- Hm, w porządku. A więc kuchnia... Jest cała biała i wykończona drewnem. Bardzo zwyczajna, ale mam tutaj wszystko, czego potrzebuję.

- Lubisz gotować?

- Bardzo.

- Ja także. Gotując, czuję się czysty, świat zdaje się wtedy mieć sens. Kobieta, która pali i lubi gotować... To mi się podoba.

Doszedł mnie głośny, metaliczny dźwięk zakończony odgłosem drapania.

- Co to?

- To na zewnątrz. Jakaś kobieta i chłopak ciągną rannego mężczyznę na odwróconej masce samochodu. Tu w pobliżu jest szpital...

Przerwał i nastąpiła długa pauza. Poczułam się tak, jakbym była tuż obok i na własne oczy widziała rannego na zaimprovizowanych blaszanych noszach. Zapytałam, czy dalej chce mówić o tym, co się tam dzieje. Ponownie nastąpiła chwila ciszy, jakby usiłował podjąć jakąś decyzję.

- Nie. Pragnę ci powiedzieć, dlaczego zrobiłem te zdjęcia. Nadchodził zatem moment prawdy; zdawało mi się, iż rozdygotane serce wyskoczy mi z piersi. Pozwól, Rose, że opowiem ci to jego słowami, najlepiej, jak pamiętam; było to piękne i poruszające.

- Byłem w Jugosławii już od kilku tygodni. Na początku wszystko zdawało się w porządku. Znałem ten kraj z wakacyjnych pobytów oraz z czasów akredytacji na olimpiadzie w Sarajewie. Aż tu nagle on zaczął się zjadać żywcem. Kiedy stało się to dla mnie nie do zniesienia, poprosiłem o urlop i spędziłem go w Wiedniu. Dajcie mi kilka dni odpocząć w tym spokojnym mieście, a będę gotów wrócić do piekła, by dać wam całą tę krew oraz płomienie na pierwsze strony gazet i okładki magazynów. Powiedzieli: W porządku, stary”. Więc przyjechałem do Wiednia, spacerowałem i nic nie robiłem. Włóczyłem się po muzeach, wyrzuciłem zegarek i nie snułem żadnych planów na przyszłość. Nie mogłem jednak przestać myśleć o tym, czego tam doświadczyłem, co jest raczej rzadkie u mnie. Może dlatego, że w Wiedniu mieszka wielu Jugosłowian. Spotykając ich, zastanawiałem się, czy stracili bliskich w tej wojnie albo czy martwią się o pozostawione tam rodziny. To było przeładowanie. Czasami jestem przeciążony tym, co robię, i nie umiem pozbyć się tego ciężaru, zamykając na to oczy czy robiąc sobie urlop. To tkwi cierniem w moim umyśle. Kiedyś wypożyczyłem w Nussdorf rower i pojechałem wzdłuż rzeki do Klosterneuberg. Byłem tego dnia w czarnym nastroju; wszystkie moje myśli były ponure i smutne. Co robić dalej? Wrócić do Jugosławii, by wykonać kolejne zdjęcia zabitych i rannych? Ciało i krwi? Znam fotografa, który zmienia pozycję zwłok, by na zdjęciach wyglądały bardziej ekscytująco i malowniczo! I nagle, otoczony chmurą tych wisielczych refleksji, ujrzałem ciebie spacerującą z psem. Niewiarygodne, ale doznałem wizji! Jakby mi Bóg powiedział: „Są także piękne i dobre rzeczy na tym świecie, na przykład Arlen Ford przechadzająca się brzegiem Dunaju. Jak myślisz, Lelandzie, jakie miałeś szansę na to spotkanie?”

Zivic przerwał i powiedział coś w innym języku, najwyraźniej do osoby znajdującej się w jego pobliżu. Mówili coś szybko, po czym wrócił do rozmowy ze mną. Zapytałam, co tam zaszło. Odparł, iż właściciel sklepu chciał wiedzieć, kiedy skończy się nasza pogwarka, więc Leland dał mu sto dolarów amerykańskich i obiecał jeszcze pięćdziesiąt, żeby tylko móc kontynuować rozmowę. Wykrzyknęłam, że chyba zwariował, ale ze spokojem odpowiedział, że w tym tygodniu są to najlepiej przez niego zainwestowane pieniądze. Potem dodał:

- Pozwól mi dokończyć moją historię. Twoje nagłe pojawienie się spowodowało, iż o mały włos nie zakończyłem życia w falach modrego Dunaju. Wyglądałaś stokrotnie lepiej niż w swoich filmach i poczułem się niczym trzynastolatek. Po pierwsze, o mało nie spadłem z roweru, po drugie, nie dowierzałem własnym oczom, a po trzecie, zacząłem cię śledzić, co według mnie było zupełnie usprawiedliwione. Byłaś w pobliżu, a ja miałem aparat. To zupełnie wystarczający powód. Chciałem zrobić ci tylko jedno zdjęcie. Jedno jedyne wspaniałe zdjęcie Arlen Ford, by móc przeciwstawić je tym wszystkim przywiezionym z piekła, w którym przebywałem jeszcze tak niedawno. A potem stałem się zachłanny. Po tym ujęciu znad rzeki poszedłem za tobą aż pod twój dom i zacząłem się tam.

Oczywiście powiedziałam mu, że coś takiego niesłychanie mnie złości. Odparł, iż wie o tym doskonale i przeprasza, lecz nie jest mu wcale przykro. Zrobił to, ponieważ te zdjęcia były dlań konieczne - tak się wyraził. To, co uczynił, nie polegało wyłącznie na fotografowaniu mnie; próbował raczej wykonać zdjęcia, które mogły trzymać go przy życiu: gwiazd filmowych w towarzystwie psów, ludzi w ogródkach winiarni czy starszków siedzących na ławkach nad rzeką i błogo spędzających swój czas. To stało się dla niego czymś w rodzaju krucjaty.

Idąc ode mnie ulicą w dół, dochodzi się do miłej winiarni, w której podają też wspaniałe pieczone kurczaki. Usiadł tam, rozmawiał z ludźmi, a potem przyglądał się memu domowi. Powiedziałam mu, że to niesamowite i żeby kontynuował swą opowieść, ale jego głos nagle stwardniał.

- Zaczekaj chwilę - powiedział.

Ukołysana naszą rozmową zapomniałam zupełnie, gdzie się znajduje i co się wokół niego dzieje. Znowu usłyszałam, jak rozmawia z kimś w obcym języku. Męski głos warknął coś i Leland powiedział:

- Cholera! Są już tak blisko?

- Co się stało? Coś złego? - zapytałam.

Odparł, że ponownie znalazł się niemal w centrum zawieruchy wojennej i musi zmykać. Zadzwoń znowu, jak tylko będzie mógł. Czy może? Powiedziałam, że oczywiście tak, ale on już odwiesił słuchawkę - i to było wszystko. Wyobraź sobie, co przeżyłam, usiłując zasnąć tej nocy!

Następna pocztówka dotarła do mnie dwa dni później. Została nadana z miejscowości o nazwie Mostar, co skojarzyło mi się z North Star, Gwiazdą Polarną. Zaczęłam nawet fantazjować, że Leland znajduje się teraz na tej gwiazdzie. Oto, co napisał:

*Dwóch przyjaciół spotyka się na ulicy.*

*- Wiośnie ożeniłem się z kobietą o dwóch głowach - mówi pierwszy.*

*- Czy jest ładna? - pyta drugi.*

*- I tak, i nie.*

I to wszystko, żadnej wiadomości, ani jednego słowa więcej.

Pewnego dnia wracam z zakupów i widzę błyskające światelko automatycznej sekretarki.

„Arlen? Mówi Leland Zivic. Przykro mi, że cię nie zastałem”.

Byłam wściekła, że nie było mnie w domu, kiedy zadzwonił; tak wściekła, że nagle w środku skierowanej pod własnym adresem wiązanki zamilkłam, uśmiechnęłam się, a potem zapytałam: „No dobrze, kochana, ale co się właściwie z tobą dzieje, skarbie?”

Nie dzwonił przez długi czas, co martwiłoby mnie, gdybym nie zaczęła otrzymywać jego niezwyklej korespondencji. Listy oraz pocztówki były pełne rozmaitych obserwacji, monologów, cytatów z aktualnych lektur i dowcipów. Nie miałam pojęcia, z jakimi ludźmi rozmawia ani gdzie jest, ale byłam zadowolona, poznając jego poglądy na wiele spraw. Podam ci kilka fragmentów:

*Bardzo wielu żołnierzy to szaleńcy - wojna spowodowała uszkodzenie małego, ale kluczowego ośrodka w ich mózgach, odpowiedzialnego za psychiczną równowagę i poczucie właściwego kierunku.*

*Starzy mężczyźni powinni uprawiać ogródki. Inaczej jest ze starymi kobietami - one mają w sobie wewnętrzny spokój. Odegrały swoją rolę najlepiej, jak potrafiły, i wiedzą o tym. Wykorzystały dobrze własną energię i uznały życiowe zadanie za wykonane. Jeżeli jednak spojrzysz na twarze mężczyzn, to zrozumiesz, że dla nich życie nigdy się nie kończy - nigdy im dość, nic nie jest załatwione. Więc dajmy im ogródki, w których mogliby udawać, że ich praca jest komuś potrzebna, i gdzie utrzymywaliby porządek. Są żalosi; ale bądźmy dla nich pobłażliwi.*

*Ujrzane w zrujnowanym mieście: para czerwonych plastikowych kajdanek z zestawu „Mały policjant” zawieszona na drzewie.*



*Mój brat uwielbia czytać książki o porażkach i tragicznym końcu sławnych gwiazd. To przywraca mu spokój - nieważne, jak bardzo jego życie zdaje mu się ponure, on czuje się bezpieczny i jest dobrej myśli. Nie zagraża mu niebezpieczeństwo w rodzaju samobójczych katastrof, które zniszczyły podobnych Fitzgeraldowi czy Elvisowi Presleyowi. Mój brat jest człowiekiem nudnym i szarym, ale czuje się pewnie; to dużo więcej, niż można powiedzieć o tych wszystkich podobnych fajerwerkach martwych legendach.*

I jeszcze cytaty z Historii naturalnej zmysłów Diane Ackerman:

*Oddech jest ugotowanym powietrzem; w komórkach naszego ciała działają piece hutnicze i kiedy oddychamy, przepuszczamy świat zewnętrzny przez własne ciała; warzymy go lekko i wyrzucamy z siebie w stanie nieznacznie zmienionym przez pamięć o nas.*

Ugotowane powietrze? Zdjęcia ukazujące tę część mnie, której nigdy nie byłam świadoma? Listy, które noszę ze sobą i czytam w kółko? Kim jest ten człowiek? Próbowałam sobie przypomnieć, jak on wygląda, ale pamiętałam jedynie, że miał miłą twarz, nosił okulary i był wysoki. Kiedy więc zadzwonił ponownie, niemal natychmiast poprosiłam, by mi powiedział, jaki jest. Odparł, że zabawny, spontaniczny i uczuciowy. Musiałam wyjść na chwilę, Rose, przepraszam. A potem dodał:

- Chcesz, żebym opisał ci swój wygląd?

Potwierdziłam. I wiesz, co wtedy powiedział?

- Wiem, co masz na myśli. Następny zestaw proszę.

Wzięłam głęboki oddech i zapytałam:

- Czy zobaczymy się jeszcze kiedyś?

- Nie wiem. Sądysz, że to dobry pomysł?

- Och, nie bądź taki nieśmiały.

- Nie jestem. Ale co będzie, jeżeli nasze spotkanie okaże się kompletnym niewypałem?

- Nie okaże się, bo mamy już własne nieszczęścia. Kiedy cię spotkałam, pomyślałam, że jesteś zwykłym podglądaczem.

- Bo jestem nim. Jestem zawodowym podglądaczem z szybkostrzelnym aparatem fotograficznym. Nie wiem, Arlen. Bardzo lubię pisać do ciebie te kartki, bo są tutaj dla mnie oazą, ale bycie razem... to coś zupełnie innego.

- Dlaczego?

- Ponieważ oboje mamy pewne oczekiwania. Każde z nas już wie, jakie to drugie powinno być, a marzenia niezwykle rzadko sprawdzają się w realnym życiu. Jak długo mogę rozmawiać z tobą za pośrednictwem pocztówek czy przez telefon, tak długo jesteś dla mnie tą Arlen Ford, którą znałem i uwielbiałem w kinie - piękną Lady Cool. A teraz spójrzmy prawdzie w oczy: poczułaś się dotknięta moimi fotografiami, tym, że jestem jedynym człowiekiem patrzącym na ciebie w taki sposób. Dlaczego chcesz spotkać się z facetem, który cię obraził?

Krzyknęłam, że nie czuję się obrażona. Większość z tych zdjęć uwielbiam, a pozostałe... W końcu Meduza nie musi obawiać się własnego widoku w lustrze! Powiedziałam mu, iż Maris, oglądając zdjęcie zrobione przez szybę w kawiarni, uznała, że wyglądam na nim jak Maska Szkarłatnej Śmierci! Roześmiał się i powiedział:

- Nie lubisz tego opowiadania? Wszystkich tych durnych ludzi usiłujących dzięki zabawie przejść ponad zagładą zewnętrznego świata?! Śmierć ma poczucie humoru. Ona nie przychodzi tak po prostu i nie rozbija twojego przyjęcia; raczej wkłada kostium i przybywa z kielichem w dłoni! Nie przepadam za Edgarem Allanem Poe, więc zapytałam go, kiedy znów będzie w Wiedniu. Odparł, iż nie wie jeszcze, a poza tym chciałby przemyśleć to sobie. Cholera! Umierałam, Rose! Rzuciłam mu siebie pod stopy, a on musiał się zastanowić! Odczułam to niczym policzek.

Połącz teraz to wszystko w jedno z taką oto sceną: obie z Minnie siedzimy na progu domu w pierwszych promieniach słońca. Oczy mam zamknięte, a dłonie splecione wokół kubka gorącej kawy. To najlepsza chwila poranka; sceneria godna jego przybycia. Nagle poczułam napięcie rodzące się w leżącym na moich stopach psie. Usłyszawszy dźwięk zbliżającego się samochodu, podniosłam powoli powieki. Trzasnęły drzwiczki - u podnóża wzniesienia zatrzymała się taksówka, a ktoś zgięty wpół wyciąga bagaż z tylnego siedzenia. Kiedy go wydobył, odwrócił się do mnie i pomachał ręką. Cholera, cholera i jeszcze raz cholera! To był on! A ja nie zdążyłam nawet umyć zębów, jestem bez makijażu, a wczoraj na kolację jadłam zupę, do której dodałam dużo czosnku... Wspaniale, prawda? Oto, co znaczy wybrać odpowiedni moment! To był cały on. Wspomnienie jego twarzy wróciło momentalnie, a ja nie wiedziałam, czy mam zostać tam, gdzie siedzę, czy wyjść mu naprzeciw, żeby go powitać. Byłam spokojna; żadnego drżenia, żadnego dzwonienia w uszach ani mrowienia w stopach. W końcu byłam na to przygotowana od dawna. Wstałam i wraz z Minnie biegnącą przede mną ruszyłam w dół ścieżką. Podczas kiedy pies zatrzymał się przed furtką, kręcąc niecierpliwie ogonem, Leland zatrzasnął drzwi taksówki i samochód odjechał. Spróbował podnieść swą torbę i zarzucić ją sobie na ramię, ale potknął się i

pozwoił jej ciężko spaść na ziemię. Byłam już wystarczająco blisko, żeby dostrzec, iż nerwowo oblizal usta.

Otwierając bramkę, zażartowałam, pytając, czy to naprawdę tak strasznie ciężkie; uradowana Minnie doskoczyła do niego, by się przywitać. Odparł, iż trochę udawał, a ja zapytałam, czy mogłabym mu pomóc. Powiedział, że nie, ale przyznał, iż nie wszystko jest w porządku. Spojrzałam na niego i spostrzegłam, że krwawi! Uśmiechnął się, dodając, iż to jest właśnie ten problem. Miał na sobie białą koszulę z rękawami zawiniętymi aż do łokci i dokładnie na wysokości jednego z nich dojrzałam na materiale ciemnoczerwoną plamę krwi. Zapytałam, co się stało, i chwyciłam torbę. Zupełnie spokojnie, jakby opowiadał o wczorajszym śniadaniu, wyznał, iż trafił go odłamek granatu i jeżeli będzie miał szczęście, to zostanie mu interesująca blizna. Cholerny, głupi macho! Powiedziałam mu, żeby wreszcie, na litość boską, wszedł do domu, a on zaczął się upierać, że nie mogę nieść jego bagażu, bo to dla mnie za ciężkie. Wyobrażasz sobie? Mówił to, pomimo że krwawił!

Bagaż rzeczywiście nie był lekki, ale jakoś zdołałam dojść z nim do frontowych drzwi i postawiłam na progu. Kiedy zapytałam, czy nie powinien jechać do szpitala, żeby sprawdzili, co z raną, odparł, iż to nic poważnego, po prostu draśnięcie. Odrzekłam, że zachowuje się niczym pieprzony hollywoodzki bohater.

Kiedy byliśmy już w środku, spytałam, czy nie jest głodny, i nie czekając na odpowiedź, ruszyłam w stronę kuchni. Zatrzymał mnie, dotykając mego ramienia.

- Nie masz nic przeciwko temu, że tu przyjechałem? Powinienem być najpierw zadzwonić...

- Nie, skądże. Wszystko w porządku. Teraz siadaj i odpoczywaj. Przygotuję coś do jedzenia.

Zamiast usiąść w salonie, poszedł za mną do kuchni i zasiadł przy stole. Minnie trzymała się tuż przy nim, ułożywszy się u jego stóp. Zapytałam, czy lubi jajka na bekonie. Okazało się, że nie mogłam lepiej trafić, uwielbiał je.

- W porządku - rzekłam. - Teraz opowiadaj, co ci się przytrafiło.

Jechał z ONZ-owskim konwojem, kiedy ostrzelano ich z dział i moździerzy. Powiedziałam, że nic o tym nie słyszałam w wiadomościach, na co Leland roześmiał się. Bardzo wielu informacji nie podaje się w dziennikach - to jest jedna z pierwszych prawd, jakich nauczył się jako reporter. Dziennikarze twierdzą, iż przekazują telewizjom oraz czytelnikom informacje, ale zwykle są one starannie przebrane. Ludzie z kolei uważają na ogół, iż pragną znać prawdę, i sądzą, że mogą oglądać śmierć, zwłoki oraz masakry, ale wystarczy pokazać im tę prawdę, całe okrucieństwo wojny, a wpadają w przerażenie.

Na moje pytanie, jak naprawdę wygląda sytuacja w Jugosławii, odparł, iż wszyscy tam pragną niezależności. Pięćdziesiąt lat temu wybuchła wojna, gdyż jeden kraj chciał zapanować nad innymi. Dzisiejsza wojna toczy się dlatego, że poszczególne części byłych federacji chcą się uwolnić od pozostałych - Chorwaci od Serbów, a wszystkie były republiki od tego, co dawniej nazywało się Związkiem Radzieckim.

Szykując śniadanie, słuchałam odwrócona do niego plecami. Kiedy zerknęłam przez ramię, zauważyłam, że podparł brodę pięściami i wyglądał, jakby przemawiał do jakiejś odległej ściany. Chciałam go pytać o wiele rzeczy, ale zrozumiałam, że on pragnie mówić tylko o tym, co miało znaczenie dla niego; więc milczałam.

- Wiesz, najdziwniejsze jest to, że kiedy oberwałam i potem, kiedy już mnie połatali, nie wiedziałem, dokąd iść. Jak wiesz, mam mieszkanie w Londynie i są tam ludzie, z którymi mógłbym zostać, jednak to nie było to. Pomimo że moja rana jest powierzchowna, przeraziłem się. A kiedy mój strach sięgnął szczytu, stwierdziłem, że mogę jechać tylko do Wiednia. Pragnąłem cię zobaczyć. Po naszej ostatniej rozmowie byłem co prawda przekonany, iż nie powinienem tego robić, ale oto jestem. Mam nadzieję, że nie uważasz mnie za natręta burzącego twój spokój... Jeżeli tak jest, powiedz mi to od razu.

- Śniadanie gotowe. Wcale mi nie przeszkadzasz. Proszę, jedz.

Jak mogłam powiedzieć to inaczej, Rose? Nigdy wcześniej nie byłam tak szczęśliwa, widząc obok siebie mężczyznę!

Jadł tak jak ja: brał kolejną porcję do ust, mimo iż nie połknął jeszcze poprzedniego kęsa. Powiedziałam mu o tym i przyznał, że nabrał tego zwyczaju na skutek życia w zagrożeniu - je się wtedy, kiedy można, i tak szybko, jak się tylko da. Zażartowałam, żeby zwolnił, bo u mnie nic mu nie grozi. Przestał jeść i wycelowawszy we mnie widelcem, zapytał:

- Założymy się?

Serce podskoczyło mi do gardła. Zapadła głęboka cisza, jednak szybko zebrałam się na odwagę i zapytałam, dlaczego w takim razie przyjechał.

- Ponieważ ciągle jeszcze chcę tworzyć swoje życie z momentów podobnych do tego.

Tak to ujął, dokładnie tak. Te słowa jednocześnie mnie uradowały i przeraziły. Cóż za dziwny człowiek! W pierwszej chwili wydało mi się, że go rozumiałam, ale zaraz stwierdziłam, iż wcale nie. Chciałam poprosić, by to powtórzył, lecz pojęłam nagle, że nie powinnam tego robić, ponieważ wzrok, jakim na mnie spojrzał, mówił wyraźnie: „Ty mnie rozumiesz!” Nie pojmowałam nic, lecz postanowiłam się do tego nie przyznawać. Dzięki

Bogu, Minnie przerwała napiętą ciszę, szarpiąc go wściekle za spodnie. Spojrzeliśmy oboje i uśmiechnęliśmy się; byłam zadowolona z tej j przerwy.

Leland otrząsnął się z zadumy a kiedy skończył jeść, wstał wolno i zapytał, czy znam w pobliżu jakiś dobry hotel.

- Nie bądź śmieszny - odparłam. - Możesz zostać w moim pokoju gościnnym; jest tam łazienka z czystymi ręcznikami.

Nie chciał przyjąć zaproszenia. W oberży poniżej mojego domu wynajmowali pokoje na górze; zadzwoniłam tam i zarezerwowałam jeden z nich. Nie mogłam objąć myślą swoich uczuć - czy byłam zadowolona czy raczej smutna, że odrzucił propozycję zamieszkania u mnie? Moje myśli przypominały patchwork zszyty z różnokolorowych, splątanych emocji. On był ranny, a ja chciałam z nim przebywać i rozmawiać, pragnęłam lepiej go poznać, lecz pozostanie Lelanda pod moim dachem oznaczało masę innych problemów - i oboje wiedzieliśmy o tym. Wreszcie, zastanawiałam się, czy wydawał mi się pociągający? Nie, nie był w moim typie. Od pierwszej chwili przypominał mi starszego kolegę z korporacji studenckiej. Miła twarz, bardzo ożywiająca się, kiedy mówił, ale nie było to oblicze, które przyprawiało o szybsze bicie serca. Robił wrażenie sympatycznego, nic więcej. Wiesz, Rose, dużo myślę o seksie, szczególnie gdy akurat nie jestem z nikim związana. Zauważyłam, iż Leland uważnie słucha każdego mojego słowa; wydawał mi się znakomitą osobą do wysłuchiwania zwierzeń, ale nie facetem, na którego chciałabyś się rzucić i zaciągnąć go do swojej sypialni.

Zanieśliśmy jego bagaż do samochodu i zawiozłam go do pensjonatu. W czasie jazdy powiedział, że jest bardzo zmęczony i prześpi się kilka godzin; czy mógłby zadzwonić, kiedy wycocznie? Zaprosiłam go na kolację i zaproponowałam, że przyjadę po niego. Zgodził się tylko w części - kolacja w porządku, lecz wolałby się przejść, ponieważ dla niego to czysta radość móc się swobodnie poruszać bez obawy, że ktoś go po drodze zastrzeli.

Resztę przedpołudnia spędziłam na sprzątanii i zastanawianiu się, co podać na kolację. Rozłożyłam swoje książki kucharskie i wyszukałam coś zupełnie ekstra, a jednocześnie łatwego do przygotowania; przy tej okazji stwierdziłam, iż niezbędne mi są pewne świeże składniki, więc pojechałam po nie na wiedeński Naschmarkt. Przejeżdżając obok hoteliku, uśmiechnęłam się i powiedziałam: „Hej, tam na górze!”, a kiedy znalazłam się na targu, zaczęłam myśleć o tym, jak go tutaj spotkałam pierwszy raz i co z tego wynikło. Ponieważ był teraz tak blisko mnie, samo miasto nabrało dla mnie innego znaczenia. Nie wiem, czy rozumiesz, co mam na myśli. Zdecydowałam, że kiedy Leland poczuje się lepiej,

zabiorę go do wszystkich tych miejsc, które najbardziej lubię. W związku z tym zastanawiałam się, jak długo pozostanie w Wiedniu.

„Ponieważ ciągle jeszcze chcę tworzyć swoje życie z momentów podobnych do tego”.

Jezuuu! Co za zdanie!

Droga do domu była jedną z tych cudownych półgodzin, które - gdy wracasz do nich pamięcią - wspominasz z rozrzewnieniem. Wiozłam świeże truskawki w pojemniczkach, pory, węgierską paprykę na zupę i tyle jarzyn, że ledwo doniosłam je do auta. Myślałam o tym, jak rozłożę to wszystko na białym kuchennym stole i zabiorę się do przygotowań. Gotowałam tę potrawę już wcześniej i wyszła wtedy całkiem smaczna. Przede mną było długie popołudnie w kuchni. Wyjmę chińską porcelanę i przepiękne kieliszki z czeskiego kryształu. Czy mam dosyć wina? A może powinnam kupić coś słodkiego na deser?

Stojąc w kuchni gotowa do rozpoczęcia działań, niemal nie chciałam tego robić, ponieważ każda czynność przybliżała mnie do spełnienia i jego nadejścia. W porównaniu z tym dniem jakże ciche było ostatnio moje życie; pełne spokoju, ale mdłe. Weber przysłał mi kiedyś pocztówkę z następującym zdaniem: „Żyj każdego dnia tak, jakby twoje włosy stały w płomieniu”. Miałam już dosyć tego ognia - podczas lat spędzonych w Kalifornii głowa mi bezustannie płonęła. Teraz jednak podniecenie, jakie ogarnęło moje serce, mówiło mi wyraźnie, że w Wiedniu popadłam w drugą skrajność - miałam zbyt wiele spokoju i zbyt mało pokus. Za dużo myślałam o swoim życiu i głęboko przerażała mnie spowijająca je ciemność; przyjazd Lelanda był najlepszym remedium na żądła duchowych rozterek, którymi raniłam własne ciało i nasączałam je jadem.

Zaledwie przystąpiłam do gotowania, odezwał się dzwonek u drzwi. W progu stał Leland z bukietem kwiatów w dłoni.

- Sądziłam, że chciałeś się przespać.

- Trochę spałem, ale jest zbyt piękny dzień, by go tracić na sen. Mogę wziąć Minnie na spacer?

Poradziłam mu, by poszedł z nią w górę winnic, a już ona sama pokaże mu swoją ulubioną ścieżkę. Stałam w drzwiach i patrzyłam, jak odchodzą. Minnie biegła przodem, odwracając się co chwilę, żeby sprawdzić, czy Leland za nią idzie. Podbiegł kilka kroków, a ja z przerażeniem pomyślałam o jego ranie; pewnie go bolała. O Boże, Rose, byłam taka szczęśliwa! Szczęśliwa i podekscytowana. Reszta dnia także była wspaniała. Kolacja nie okazała się aż tak dobra, jak się tego spodziewałam, ale Leland zjadał wszystko, chwając głośno każdą potrawę. Zresztą, rozmowa wystarczyła mi za najsmakowitszy posiłek. Wiesz, Rose, człowiek uważa swój los za wielce urozmaicony, póki nie spotka kogoś takiego jak

Leland; kiedy słuchałam jego opowieści, wydawało mi się, że spędziłam życie w mysiej dziurze.

Rzucił szkołę, mając dziewiętnaście lat, gdy stwierdził, że interesuje go jedynie robienie zdjęć. Pojechał zatem do Nowego Jorku i pracował jako asystent Ovo, fotografa mody, ale ten światek odstręczał go. Rzucił więc i to, by wyjechać na wakacje do Rodezji. Rewolucja rozpoczęła się tam w przysłowiowe pięć minut po jego przylocie. Siłą rzeczy porobił nieco zdjęć tego, co się tam wyprawiało. Tak zaczęła się jego przygoda jako fotoreportera i wygląda na to, że od tamtej pory był w każdym najbardziej podłym i niebezpiecznym zakątku świata. Zainterесowało mnie, czy się kiedyś bał. Odparł, iż zawsze się boi, ale strach sprawia, że wszelkie przeżycia stają się bogatsze i bardziej satysfakcjonujące. Dla zabawy zaczęłam wymieniać nazwy różnych egzotycznych miejsc i krajów i okazało się, że był w większości z nich. Podróżował na wielbłądzie wraz z mauretańskimi handlarzami niewolników, widział zjawę lewitującą za murami buddyjskiego klasztoru w Nepalu, był w Pekinie, kiedy chińska armia rozgromiła studentów na Placu Niebiańskiego Spokoju. Jedna historia zaczynała następną. Przebywał w odległych dżunglach, gdzie widział przedziwne zwierzęta, jak bongo i łuskowce.

O co można zapytać kogoś, kto to wszystko poznał i uczestniczył w tylu tragicznych wydarzeniach? Chciałam się dowiedzieć, czy dzięki temu całemu doświadczeniu doszedł do jakichś istotnych, życiowych wniosków.

- Czy wpadłaś kiedyś, idąc główną ulicą, na pajęczę sieci rozciągniętą pomiędzy stojącymi po przeciwnych stronach budynkami? Jak pająki je robią? Jak snują swe nici przez całą szerokość jezdni, nie zrywając ich przy tym? I jak to możliwe, że owe sieci potrafią przetrwać tak długo, aż ktoś przechodzący wreszcie je zniszczy?

Zapytałam go, co ma na myśli, ale wzruszył ramionami i wstając, powiedział, że musi iść do toalety. Dość długo nie wracał i zaczęłam się niepokoić. Wyszłam na korytarz i zawołałam, czy dobrze się czuje. Nie było odpowiedzi, więc ruszyłam do łazienki, lecz drzwi były otwarte, a światło w środku zgaszone. Gdzież on się podział? Oblediałam cały parter domu. Szukając go, wyobrażałam sobie, że leży gdzieś na podłodze lub siedzi oparty o ścianę z zamkniętymi oczami, niezdolny do podniesienia się. Skarciłam się w myśli za to, iż zapomniawszy, że jest ranny, wymęczyłam go swoimi pytaniami i ciekawością. W Klosterneubergu był dobry szpital i gdyby trzeba było, mogłabym go zawieźć tam w dziesięć minut. Tylko gdzie on był, do diabła?

- Arlen?

Stałam w miejscu, nagle uzmysłowiwszy sobie, że martwiąc się i roztaczając w wyobraźni owe straszliwe wizje, nie zauważyłam, iż frontowe drzwi są otwarte.

- Leland? Jesteś przed domem?

- Tak. Chodź tutaj szybko! Zobacz, co znalazłem.

Zaraz powiem ci, co zobaczyłam, kiedy tam podbiegłam, ale weź poprawkę na to, że nie ma sposobu, bym wiernie oddała ten obraz słowami. Siedział przed domem na kamiennym progu oparty plecami o ścianę, dokładnie tak samo jak ja rano, kiedy przyjechał. Minnie leżała naprzeciwko niego, wyciągnięta na całą długość, co robi wówczas, kiedy jej na czymś bardzo zależy i pragnie być jak najbliżej obiektu swych uczuć. Ten widok, przywodzący mi na myśl parę siedzących vis-à-vis pijanych marynarzy, sprawił, że o mało nie krzyknęłam; położyłam dłoń na ustach. Potem zauważyłam, że pies podnosi wysoko głowę, jakby chciał zobaczyć coś, co Leland trzymał w stulonych dłoniach. Przypominali mi ojca i dziecko; albo nauczyciela pokazującego coś uczniowi. Podeszłam bliżej i stanęłam tuż za nimi; zanim spojrzałam na ręce Lelanda, dostrzegłam, iż w złotych oczach Minnie błyszczy szczerą miłość.

Pomiędzy rozchylonymi lekko dłońmi Lelanda pokazała się szarobrazowa kulka i już chciałam coś powiedzieć, kiedy powoli rozwinęła się i malutki, błyszczący, czarny nos wychylił się poza jego palce. Był to mały igel, austriacka odmiana jeża. Tym razem nie zdołałam opanować wyrwijącego mi się z ust okrzyku. To jedno z najmilszych zwierzątek na świecie i czasem, jeżeli ma się trochę szczęścia, można dostrzec je, jak skrada się w ogródku, niuchając wokół zawzięcie i czegoś szukając. Minnie nie interesuje się nimi; jeżeli w swych wędrówkach spotka jeża, obwąchuje go i idzie dalej w swoich sprawach. Zupełnie inaczej jest, kiedy dotknie go człowiek - język zwykle zwija się w ciasną kulkę, stroszy igły niczym jeżozwierz i trwa w tym stanie, aż niebezpieczeństwo przeminie. Mój pies przyglądał się teraz temu zwierzątku z taką miłością, jakby było jego najlepszym przyjacielem. Igel nie był przestraszony, skoro rozwinął się i wytknął nos zza palców Lelanda.

Zapytałam, gdzie go znalazł. Odparł, że kiedy wyszedł na zewnątrz, jeżyk siedział na progu. Byłam zdumiona - kim jest ten facet, do cholery? Robertem Capa, Indianą Jonesem czy świętym Franciszkiem z Asyżu? Zapytał, jak się nazywa to stworzenie, więc powiedziałam mu, dodając, iż zawsze chciałam mieć w domu takiego pieszczocha. Kiedy zaproponował, że podaruje mi właśnie tego, zaprotestowałam - wystarczy mi obraz ich trójki, który pozostanie w mej pamięci. Leland odwrócił się do mnie z pięknym uśmiechem i wypuścił z rąk języka. Zwierzątko oddaliło się, nie wykazując wszakże zbytniego pośpiechu, Minnie nie poruszyła się, tylko spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby chciała powiedzieć:



„Widzisz? Widzisz to samo, co ja?” Spytałam Lelanda, jak się czuje. Odparł, że dobrze. Położył dłoń na łbie Minnie, która wyciągnęła się jeszcze bardziej. Gdzieś nad naszymi głowami rozległ się dźwięk samolotu, a kilka minut później ujrzeliśmy jego błyskające światła i ciemny kształt płynący po niebie. Leland wyciągnął w górę rękę. Udał, iż chwytając samolot w zaciśniętą pięść i powoli ściąga go na dół. A potem otworzył przede mną dłoń i powiedział:

- To dla ciebie.

## Wyatt

Drugiego dnia pobytu w Wiedniu wskrzeszałem umarłych.

Siedziałem wraz z Sophie i Caitlin w restauracji obok naszego hotelu, gdzie jedliśmy kolację. W jednej chwili miałem się jeszcze zupełnie dobrze, a w następnej poczułem się tak wyczerpany, że nie wiedziałem, czy wykrzeszę z siebie dosyć energii, by wstać i wrócić do pokoju. Zdołałem tam dotrzeć, ale po wejściu zrzuciłem po prostu ubranie na podłogę i padłem na łóżko. Następnego ranka o wpół do siódmej byłem już na chodzie i dzwoniłem do Jesse'ego Chapmana, by podjechał po mnie swoim wozem, ponieważ prosto stąd musimy dokądś się udać. Nie wydawał się tym zaskoczony. Jedyne pytanie, jakie zadał, dotyczyło tego, czy planowany wyjazd ma coś wspólnego z tematem naszej wczorajszej rozmowy. Tak, ma, więc przyjeźdź po mnie. Stałem przed hotelem, kiedy zjawił się pół godziny później.

- Cześć, Wyatt. Jak leci?

Jego twarz i głos zdradzały zapał, którego nie było w nim ani za grosz poprzedniego wieczoru. - Wiesz, gdzie znajduje się Friedhof der Namenlosen?

- Cmentarz Bezimiennych? Nie, nie wiem.

- Masz plan miasta?

- Tak, w skrytce na rękawiczki. Co to za miejsce?

- Skąd mam wiedzieć? Nigdy wcześniej nie byłem w Wiedniu, mówiłem ci przecież.

Po prostu czuję, że musimy tam pojechać. To jest ten plan?

Jesse patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, a potem skinął głową.

- O co chodzi, Wyatt?

Nie mając zielonego pojęcia ani o tym mieście, ani o miejscu, które mieliśmy odwiedzić, spoglądałem na plan kilka sekund, zanim odszukałem cmentarz.

- To jest tutaj. Nie wiem, co się dzieje. Trafisz tam? - Wskazałem palcem miejsce na planie.

Wziął go ode mnie i przyjrzał się uważnie.

- To obok lotniska. Trafię.

Był spory ruch i dotarcie na miejsce zajęło nam dobre pół godziny. Podczas jazdy Jesse odzywał się tylko po to, by wskazać mi pewne znane miejsca - Hofburg, Prater czy kamienicę, w której na początku swej kariery mieszkał Zygmunt Freud. Miałem przed sobą czyste, porządne miasto, które nie wydało mi się zbyt interesujące. Były inne miejsca na świecie, które wolałbym zobaczyć przed śmiercią. Zawsze chciałem zwiedzić Brugię lub ujrzeć wspaniały widok na morze, jaki rozciąga się z greckiej wyspy Santoryn.

Jechaliśmy jakiś czas wzdłuż Kanału Dunajskiego, w którym powoli płynęła brunatna woda. W zasięgu wzroku nie było żadnej łodzi, co uznałem za nieco dziwne. Ubrani w same spodnie wędkarze stali na brzegu, a obok nich przejeżdżali rowerzyści. Środek lata w Wiedniu. Jesse wyjaśnił mi, że od jakiegoś czasu panuje tutaj susza - dzień w dzień żar lał się z nieba i nic nie zapowiadało deszczu. Drzewa zdawały się schnąć w oczach, a trawa nawet w pobliżu wody była brązowożółta. Z samochodowego radia doszły nas anglojęzyczne wiadomości, w których komentator opisywał z detalami okropności jugosłowiańskiej wojny; tysiące zabitych, ranni i obozy koncentracyjne, a nikt nie ma pomysłu, jak to wszystko przerwać. Kiedy tylko dziennik się skończył, Jesse wyłączył radio.

- Możesz mi uchylić rąbka tajemnicy na temat naszej wyprawy, czy muszę czekać, aż znajdziemy się na miejscu? Puściłem jego pytanie mimo uszu, nie przestając rozglądać się wokół. Jak mogłem cokolwiek wytłumaczyć, skoro sam ledwo to pojmowałem? A właściwie - niczego nie rozumiałem.

Przez kilka minut jechaliśmy autostradą, po czym skręciliśmy w wąską, krętą drogę graniczącą z gigantyczną rafinerią ropy naftowej oraz szarymi blokami magazynów. Znowu boczne drogi, a przy nich tablice ogłoszeniowe zachwalające w obcych językach znane produkty. Można tu było kupić napoje pomarańczowe, a także rajstopy oraz długopisy Bic. Chciałem znaleźć się w domu i oglądać te przedmioty reklamowane w moim własnym języku. Pragnąłem być u siebie, a nie tutaj, pomiędzy składami, przed którymi stały rosyjskie i bułgarskie samochody ciężarowe z tablicami rejestracyjnymi opisanymi cyrylicą.

- Oni naprawdę są ze Wschodu, co?

Zwolniliśmy, kolebiąc się na wybojach, a potem stanęliśmy. Jesse wziął ode mnie plan i zaczął sprawdzać, gdzie jesteśmy.

- Powinniśmy być niemal na miejscu. Jeszcze kawałek tą drogą.

Ruszyliśmy więc i nagle, zanim Jesse to potwierdził, zrozumiałem, że dotarliśmy do celu.

- To tutaj. Zatrzymaj samochód po drugiej stronie pętli. Cmentarz znajduje się na wzgórzu.

Zaparkowaliśmy i wysiedliśmy z auta. Po lewej stronie wznosił się ogromny magazyn z powybijanymi oknami i wielkimi dźwigami od frontu, wspierającymi się na kamiennej ostrodze kanału, a sponad krawędzi nabrzeża wyglądał czarny dach nadbudówki barki rzecznej.

- W górę, tymi schodami.

Nie poruszył się nawet.

- Skąd wiesz, Wyatt?

- Austria jest katolickim krajem. Jeżeli więc jesteś katolikiem i popełnisz samobójstwo, prawo kościelne odmawia ci pochówku w poświęconej ziemi. Władze miasta ulokowały tutaj to cmentarzysko z dwóch powodów: po pierwsze, musieli gdzieś grzebać tych, co targnęli się na własne życie, a po drugie, podczas budowy kanału wielu robotników utonęło lub w inny sposób zginęło przy pracy, zatem w pobliżu potrzebny był cmentarz.

Nie pytając mnie, skąd znam te wszystkie fakty, Jesse począł się wspinać wąskimi schodami. U kresu wędrówki ujrzeliśmy kamienny budynek w kształcie ula - była to kaplica cmentarna. Światło włączało się na zewnętrznej ścianie; po zapaleniu go dostrzeżliśmy w środku, za kutą, ornamentową i zamkniętą kratą, mały, ustrojony kwiatami ołtarz z jedną świecą płonąca w jego centrum. Kto przychodził tu codziennie z samego rana, by wymienić świeczkę? Kolejne schodki prowadziły ku wysokiej do pasa cementowej ścianie, ozdobionej napisem z grubych, dużych liter: *FRIEDHOF DER NAMENLOSEN*. Po drugiej stronie muru znajdowała się może setka grobów. Niemal wszystkie miały identyczne metalowe krzyże wbite u szczytów ziemnych garbów. U stóp każdego tkwiła prostokątna plakietka, podobna do miniaturowej tablicy szkolnej czekającej, by wypełnić ją jakąś treścią; jednak tylko na niewielu spośród nich były wykaligrafowane na białą ręcznym pismem nazwiska oraz daty. Reszta pozostała nie opisana. Na wszystkich grobach znajdowało się zadziwiająco dużo kwiatów i wieńców. Uderzyła mnie myśl, iż wielu ludzi przychodzi tutaj, by spłacić swoistą daninę anonimowym zmarłym. Co ich do tego skłania? Ktoś doglądał kaplicy, ktoś inny przynosił bukiety świeżych kwiatów. A może był to czyjś obowiązek? Czy Wiedeń składa w ten sposób hołd tym umarłym, o których nikt inny się nie troszczy? Czy też była to zwykła cześć i szacunek okazywane przez jakichś dobrych ludzi? Miałem nadzieję, iż tak właśnie było. W kilku punktach wznosiły się grubo ciosane kamienie z wyrytymi nazwiskami, datami oraz przyczyną śmierci, lecz stanowiły niezmierną rzadkość, sprawiając jednocześnie wrażenie, iż znalazły się zupełnie przypadkiem wśród reszty skromnych, metalowych krzyży.

Podszedłem do jednego z anonimowych grobowi patrząc na Jesse'ego, oparłem na nim dłoń.

- Tu leży mężczyzna. Nazywał się Thomas Widhalm. W 1929 roku popełnił samobójstwo, skacząc do Dunaju. Jego ciało wypłynęło, jak wiele innych, dokładnie naprzeciwko cmentarza, przy tym ostrym skrawku lądu oddzielającym rzekę od kanału. Pochodził z Oggau, a przyjechał do Wiednia studiować medycynę; stanowił chlubę rodziny.

Był jednak homoseksualistą, o czym nikt oczywiście nie wiedział, a zabił się, gdy odkrył, iż zaraził się syfilisem od innego studenta. Kiedy rodzina przez dwa miesiące nie

miała o nim żadnej wiadomości, wysłano do Wiednia jego młodszego brata, Friedricha, by go odszukał. Friedrich nienawidził Thomasa, więc po tygodniu mało energicznych poszukiwań wrócił do domu i powiedział matce, że jej ukochany syn uciekł do Niemiec. Sam Friedrich został zabity pod koniec wojny przez Rosjan, którzy zajęli wówczas Austrię - zastrzelili go, kiedy usiłował nie dopuścić, by zawładnęli składem rowerów należących do NSDAP

Kilka stóp dalej dotknąłem kolejnego krzyża, pod którym spoczywało nieznane ciało. - Margarete Ruzicka, przybyła z Czech. Zamknąłem oczy i skupiałem się przez chwilę, aż ujrzałem wyraźnie jej twarz i poznałem całą prawdę o jej życiu. Mechanizm zachodzącego w moim umyśle zjawiska podobny był do wrażenia towarzyszącego przejeżdżaniu przez gęstą mgłę - w jednej chwili nic nie widać, a w następnej przed oczami rozciąga się perspektywa na kilka mil.

Margarete Ruzicka została zatrudniona przez zamożną wiedeńską rodzinę, posiadającą willę w Hietzing i letni dom w Meran, do opieki nad ich synami bliźniakami. Widziałem ją, jak pakowała tanią walizkę i żegnała się z rodziną. Jadąc pociągiem do Wiednia, przyciskała twarz do chłodnego okna, chcąc zobaczyć wszystko naraz. Tysiące razy powtarzała sobie w duchu: „Jadę do Wiednia. Mam tam pracę!” A potem ujrzałem jej bojaźliwe dygnięcie, kiedy przedstawiono ją panu domu. Doznawałem wraz z nią wrażenia okropnej klaustrofobii, jaką odczuwała w pierwszym tygodniu z dala od rodzinnych stron. W swym skromnym pokoiku wieczorami usiłowała czytać Biblię, ale nie miała serca do tej lektury; również nucenie owych dwóch zdań na temat Wiednia, które z takim entuzjazmem i zapałem powtarzała w pociągu, nie przynosiło spodziewanego ukojenia. Sprawy stopniowo przybierały dla niej lepszy obrót, chociaż w swojej naiwności i głupocie nie rozumiała powodów nadmiernego zainteresowania, jakim darzył ją jej woniejący kielbasą i wodą kolońską pracodawca - ciągle znajdował się obok, obserwując bacznie. Wreszcie pewnej wiosennej nocy przyszedł do jej pokoju i wziął ją pierwszy raz. Pomyślała, że to nic takiego, wszak może i temu podołać, nie ma z czego robić tragedii. Nie jestem ładna, czemu więc mnie chce? Od tej pory przeglądała się w lustrze przy każdej nadarzającej się okazji. Gwałt uczynił ją próżną. Jej pan ignorował ją potem i już nie wodził za nią wzrokiem z wyjątkiem tych chwil, kiedy przychodził do jej pokoju. Oddech miał zawsze nieświeży, a skórę wilgotną i zimną. Przyglądała mu się, myśląc cały czas: „Co zrobię, jeżeli on powie wszystko mojej matce?” Wkrótce okazało się, że jest w ciąży, a inna służąca doradziła jej, żeby porzuciła służbę. Opuściła więc dom i przepadła gdzieś w mieście. Pewnego popołudnia klient, który nie chciał zapłacić jej za trwający dziesięć minut stosunek, rozciął jej gardło tak zgrabnie, jakby otwierał nożem kopertę; jej wina polegała na tym, że pozwoliła sobie molestować go o pieniądze.

- Skąd to wiesz?

Zamrugalem i zorientowałem się, że stoję z otwartymi ustami. Zamknąłem je szybko i spojrzałem na grób.

- Ostatniej nocy miałem jeden z twoich snów. Śnił mi się Philip Strayhorn. Wiesz, kto to?

- Nie.

- To był znany aktor, który niedawno popełnił samobójstwo. Miałem z nim kiedyś romans, ale nie tylko to nas łączyło. Przyjaźniliśmy się, a ja podziwiałem go.

- Możesz mi powiedzieć, co się stało?

- Daj spokój. Siądźmy lepiej tu, na tym murku. Mogę ci opowiedzieć wszystko, co chcesz, o każdym z leżących tutaj, o wszelkich ich nadziejach i spełnieniach oraz o tajemnicach, o których sądzili, iż są bardzo ważne, a wcale takie nie były... Teraz to nie ma znaczenia. Czy nawiedzająca cię osoba świeci?

Siedzieliśmy już na murze i kiedy Jesse obrócił się do mnie, zauważyłem wyraźne zakłopotanie malujące się na jego twarzy.

- Świeci? Co przez to rozumiesz?

- Chodzi mi o tego zmarłego, z którym rozmawiasz w swych snach. Kto to jest?

- Chłopak, znałem go w szkole. Ale o co ci chodzi z tym świeceniem? - W głosie Jesse'ego brzmiała podejrzliwość i rozdrażnienie.

- Strayhorn jarzy się. Nie świeci jak lampa; jest to raczej rodzaj iluminacji ogarniającej całe ciało. Śni mi się, iż siedzę w befsztykami w Nowym Jorku, u Gallagera. Zaglądam właśnie do menu, kiedy wchodzi Phil i zachowuje się tak, jakbyśmy byli umówieni na kolację. Ściskamy sobie dłonie, Phil siada i pyta, co tutaj można zjeść dobrego. Wszystko to jest przyjemne i w żaden sposób mi nie doskwiera.

- Jesteś zdziwiony?

- Nie, chociaż od razu orientuję się, z jakiego powodu tu przyszedł; nie niepokoi mnie to jednak. Obaj zamawiamy polędwicę wołową z tłuczonymi ziemniakami - oto kolacja ze zmarłym!

- Co on ci mówi?

- Pyta, czy chcę się czegoś dowiedzieć, więc interesuję się tym, dlaczego otacza go poświata. Wyjaśnia mi to, a ja rozumiem, co mówi.

- Co??! - Oczy Jesse'ego zrobiły się okrągłe; siedząc wyprostowany, odepchnął się dłońmi i pochylił ku mnie. - Zrozumiałeś? Co ci powiedział?

- Nie wolno mi tego zdradzić, wiesz o tym. Ale ja zrozumiałem.

- Ja mogę powiedzieć ci wszystko, Wyatt; wszystko, cokolwiek słyszałem i czego chciałbyś się dowiedzieć. Pytaj, o co chcesz.

- Nie mogę. Moja sytuacja jest inna.

- Dlaczego? Zresztą, zostawmy to. Co, u diabła, możesz mi w takim razie powiedzieć? Czy dowiedziałeś się czegoś, co może pomóc nam obu?

- Tak. Pojąłem każdą odpowiedź, jakiej mi udzielił.

- Nie!

- Każdą. Ale zachowywałem się bardzo ostrożnie. Przez większość czasu po prostu gawędziłem. Pytałem go tylko wówczas, kiedy byłem niemal pewny, iż zdołam zrozumieć to, co mi odpowie.

- Był tym zdumiony?

- Nie, wydawał się raczej zadowolony, a raz nawet mi pogratulował.

- Jak to się ma do naszych spraw?

- Tak, że od tej pory z tobą i McGannem wszystko będzie w porządku. Nie wydarzy się nic więcej, a wasze sny opuszczą was. Strayhorn wyraźnie powiedział, że z wami dwoma będzie dobrze, póki ja będą rozumiał jego odpowiedzi.

- Zatem Ian miał rację: że tylko ty możesz nas ocalić!

- Ocalić? Nie wiem, być może. Przynajmniej teraz. Kto jednak może wiedzieć, co się jeszcze zdarzy? To wszystko przypomina mi *Księgę tysiąca i jednej nocy*; różnica polega jedynie na tym, iż zamiast opowiadać zajmujące historie, by ocalić swe życie, muszę zrozumieć odpowiedzi udzielane mi przez zmarłego. Na razie, po jednej nocy, wszystko jest w porządku, ale co może nastąpić w przyszłości, tego nie wie nikt.

- Jesteś jednak teraz pewien, iż z McGannem i ze mną wszystko będzie dobrze?

- Z wami tak, ale nie wiem, co stanie się ze mną. Nic mi na ten temat nie mówił, a ja nie dociekałem kwestii swego bezpieczeństwa; raczej starałem się zdobyć więcej informacji o interesującej nas sprawie. Phil zapytał mnie, czy wolę przetrwać czy poznać prawdę. Odrzekłem: „Czyż nie będzie mi łatwiej ochronić siebie, jeżeli wszystko zrozumiem?” Pokiwał głową i to właśnie wtedy mi pogratulował.

- Nie rozumiem - powiedział Jesse. - O co chodzi w tym wyborze pomiędzy wiedzą a bezpieczeństwem? Co tu jest do poznania? Masz na myśli te najważniejsze, wielkie pytania? To przecież głupie, bo kiedy umrzesz, dowiesz się wszystkiego, jeżeli tylko będzie tam cokolwiek do nauczenia się! Czy coś jest teraz dla nas ważniejsze niż ocalenie?

- Kiedy usłyszałem, że jestem nieuleczalnie chory, powiedziałem do Sophie, iż jedyną rzeczą, której chciałbym jeszcze dostąpić, jest, jeśli to możliwe, spotkanie śmierci i zadanie

jej kilku pytań. Phil mi to umożliwił. Nie wiem, czy to on jest śmiercią, ale na pewno znajduje się wystarczająco blisko tych spraw. Uważam za oczywiste, że rozmawia ze swoją szefową.

Uśmiechnąłem się, widząc, iż Jesse potrząsa z dezaprobatą głową, powtarzając bezgłośnie ostatnie słowo.

- No, dobrze - powiedział - ale co ty masz z tego wszystkiego, Wyatt? Otrzymałeś dar rozpoznawania zmarłych leżących w bezimiennych grobach. I co z tego? Czy to jest użyteczna wiedza? Dowiedziałeś się może, w jaki sposób działa Bóg? Co?

- To może ocalić ci życie.

Położył dłoń na moim ramieniu.

- Wiem. Uwierz mi proszę, iż jestem ci wdzięczny, lecz myślę teraz o tobie. Nie chciałbym, żeby coś ci się przytrafiło.

- Dzięki za troskliwość, ale już się stało... Od jakiegoś czasu umieram. To jest właśnie ta wielka różnica pomiędzy nami.

- Ona może to powstrzymać! Potrząsnąłem z powątpiewaniem głową.

- Być może, ale musisz pojąć, że różni nas jeszcze jedna istotna sprawa. Otóż ty i McGann macie kochające was kobiety. Za tobą stoi także Sophie. Ja nie mam nikogo i przez długi czas będę umierał samotnie. Nikt nie jest dla mnie takim obiektem uczuć, jakim dla ciebie jest Caitlin, choć żałuję tego. To jest sedno sprawy i jak długo nie będę miał nikogo, tak długo muszę kochać sam siebie, najsilniej, jak umiem. Posłuchaj, mój ojciec umarł kilka lat temu, lecz oszedł w najgorszy z możliwych sposobów. Bez bohaterstwa i bez żadnego wdzięku w tej ostatniej chwili. Tylko ból i cierpienie przez całą drogę; aż do końca. Gorzej, ci, którzy go kochali, cierpieli razem z nim. Już pod sam koniec, kiedy jeszcze był przytomny, siadłem obok niego na łóżku i powiedziałem: „Posłuchaj, tato, mimo że umierasz, jesteś nadal dużo szczęśliwszy od wielu ludzi. Matka i ja jesteśmy przy tobie i kochamy cię, a w banku jest dosyć pieniędzy, by zapewnić ci opiekę. Przeżyłeś także cudowne, długie i pełne wrażeń życie”. Wiem, iż łatwo coś takiego powiedzieć, ale to była prawda. Istotnie wierzyłem, że gdyby mógł spojrzeć na to w ten sposób, byłoby mu dużo łatwiej odejść. Wiesz, co mi odpowiedział? „Poczekaj, aż znajdziesz się na moim miejscu, bratku, a wówczas posłuchaj samego siebie mówiącego o dobrym życiu!” I oto jestem, tato; jadę tuż za tobą pociągiem zapomnienia i już niedługo sam poznam, na czym to polega. I wiesz co, Jesse? Moja opinia nie zmieniła się, mimo iż umieram w dużo młodszym wieku niż mój ojciec. Miał wspaniałe życie i dlatego czuł się oszukany, że musi już odejść. Jakim prawem sprawy śmiały wziąć tak zły obrót?! Zawsze miał z życiem taki układ: on żył, a ono było dla niego dobre, dlatego więc podupadł na zdrowiu i czemu wszystkie siły oraz mechanizmy obronne przestały



działać? Zawsze ignorował ostateczne kwestie, nie znajdując dla nich praktycznego zastosowania, a gdy wreszcie stanął z nimi twarzą w twarz, stać go było jedynie na gorycz i zażenowanie. Zupełnie inaczej jest, jeżeli masz kogoś, kto cię kocha. To ci daje setkę powodów, by żyć. Ja ich nie mam. Nie chcę umierać, ale kiedy Strayhorn dał mi wybór pomiędzy zrozumieniem prawdy a fizycznym ocaleniem, pomyślałem: „Czym jest przetrwanie, jeżeli niczego nie będę pojmował? Lepiej więc dowiedzieć się czegoś”. Czyż nie jest to właśnie to, czego uczą nas religie? Chrystus miał w sobie wewnętrzny spokój; i Mahomet, i Budda, i święci... Taką równowagę osiąga się jedynie dzięki zrozumieniu, a nie przez przeżycie jeszcze dziesięciu kolejnych lat. Jeżeli nauczę się czegoś w swych snach, wszystko ze mną będzie w porządku, niezależnie od tego, co się jeszcze stanie. Może byłoby inaczej, gdybym kochał tak bardzo jak ty i był równie kochany. Czy teraz, czy później, bardzo bym chciał nauczyć się wystarczająco dużo, żeby kiedy ujrzę nadchodzącą śmierć, moją jedyną reakcją było: „Okay”.

- Nikt tak nie robi! Zapomnij o świętych! Nikt nie osiąga takiego ostatecznego spokoju i stanu pogodzenia się z losem to wcale nie jest pojednanie, jeżeli człowiek się poddaje, ponieważ jego ciało jest już tak wyczerpane, że wszystko wydaje mu się lepsze od całego tego pierdolonego bólu i strachu!

- Jeszcze tydzień temu prawdopodobnie zgodziłbym się z tobą, Jesse, ale dzisiaj nie jestem tego tak pewny.

- Ale ufasz tym snom?! - A dlaczego mam nie ufać?

- Ponieważ to śmierć do ciebie mówi! A śmierć jest wrogiem, Wyatt. Dlaczegoż miałaby wchodzić z tobą w układy czy pozwalać ci zerknąć w pozazmysłową przestrzeń, skoro ma w garści wszystkie atuty? Nie wolno ci jej ufać!

- Masz rację, ale być może nauczę się wystarczająco dużo, by zaufać sobie, i to już będzie coś.

Zdarzają mi się takie chwile, może raz na miesiąc, kiedy w głowie mam absolutną pustkę. Dosłownie: nie wiem, kim jestem ani gdzie się znajduję - zupełnie nic. Kiedy byłem młodszy, te przymusowe wycieczki poza granice umysłu przerażały mnie, obawiałem się bowiem, iż popadam w obłąd; po latach jednak nauczyłem się niemal z nich cieszyć. Dawniej, kiedy nadchodził taki moment niepamięci, kamieniałem, starając się ze wszystkich sił przypomnieć sobie cokolwiek. Jak się nazywam? Co się stało? Cholernie chciałem wypatrzeć w ciemności wąski promyczek światła, który na powrót połączyłby mnie z rzeczywistością.

Teraz, kiedy jestem starszy, wiem, że mój umysł przerzuca lewarek na luz i idzie na biegu jałowym. Za minutę zaskakuje na nowo, więc już się tym nie martwię.

Gdy po raz pierwszy ujrzałem w Wiedniu Emmy Marhoun, wynurzyłem się właśnie z jednej z takich umysłowych zapaści i ponownie dopasowywałem się do świata zewnętrznego. Odjechaliśmy już z Jesse'em z cmentarza po trwającej długi czas sprzeczce na temat tego, co powinienem począć z owym dziwnym darem ofiarowanym mi przez sny.. Nie miałem pojęcia, do czego mógłbym być jeszcze zdolny ponad to, czego już dokonałem, ale ponieważ każdy z nas obstawał przy swoim, dyskurs przerodził się w okazywanie przez niego złości, a przeze mnie uporu. Podczas drogi powrotnej do miasta cały czas mruczał z niezadowoleniem pod nosem. Ponieważ znalazłszy się znowu w hotelu, nie miałem ochoty spotkać się z Sophie i wyjaśniać jej, gdzie byliśmy, zczekałem, aż Jesse odjedzie, i poszedłem na spacer.

Naprzeciwko Opery, po drugiej stronie ulicy, znajduje się mała cukiernia - dobywały się z niej tak nęcące aromaty, że wszedłem. Wnętrze lokaliku było zatłoczone, ale szczęśliwie wypatrzyłem w kącie wolny stolik. Zamówiłem ciastko oraz kawę i usiadłem, czując się po raz pierwszy tego dnia szczęśliwy. Nie miałem najmniejszej ochoty zaprzętać sobie cokolwiek głowy; pragnąłem jedynie siedzieć w tym przytulnym miejscu, otoczony słodkimi zapachami oraz plotkującymi kobietami i jeść prawdziwy wiedeński sernik. A potem... Znam kogoś, kto wszystkie swoje listy podpisuje frazą: „Szkoda więcej słów”. Tak właśnie się czułem; nie byłem zdolny do zebrania myśli, więc postanowiłem pozwolić odpocząć językowi oraz zmysłom. Mój umysł zaaprobował tę decyzję i nagle przestałem istnieć. Trwało to dostatecznie długo, by kelnerka zdążyła postawić przede mną zamówiony smakołyk. Wracając z obłoków na ziemię, zerknąłem kilka razy na ciasto na stoliku, a potem, podczas gdy w mojej głowie stopniowo się przejaśniało, spojrzałem na ludzi stojących przy kontuarze. Wówczas to ujrzałem Emmy Marhoun czekającą w kolejce.

Tylko że to nie mogło być prawdą - Emmy Marhoun nie żyła od ponad trzech lat! Znałem ją z czasów, kiedy pracowała jako redaktorka w jednym z nowojorskich wydawnictw. Poznaliśmy się, gdy mój telewizyjny show sięgnął szczytów popularności. Napisała do mnie list z pytaniem, czy nie interesowałoby mnie przygotowanie dla nich książki na temat mojego programu. Kilka razy zjedliśmy razem kolację i polubiłem ją. Była mądrą, dowcipną i w pewien sposób agresywną i przedsiębiorczą kobietą, która zwykle dostawała to, czego chciała. To, iż była bardzo piękna, nie raniło mnie wcale. Gdybym był hetero, zakochałbym się w niej z całą pewnością, natomiast w tym stanie rzeczy zakradłem się zupełnie niewinnie, co zaowocowało naszymi dalszymi spotkaniami nawet po tym, gdy nie zgodziłem się na jej projekt.

W jakiś czas później ktoś mi powiedział, że Emmy nie żyje - spadła z konia, który kopnął ją w głowę. Jak widać, jest wiele niezwykłych sposobów umierania. Gdy stajemy się coraz starsi, przyzwyczajamy się do dziwnego postrzegania świata poprzez tłumaczenie go sobie za sprawą przyczyn i skutków, aż przychodzi moment, kiedy słyszysz coś podobnego do historii Emmy i jedyną twoją reakcją jest pytanie: „Co masz na myśli, mówiąc: kopnięta przez konia?” Nie rozpaczałem po niej, ponieważ nigdy nie byliśmy ze sobą blisko, a pomiędzy naszym ostatnim spotkaniem i jej śmiercią upłynęło sporo czasu. Nie da się jednak ukryć, że kochałem się w niej odrobinę, i zdumiewało mnie to, jak wiele o niej myślałem po usłyszeniu tej tragicznej wieści. I oto dzisiaj stała dziesięć stóp ode mnie i znowu dotykała swych włosów takim ruchem, jakby głaskała się po głowie; doskonale pamiętałem ten charakterystyczny gest. Wstałem i podszedłem do niej, ale nie zauważyła mnie aż do ostatniej chwili. Potem odwróciła się od lady i stanęliśmy twarzą w twarz.

- Emmy?

Zmrużyła oczy ze zdumienia, a potem otworzyła je szeroko.

- O rany! Wyatt Leonard? A cóż ty tutaj robisz?

Podniosła dłonie na wysokość ust i klasnęła niczym uradowany czymś dzieciak. Musiałem jej dotknąć, by sprawdzić, czy jest realna. Dotknąłem. Była rzeczywista jak wszyscy diabli!

- Masz chwilę? - zapytałem.

- Jasne! Jak miło cię spotkać, Wyatt! Gdzie się podziewałeś? To już tyle lat!

Kiedy usiedliśmy, otrząsnąłem się z początkowego szoku i jedno słowo, które wypłynęło mi z głębi mózgu, wyjaśniło wszystko: Strayhorn! Sen z ostatniej nocy. Umiejętność poznawania tożsamości bezimiennych zmarłych stanowiła część pierwszą czegoś, o czym nie miałem pojęcia; teraz nastał czas na akt drugi, a wszystko to łączyło się w jedną całość - najpierw kolacja z nieżyjącym mężczyzną, a zaraz potem śniadanie w towarzystwie zmarłej kobiety.

Byłem zdumiony, ale jednocześnie od ostatniej nocy także świadomy faktu, że moje życie wskoczyło na wyższy bieg, na którym żadna prędkość ani żadne zdarzenie nie jest wykluczone. Do mnie należało teraz uporać się z tym ewenementem, zatem zamiast uciec gdzie pieprz rośnie czy postradać zmysły, usiadłem przy stoliku z przybyłą z za grobu przyjaciółką i rozmawiałem z nią tak normalnie, jak tylko potrafiłem się na to zdobyć w tych warunkach - i czułem się zupełnie dobrze. Od czasu do czasu łapałem się jedynie na tym, iż oddycham, jakbym był bardzo podniecony, lub że oblizuję setny raz wargi, ale poza tym wszystko było ze mną w porządku. Najokropniejsze było to, że ona o niczym nie wiedziała -

ta kobieta nie miała pojęcia, że nie żyje! Rozmawialiśmy niczym starzy kumple, którzy nagle wpadli na siebie przypadkiem; mówiliśmy o wspólnych znajomych, o spędzonych razem wieczorach, o tym, co robiliśmy od ostatniego spotkania. Zarzuciła mnie informacjami na temat wszystkiego z wyjątkiem tego, co było najważniejsze.

Skąd zatem czerpałem pewność, że Emmy zmarła? Ojej wypadku czytałem w kilku różnych gazetach, a także słyszałem opowieść dwojga ludzi, którzy uczestnicząc w pogrzebie, widzieli ciało Emmy Marhoun w otwartej trumnie. Czy potrzeba jeszcze innych dowodów? Jednak najbardziej przekonujące było to, iż jarzyła się tak jak Philip Strayhorn. Czy byłem jedynym, który to dostrzegł? Najwyraźniej nikt w tej kafejce nie wydawał się poruszony jej widokiem, z wyjątkiem młodego mężczyzny, który nie mógł oderwać od niej wzroku i najwyraźniej był nią zauroczony. Miałem ochotę podejść do niego i zapytać: „Czy widzisz ten blask bijący od jej ciała? To bladoniebieskie świecenie? Owo nieznaczne migotanie podobne do mirażu tworzącego się w upalne, letnie dnię ponad asfaltową drogą?” Ale młody człowiek z całą pewnością nie widział tego wszystkiego. Było to wyłącznie moim udziałem - za sprawą Strayhorna oraz faktu, że umierałem.

Podczas pracy w nowojorskim wydawnictwie Emmy głęboko pokochała pewnego mężczyznę, który stanowił okaz najbardziej niezwykłego faceta, jakiego kiedykolwiek spotkała; była święcie przekonana, że jest to ten jedyny. Przeżyła z nim kilka wspaniałych miesięcy, po czym ów raróg oświadczył, że Emmy go nudzi, w związku z czym odchodzi od niej. Podziwiałem ją za sposób, w jaki przyjęła ten cios; byłoby jej znacznie łatwiej powiedzieć, że po prostu się rozstali, i na tym poprzestać. Zamiast tego jednak Emmy wyznała mi: „Stwierdził, że go nudzę, i dokładnie wyjaśnił dlaczego. I wiesz, co było w tym najbardziej bolesne? Że miał rację - byłem naprawdę nudna!”

To, co przeżywała potem, sprowadzało się do całej serii nieudanych, pośpiesznych przygód miłosnych z mężczyznami, których najpierw witała z otwartymi ramionami, by zaraz potem zacząć nimi gardzić.. Sypiała z nimi, usiłując zapomnieć o tamtym, jednak nie potrafiła zastąpić go nikim innym. Niszczyło ją to i wiedziała o tym; ale ponieważ była piękna, wokół niej kręciło się zawsze mnóstwo facetów pragnących ją zdobyć - i pozwalała im na to. Pozwoliła zbyt wielu. W końcu poczuła, że dusi się we własnym życiu, jakby było ono plastikowym workiem na odbierane z pralni ubrania; kiedy oddychała, brakowało jej powietrza.

- Było już tak źle, 'Wyatt, że zdecydowałam się zerwać wszelkie wiążące mnie nici i wyjechać na jakiś czas. Tak znalazłam się w Europie.

- Od kiedy podróżujesz?

- Głupio mi się przyznać, ale od niemal trzech lat. Potrzebowałem dłuższej chwili, żeby uspokoić swoje serce, zanim zadałem następne pytanie.

- Powiedz mi, Emmy, jaka jest ostatnia rzecz, którą zapamiętałaś z Ameryki. Twój ostatni dzień.

- Pamiętam to doskonale. Razem z moim bratem, Billem, jechałam konno. Dlaczego pytasz?

Uśmiechając się, usiłowałem rozpaczliwie wykombinować jakieś logiczne wytłumaczenie dla mojego pytania, lecz nie potrafiłem zebrać myśli. Szczęśliwie zrobiła minę świadczącą o zaniechaniu tego tematu i upiła nieco herbaty z filiżanki.

- Nie jest mi tu dużo lepiej, ale nie mam żadnego powodu, by wracać do Ameryki. Czy to skazuje mnie na wygnanie? Muszę się teraz twardo trzymać.

- A co robiłaś od chwili przyjazdu tutaj?

- Pracuję, kiedy muszę. Nic nadzwyczajnego. Wiesz, jak to jest: przenosisz się z miasta do miasta i nic więcej się nie dzieje, ale w zasadzie czujesz się dobrze. Przez większość czasu trwasz w tym dziwnym stanie umiarkowanego zadowolenia. Przemijasz, nie przeżywając ani zbyt wielu wzlotów, ani upadków. Nie spotyka cię nic naprawdę godnego zapamiętania, lecz nie doświadczasz także niczego złego. Jest znośnie; tak w pół drogi pomiędzy „maszyny stop” a „cała naprzód”.

- Jesteś z kimś teraz?

- Nie, już od dosyć dawna z nikim. Wiesz, co o tym myślę? Że nie zrezygnowałam z mężczyzn, ale nie spotkałam żadnego, z którym chciałabym być. Sądzę, że to uczciwe postawienie sprawy; jestem dosyć zadowolona ze swej samotności.

- Mieszkasz w Wiedniu? Co tutaj robisz?

Przez moment, może jakieś pół sekundy, było dla mnie oczywiste, że nie wie. Jej twarz była pozbawiona wyrazu. Nie wiedziała, bo nie było w niej nic oprócz wspomnień sprzed wypadku i jakichś niewyraźnych cieni.

- Hm, pracuję jako sekretarka w ambasadzie amerykańskiej.

Nie czytałem nigdy *Piekle* Dantego, ale żywo pamiętam, iż przeglądając ilustrowane wydanie książki, natknąłem się na rycinę przedstawiającą dwoje ludzi żeglujących w powietrzu i rozpaczliwie sięgających ku sobie, którzy próbują się dotknąć. Jak pamiętałem, ich grzech polegał na zakazanej miłości za życia; zostali zatem skazani na wieczne potępienie po śmierci - byli dosyć blisko siebie, by się widzieć, czuć swój zapach i słyszeć wzajemnie, ale nigdy nie mogli się połączyć.

Emmy Marhoun była w identycznej sytuacji - z jakichś powodów miała pozostawać tak blisko realnej egzystencji, iż sądziła, że jest żywą istotą. Nigdy więcej nie miała być zdolna do dotknięcia pełni istnienia i poczucia jego pulsu, niemniej rozpoznawała je i pamiętała. Piekło w jej wypadku polegało na tym, iż ocierała się o prawdziwe życie, nie wiedząc o dzielącej ją od niego różnicy.

Czy na tym właśnie zasadza się śmierć? Na niewiedzy? Strayhorn nie mówił nic na ten temat, a Jesse upierał się, by jej nie ufać. Byłem psychicznie zmęczony i przeładowany wrażeniami; nie czułem się na siłach nadal roztrząsać te zawile kwestie. Jeszcze nie wybiło południe, a tymczasem wskrzesiłem zmarłą, spotkałem ją i miałem do niej setki nowych pytań - ale i za mało energii, żeby je zadać. Byłem bliski załamania. Najspokojniej, jak tylko potrafiłem, powiedziałem Emmy, że muszę już iść. Poprosiłem ją, aby zatelefonowała do mnie do hotelu, byśmy mogli się spotkać jeszcze przed moim wyjazdem z Wiednia. Powiedziała, że wyglądam jak wyżęty i żebym się nie przejmował. Już na ulicy pocałowaliśmy się na pożegnanie. Jej policzek w ten letni dzień nie był ani chłodny, ani gorący.

Szczęśliwym trafem w pobliżu był postój taksówek i po kilku minutach znalazłem się w hotelu. Kiedy poprosiłem o klucz od pokoju, recepcjonista wręczył mi kilka pozostawionych dla mnie wiadomości, ale nie zainteresowałem się nimi. Musiałem odpocząć i jeżeli nawet miało to oznaczać kolejne spotkanie z Philipem Strayhornem, to też w porządku. Chociaż w tej chwili zwykły sen był dużo ważniejszy od zadawania pytań.

Biegnę przez most. Znam go, ale nie pamiętam skąd. Jest bardzo długi - ciągnie się prosto jak strzeł, aż po horyzont. Wiem, że nie będę bezpieczny, dopóki nie znajdę się po jego drugiej stronie, ale wilk jest bardzo szybki i dogania mnie. Ten sam zwierz, chodzący za mną przez tyle nocy. Nie ma oczu, lecz jedynie w ich miejscu wielkie iksy podobne do tych, jakie rysuje się, grając w kółko i krzyżyk. W olbrzymim pysku pełnym białych, ostrych zębów porusza się tam i z powrotem giętka, czerwony ozór. Jeśli się nie ślini - chrząka i warczy lub śmieje się niczym hiena, bo jest wciąż bliżej i bliżej. Kiedy mnie złapie, zabije i pożre. Wilk ma na sobie pomarańczowy strój spięty na barkach guzikiem, w związku z czym jedna poła chałata zwisa luźno, podskakując dziko w takt jego susów. Na głowie chwieje mu się czarny cylinder, balansujący w przód i w tył. Za mną pozostają jasne obłoczki kurzu; po tempie ich oddalania się mogę poznać, jak szybko biegnę. I ja, i wilk wydajemy dźwięki rodem z filmów animowanych - słychać piski, dzwonki, zgrzyt hamulców - tyle że dla mnie to nie jest film; to mój rzeczywisty i przerażający świat z czasów, gdy miałem siedem lat i

budziłem się noc w noc przestraszony tym samym snem: o ucieczce przed wilkiem goniącym mnie po nieskończenie długim moście; przy czym zawsze wiedziałem, iż zostanę złapany. Kiedy to następowało, wilk błyskawicznym ruchem wydobywał z jakiejś niezmiernie głębokiej kieszeni kocioł, w jakim ludożercy z dowcipów rysunkowych gotują na ogół swe ofiary, oraz drewniane kłody, po czym rozpałał buzujący ogień i wrzucał mnie do gara, w magiczny sposób wypełnionego już wodą. Zwykle budziłem się skamieniały, gdy zupa, której byłem treścią, zaczynała mnie parzyć. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo się bałem, pomimo że znałem ten sen na pamięć. Tym razem także obudziłem się ogarnięty identycznym przerażeniem, jakie odczuwałem jako chłopiec - skręcone strachem wnętrzności, zaciśnięte palce, a w ustach spuchnięty język. Mężczyzna w średnim wieku mający ponownie siedem lat - oto kim byłem. - To nie jest dokładnie ten sen, który pamiętasz, co? Odwróciłem głowę i ujrzałem Philipa Strayhorna siedzącego w rogu mego łóżka. Dał mi czas na otrząśnięcie się z odrętwienia i wydawał się zadowolony z czekania. Rozejrzałem się bezmyślnie dookoła i w końcu dotarło do mnie, że jestem w pokoju hotelowym w Wiedniu.

- To było tak wyraźne! Pamiętam ten sen. Nigdy o nim nie zapominałem, ale też nigdy nie stanął przede mną równie żywo. To przerażające!

- Nikt naprawdę nie wie, jakie było jego dzieciństwo, tylko tak mu się wydaje.

- Phil, co ty tutaj robisz? - Podniosłem się na łóżku, podpierając się łokciami. - Czy to możliwe, żebyś tu był?

- Nie obawiaj się, to tylko część twojego snu. Ale masz rację: jeżeli chcę, mogę wracać do realnego świata. To nie sztuka. Nikt mnie wówczas nie widzi, z wyjątkiem zmarłych i ciebie.

Opadłem z powrotem na posłanie.

- Nie mogę się pozbyć tego koszmaru. Jest tak niewiarygodnie silny! Nie pamiętam żadnego równie intensywnego doznania. Czy kiedy byliśmy dziećmi, nasze życie było najeżone podobnymi okropieństwami? W jaki sposób przetrwałem, śniąc to co noc?

- Nie przeżyłeś, to tylko dziecko w tobie umarło i stałeś się dorosły. Życie nie polega na uczeniu się, lecz na zapominaniu. Ten sen jest zaledwie małym tego przykładem. Powinieneś o tym wiedzieć.

- À propos zapominania, powiesz mi coś na temat Emmy Marhoun?

Strayhorn otoczył ramionami kolana i odchrząknął.

- Czy to jest już konkretne pytanie, Wyatt? Znasz zasady?

- Znam...

Bywałem wszędzie i widziałem zdumiewające rzeczy - zawsze w towarzystwie Strayhorna. Był moim przewodnikiem i instruktorem. Sądzę, iż pojmowałem jego odpowiedzi. Pojawiał się niezmiernie ucieszony moim widokiem i w nagrodę za moje zrozumienie dawał mi coraz więcej i więcej władzy, możliwości postrzegania oraz wnikania coraz głębiej za zasłonę oddzielającą dwa światy. Nazywał to podarunkami. Czasami czułem się jak cudowne dziecko i byłem pełen nadziei. Czemu inni ludzie mają takie trudności ze zrozumieniem odpowiedzi udzielanych im przez śmierć? Mnie wydawały się one logiczne i zupełnie oczywiste. Nie mogłem rozmawiać o tej nowej wiedzy z Jesse'em Chapmanem ani Ianem McGannem, ale w skrytości ducha zacząłem ich uważać za ciemniaków.

Stan mojego zdrowia ustabilizował się, a oni nie odnieśli żadnych nowych uszczerbków na ciele. Ze Strayhornem u boku stałem się uczestnikiem wojen i wesel. Przenikałem ludzkie umysły z taką łatwością, jakbym zwiedzał muzea. Wniknąłem także we własny umysł - i byłem na przemian zdumiony lub zachwycony: czy to moje życie, czy taki naprawdę jestem?

Prócz tego, że pokazano mi strony życia, o których wiedziałem, że tylko niewielu ich doświadczyło lub widziało, uzyskiwałem wciąż więcej informacji dzięki zadawanym przede mną pytaniom. Rozumiałem i przyswajałem sobie tak wiele, jak tylko mogłem, ale ogarnięcie wszystkiego graniczyło z niepodobieństwem - było tego kurewsko dużo. Przed Sophie i Caitlin udawałem, iż moje zafascynowanie Europą wzrasta, a ponieważ fizycznie czułem się dużo lepiej, postanowiłem zostać tutaj jeszcze jakiś czas. Jesse uspokoił się, usłyszawszy, iż będę w pobliżu, i postanowił wypłacać mi całkiem godziwą pensję. Na duchu podniosło go również to, że Strayhorn stwierdził, iż dobrze będzie, jeżeli Jesse wróci do pracy.

Pewnego wieczoru wyszliśmy z Sophie na kolację tylko we dwoje, a potem spacerowaliśmy się do Volksgarten i usiedliśmy na ławce w ciepłym mroku; rozmawialiśmy bardzo długo. Sophie chciała wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło od czasu naszego przyjazdu. Powiedziałem jej tyle, ile mogłem, ale wkrótce zorientowała się, iż najważniejsze rzeczy zachowałem dla siebie. Jej milczenie przeciągało się znacząco.

- Nie wściekaj się na mnie, Sophie - powiedziałem. - Musisz zrozumieć, że te sprawy dzieją się daleko poza mną, nie zależą ode mnie i wprost przerażeniem napawa mnie fakt, iż mogę powiedzieć lub zrobić coś nie tak, jak trzeba. Znasz mnie przecież i wiesz, że gdybym tylko mógł, wyznałbym ci wszystko.

- Powiedz mi chociaż, czy to dobrze czy źle, że cię w to wciągnęłam, Wyatt. Ciągłe się tym martwię. - Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy.



- Z ręką na sercu: nie wiem jeszcze. Kiedy zachorowałem i po pierwszej chemoterapii nastąpiła u mnie remisja, także byłem przekonany, iż wyzdrowieję. Jednak tak się nie stało.

- Ile królik może uciągnąć? - zapytała Sophie, pochylając ku mnie twarz i spoglądając poważnie.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Córcze moich znajomych, która jest w piątej klasie, zadano opracowanie projektu naukowego. Zbudowała coś w rodzaju wózka, po czym przywiązała to urządzenie do swojego ulubionego królika. Do wagonika dokładała wciąż nowe kamienie i szczypała zwierzątko, by stwierdzić, jaki ciężar zdoła ono uciągnąć. To był właśnie jej projekt. A teraz twój: ile może znieść Wyatt? Nie wiem, co dla ciebie uczyniłam, ani czy w ogóle cokolwiek zrobiłam. Mój brat odnalazł się i jest z nim wszystko w porządku, ale teraz ty tutaj zostajesz, bo i ty masz te sny. Boże, chciałabym, żebyśmy byli z powrotem w Szwajcarii, pragnę znaleźć się znowu na tym wzgórzu, na które wtedy weszliśmy, i widzieć sunących w dół narciarzy... - Sophie ujęła mnie za rękę. - Kocham cię, Wyatt, i chcę, żebyś żył sto lat.

Za życia Strayhorn był facetem, który wszystko wiedział najlepiej; oprócz niego nie znałem nikogo równie otrząskanego. Taki też pozostał po śmierci, ale teraz stał się jednocześnie wspaniałym kompanem. Cudownie niefrasobliwy, był szczęśliwy, mogąc mówić o czymkolwiek. Moje pierwsze wrażenie było takie, że najbardziej lubi kręcić się wokół człowieka i gadać jak najęty. Nie miałem pojęcia, co mnie czeka, ale jego spokój zdawał się wzrastać wraz z tym, jak coraz lepiej rozumiałem jego zawile odpowiedzi. Tymczasem obaj mogliśmy się na razie nie przejmować.

Nie mogłem być w większym błędzie.

Jego nonszalancja uspiła moją czujność do tego stopnia, iż byłem święcie przekonany, że sprawy zmierzają w dobrym kierunku. Okazywana przez niego przyjaźń, „podarunki” oraz dokonywane okresowo cuda nie pozwalały mi dostrzec blichtru i fałszywego blasku w tym, co przeżywałem. Jego kosmiczny talk show spowodował, iż zapomniałem, co jest ważne, lub stępił moją czujność w najistotniejszych kwestiach. Uwiódł mnie swym osobistym czarem, a ja, niczym niewinny, zachłanny dzieciak, zaufałem mu bez reszty.

Zanim się zorientowałem, umarł McGann.

Tę noc spędziłem na Santorynie, dokąd zawiodły mnie moje sny. Podczas zachodu słońca siedzieliśmy z Philem na tarasie restauracji, jedliśmy świeżo usmażoną kałamarnicę i popijaliśmy ją ouzo, zachwyceni oszałamiającym widokiem purpurowiejącego morza; pejzaż był dokładnie taki, jak go sobie zawsze wyobrażałem. Mój przyjaciel opowiedział mi o

znajdującym się na wyspie wulkanie, który wybuchł dawno temu, i o tym, jak to się skończyło dla mieszkańców oraz w jaki sposób oddziaływało to na cały świat przez następne stulecia. Moje sny były teraz tak wszechogarniające, iż mogłem czuć zapach ostrego, wieczornego powietrza i dotyk szorstkiego żwiru pod gołymi stopami. Strayhorn wydawał się równie jak ja zadowolony z tego siedzenia w milczeniu i słuchania dobiegających nas dźwięków - szczęku srebrnych sztućców o talerze oraz smutnego, odległego wołania samotnej mewy szybującej nad morzem.

Kończyliśmy posiłek, kiedy podszedł obsługujący nas kelner i powiedział coś cicho do Strayhorna. Byłem przekonany, iż pyta, który z nas ureguluje rachunek, ale Phil nie odezwał się ani słowem, tylko skinął głową, a kelner odszedł. - Muszę coś załatwić - powiedział Phil, wstając. - Zostań tutaj tak długo, jak będziesz miał ochotę. Wiesz, jak wrócić. Mrugnął do mnie i wyszedł z restauracji. Leniwym ruchem wzniosłem kieliszek w stronę jego oddalających się pleców i zawołałem: - Do widzenia!

Nie wiem, jak długo jeszcze tam byłem. Obudził mnie dzwonek telefonu. Otwierając oczy pośród smolistej czerni pokoju hotelowego, popatrzyłem na jarzącą się zielonkawo tarczę zegarka i powoli dotarło do mnie, że jest trzecia nad ranem. Dzwonił Jesse Chapman. Mówił szybko, piskliwym ze strachu głosem, Ian McGann zmarł pół godziny temu. Jego dziewczyna, Miep, wyszła do łazienki, a kiedy wróciła do łóżka, pochyliła się nad nim, by go pocałować; rękę miał opartą o czoło, a otwarte oczy patrzyły w nicość. Najpierw pomyślała, że się po prostu wyglupia... Zanim zawiadomiła policję, zadzwoniła do Jesse'ego. Nie chciała z nim o tym rozmawiać, pragnęła tylko, żeby wiedział. Gdy zapytał, co zamierza teraz robić, odparła, że położy się obok lana, by się z nim pożegnać, i szybko się rozłączyła.

Jesse telefonował ze swego salonu. Usta osłaniał zwiniętą dłonią, w obawie przed obudzeniem żony. Powtórzył chyba ze trzy razy:

- Powiedziałeś, że wszystko będzie dobrze! Powiedziałeś, że on cię zapewnił, iż nic złego nam się nie stanie!

- Co za różnica: powiedział czy nie? Teraz wszystkie przyrzeczenia straciły ważność. Przecież to ty, Jesse, od początku mówiłeś mi, żebym mu nie ufał. Czemu więc się dziwisz?

- Nie jestem zdumiony! Po prostu nie chcę umierać, durniu!

- Ten dureń także nie chce!

- W takim razie co zrobimy? Możesz znaleźć Strayhorna i pogadać z nim?

- Myślę, że tak. Nie. Nie wiem zresztą. To może wszystko zmienić. Dlaczego on to zrobił? Czy był jakiś powód?

- Powód? Na litość boską, Wyatt! On nie musi mieć żadnego pierdolonego powodu! On jest śmiercią, a ona przychodzi i zabija. Kropka. Mówiłem ci przecież.

W słuchawce usłyszałem odległy kobiecy głos. Jesse zmienił ton, przemawiając czule do Caitlin. Prosił, żeby się nie martwiła, wszystko będzie w porządku. Czekałem w milczeniu, podczas gdy oni rozmawiali ze sobą, a potem Jesse powiedział, iż zadzwoni później i szybko się rozłączył. Odłożyłem słuchawkę i opadłem na poduszkę. Zamykając oczy, poczułem nagle ogromną senność.

Momentalnie poznałem, gdzie się znajduję, chociaż nie widziałem tego pokoju od prawie trzydziestu lat. Była to piwnica w moim kościele, gdzie - z powodu uporu matki - spędziłem kilka lat, chodząc do szkoły niedzielnej. Siedziałem przy okrągłym, domowym stole pomiędzy innymi dzieciakami z mojej klasy. Mimo to nauczycielem nie był ani wściekły pan Crown, ani miła panna Turton tylko Dzieciół Woody. Nieprawdopodobnie wysokim głosem zwrócił się do mnie:

- „A chciałbym już teraz być u was i odmienić głos mój, ponieważ jestem, gdy o was chodzi, w rozterce. Powiedzcie mi wy, którzy jesteście pod zakonem, czy nie słyszycie, co zakon mówi?”

Nic nie odrzekłem, chociaż pamiętałem te słowa doskonale. List św. Pawła do Galatów, rozdział 4, werset 20 i 21. Miałem nauczyć się tego na pamięć, chociaż wówczas lekcję zadała nam panna Turton, a nie ptaszysko z komiksu. Dzieciół zaśmiał się irytująco i kontynuował recytację:

- „Jestem światłością lśniąca ponad wszystkim. Ja jestem wszystkim. Ode mnie wszystko się zaczęło i do mnie powróci”. Dokończ, proszę, ten werset, Wyatt.

Bez chwili wahania uzupełniłem:

- „Odłam gałąź, a ja tam będę. Podnieś kamień, a znajdziesz mnie tam”.

- Bardzo dobrze, Wyatt.

- Dlaczego ukazujesz mi się w takiej postaci, Phil? - zapytałem.

- Powiedziałem ci: „A chciałbym już teraz być u was i odmienić głos mój...”

- Dlaczego zabiłeś McGanna, Phil? Przyrzekłeś, że nic złego mu się nie stanie tak długo, jak długo będę rozumiał twoje odpowiedzi!

- Nie bądź naiwny, kochany. Muszę wykonywać swoją robotę! Czasem mogę odłożyć ją na trochę, i to właśnie dla niego uczyniłem. Żył nieco dłużej i fajnie się przez ten czas bawił. To chyba dobrze, nie? Wolałbyś, żeby rozjechała go ciężarówka? Ten człowiek miał umrzeć już dawno temu, ale pozwoliłem mu, by wraz z ukochaną kobietą zobaczył Wenecję. To był najlepszy okres w jego życiu. Nawet kiedy umierał, to jeszcze mu stał!

Mrugając do mnie, odepchnął się od stołu i przejechał ręką po jaskrawoczerwonym czubie piór na swojej głowie.

- Powiedz mi, Phil, co się właściwie dzieje? Jak to działa?

- Czy to formalne pytanie?

- Jak cholera! Tylko odpowiedz.

- W porządku. To bardzo proste. Mam swoje obowiązki i wcześniej czy później wykonuję je wobec każdego. Do mnie należy decyzja, jak to się odbywa. Oczywiście, są ludzie, których lubię, i tacy, co budzą moją niechęć. Tym pierwszym staram się stworzyć takie warunki, by umierali łatwo i godnie. Pozwalam odejść im we śnie w wieku osiemdziesięciu lat albo zsyłam na nich atak serca, gdy grają w tenisa, tak że nawet nie zdążą się zorientować, co się stało. Tak to mniej więcej wygląda. Ci, których nie lubię, cierpią. Tym gorzej dla nich. Lubię ciebie. Lubiłem też McGanna, ponieważ okazał prawdziwą odwagę. Nawet Jesse jest w porządku, pod warunkiem że nie zgrywa się na nadętego osła. Uda mu się pożyć jeszcze jakiś czas.

- Mówiłeś to już wcześniej, a McGann nie żyje!

- Ale czy dzięki temu kłamstwu nie byłeś szczęśliwszy? Jesteś pewny, że chcesz znać prawdę? Wątpię.

- I to wszystko? Do tego się to sprowadza? Dzieci wypadają z okien albo głodują w Somalii tylko dlatego, że ich nie lubisz? Nie wierzę w to! Co one w ogóle zrobiły? Nie miały nawet szansy pożyć! Jak mogłeś im to zrobić?

- Po prostu zrobiłem. To całkiem łatwe.

- A porządni ludzie umierają w nędzy i bólu, ponieważ ich nie lubisz? A co z tym całym dobrem, które uczynili w życiu?

- Ty i ja, Wyatt, mamy różne powody, żeby kogoś lubić lub nie. I zmień ton; nie przywykłem do wysłuchiwania pouczeń!

- Kim jesteś? Wyglądasz jak Strayhorn dlatego, że łatwiej mi to zrozumieć? Czy tak?

- Masz rację. Byłem już... niech się zastanowie... - Krzyżując ramiona, oparł jeden palec na czubku swego dzioba i w zamyśleniu zapatrzył się w sufit. - Byłem Humbaba Grendelem, starym winem, chłodnią, gliniarzem w sklepie z maskami... czym tylko chcesz. Wszystkim, co będziesz w stanie pojąć.

- Jesteś szatanem?

- Ależ skąd! On nie istnieje. Jest tylko życie i śmierć to jest tak proste, że nikt nie chce w to uwierzyć.

- Ale istnieje jeszcze Bóg! Nie mów, że Go nie ma!

Otworzył dziób, by coś powiedzieć, ale zrezygnował i uśmiechnął się tylko.

- Gwarantuję ci, że tej jednej odpowiedzi nie zrozumiałbyś, ale zaoszczędzę ci strachu.

Wierz, w co chcesz.

## Arlen

Pokochałam nagrywanie tych kaset dla ciebie, Rose. Mam nadzieję, że to cię nie nudzi. Dałabym wiele, żeby móc powiedzieć ci to wszystko osobiście, ale skoro nie ma innego sposobu, stawiam nagranie jako drugie w kolejności - po rozmowie twarzą w twarz.

Następne trzy dni spędziłam na opiekowaniu się Lelandem - na tyle, na ile mi pozwalał - oraz na pokazywaniu mu moich ulubionych zakątków Wiednia. W przeciwieństwie do Paryża czy Wenecji Wiedeń nie uchodzi za miasto kochanków. Jest na to zbyt stateczny, zbyt oficjalny i nie ma w nim pasji ani spontaniczności. Nic z tych rzeczy. Według mnie jego wielkość polega na dostojności i pięknie. Podobnie jak o starym polityku, mężu stanu, który przeżył długie i bogate życie, o tożsamości miasta stanowi jego historia; i właśnie Wiedeń zachowuje się niczym nobliwy dżentelmen - rozsiadłszy się w swych doskonale utrzymanych parkach oraz ogrodach, przez resztę swych dni kontentuje się wspomnieniami. Odwiedzaliśmy muzea i miejsca, które zwykle nachodzą turyści, ale większość czasu spędzaliśmy na spacerach po Ringstrasse i Praterze lub w cieniu Wienerwaldu. Byłam zdumiona tym, jak wiele Leland wie o Wiedniu - dużo więcej niż ja. W domu Freuda wdał się w długą dyskusję z jednym z oprowadzających na temat Anny Freud i Ernesta Jonesa, a zaraz potem, kilka bram dalej, zatrzymał się, by wskazać kościół, w którym odbyły się uroczystości pogrzebowe Beethovena. Stojąc przed budynkiem, opisał pochówek tak dokładnie i obrazowo, iż słuchając go, byłam tym zupełnie pochłonięta. Czułam się, jakbym przebywała w towarzystwie znawcy życia genialnego kompozytora i historyka sztuki w jednej osobie. Nie wiem, jak to jest z tobą, kochana, ale dla mnie najbardziej seksownym na świecie facetem jest erudyta na dodatek bez śladu pozerstwa. Jeżeli chodzi o Lelanda, to jego wiedza wydaje się czystym entuzjazmem. Spójrz tylko na nas, Rose! Czy możesz odgadnąć, co się z nami dzieje? Dasz wiarę, że z otwartymi ustami depczę mu po piętach i czuję się szczęśliwa, chodząc za nim krok w krok?

Od czasu do czasu robiliśmy przystanki, kiedy mój cicerone czuł się zmęczony lub doskwierała mu rana, ale nawet wówczas była to duchowa uczta, ponieważ raczył mnie opowieściami ze swego życia. Nie miałam ich dosyć. Czy wiedziałas o tym, że Chińczycy jedzą więcej arbuźów niż jakakolwiek inna nacja i uwielbiają je do tego stopnia, iż wystawili arbuźom muzeum? Albo że Ceausescu woził swego psa w specjalnej, osobnej limuzynie? Byłam pod absolutnym urokiem tych historii i pragnęłam, by posiłek, spacer lub dzień nigdy się nie skończyły. Jak się pewnie domyślasz, moje ciepłe uczucia do Lelanda przybierały na sile. Nawet jego miła, zwykła twarz nabierała stopniowo rysów Garry'ego Coopera!

Pragnęłam go i chciałam mu to powiedzieć. Nie były potrzebne żadne więzy ani zobowiązania - po prostu miałam ochotę spędzić z nim noc i zobaczyć, jakim okaże się kochankiem. Jeżeli to, co przeżyję, będzie przypominać moje dzienne zauroczenie Lelandem, to w porządku, jestem jego.

Tyle że on nie wykonał żadnego ruchu w tym kierunku, zupełnie nic, choćby przez ułamek sekundy. Nawet nie dotknął w roztargnieniu mego ramienia ani włosów czy dłoni, kiedy podkreślał w rozmowie coś znaczącego. Bóg mi świadkiem, że pragnęłam tego i zaczęłam podejrzewać, że coś z nim jest nie w porządku, nie zrobił bowiem nic, co by wskazywało, iż jest mną choćby w najmniejszym stopniu zainteresowany. Żadnego ukradkowego spojrzenia na mój biust, żadnego przypadkowego oparcia się czy otarcia, szczególnie że było wiele okazji po temu. W końcu to ja spróbowałam natrzeć na niego podczas jazdy ruchomymi schodami, ale kiedy się przysunęłam, Leland odstał nieco w tył. Zaczęło mnie to frustrować do tego stopnia, że złapałam się na myśli: „Hej, stary, co z tobą? Jestem Arlen Ford, olśniewająca gwiazda filmowa, czyżbym w ogóle cię nie pociągała?” A może jest pedałem? Ta ponura myśl wynurzyła się i towarzyszyła mi przez cały dzień, dopóki nie zrobił jakiegokolwiek uwagi na temat kobiety, z którą miał romans przed laty. Szczęśliwie nie patrzył wówczas w moją stronę, bo kiedy to usłyszałam, twarz zajaśniała mi radością niczym brylant. Skoro wyłożył karty na stół, poszłam za ciosem i zapytałam, czy teraz jest z kimś związany. Odparł, iż był do niedawna, ale to skończone.

Weszliśmy do kasyna na Kärntnerstrasse, gdzie Leland wygrał tysiąc szylingów. Kiedy znowu znaleźliśmy się na ulicy, grała tam naprawdę dobra południowoamerykańska kapela; stanęliśmy i słuchaliśmy przez chwilę, po czym Leland podszedł i całą wygraną wrzucił do otwartego w tym celu pudła po gitarze. Skutek był taki, że chłopcy zaczęli grać jak combo szaleńców, którzy na dodatek przedawkowali deksedrynę.

Gdziekolwiek byliśmy, wszędzie robił zdjęcia. Obiektem wielu z nich był po prostu Wiedeń, ale na większości znajdowałam się ja. Nie przeszkadzało mi to. Tymczasem Leland był moim przyjacielem i oczekiwałam, iż zobaczę je po wywołaniu. Kiedy łaziliśmy po mieście, miał ze sobą dwa małe aparaty w kieszeniach na piersi - jeden załadowany filmem czarno - białym, a drugi kolorowym. Po wyjściu z kasyna poszliśmy do „Café Hawelka” zobaczyć, jak tam jest późnym wieczorem. Kiedy już z papierosami w dłoniach zasiedliśmy nad kawą, zapytał, dlaczego tak naprawdę rzuciłam karierę filmową i opuściłam Hollywood. Powiedział, iż czytał o tym oczywiście, także wywiady ze mną, ale dziwi się, ponieważ niewielu ludzi potrafi zdobyć się na tak drastyczną zmianę w życiu - szczególnie, kiedy odnoszą sukces i mają dalsze propozycje.

Odparłam, iż wycofałam się z dwóch powodów. Po pierwsze, pewnego dnia obudziłam się z niesmakiem w ustach i z obcym facetem u boku. Gdyby moja kariera rozwijała się lepiej, to wszystko wydawałoby się w miarę znośne; pomyślałabym: „Do diabła, mam teraz złą passę, ale widać przynajmniej światełko w tym tunelu”. Po drugie, co było, daleko istotniejsze - próbowałam ci to niejednokrotnie wytłumaczyć, Rose, ale dopiero teraz, przy Lelandzie, udało mi się znaleźć odpowiednie słowa - stwierdziłam oto, iż należę do tych osób, które wcześniej i szybko osiągają szczyt, by potem równie błyskawicznie z niego spaść.

Ty wiesz najlepiej, kochana, jaka byłam nieznośna i w jakim pomieszczeniu oraz napięciu nerwowym żyłam cały czas, zanim odeszłam z filmu! Sądzę, iż było to wynikiem nie uświadomionego do końca przekonania, że nie mam możliwości, by zostać naprawdę dobrą aktorką. Najlepsze role miałam już za sobą i gdybym została w zawodzie, tylko powielalabym się w nieskończoność.

Leland czytał recenzję z pewnej najnowszej sztuki znanego dramaturga. Krytyk stwierdził, iż tekst jest zupełnie grafomański i że autor powinien był przestać pisać dwadzieścia lat wcześniej - po kilku poprzednich niepowodzeniach, które winny były mu uzmysłowić, że nie ma w sobie dosyć twórczej magii, by napisać wielki dramat. Gdyby porzucił pióro, pozostałby w pamięci teatromanów jako autor arcydzieł, a nie tej żenującej ramoty, którą później popełnił. Powinien był odejść.

Dokładnie tak! Tak samo stało się ze mną, powiedziałam. W głębi ducha byłam przekonana, że szczytowe osiągnięcia są już za mną. Może byłam wystarczająco dobra do... Może w efekcie czekałaby mnie jakaś mydlana opera produkująca setki twarzy typu Joan Collins, wypowiadających głupawe dialogi, jednak nie chciałam skończyć w ten sposób. Ostatni film sprawił, iż musiałam zbyt głęboko sięgnąć do swego wnętrza, by wydobyć stamtąd potrzebne środki wyrazu. To było bardzo brutalne, Rose, doświadczenie dużo cięższe niż jakiegokolwiek inne. Weber, jako reżyser, ogromnie mi pomagał, ale i tak każdego dnia po pracy byłam zupełnie wyczerpana, czułam się wyżęta do ostatniej kropli. Kropli talentu, Rose. Kiedy film został ukończony, w moim zbiorniku nie pozostała już ani jedna kropelka. Czy mi się to podobało czy nie, jako aktorka byłam skończona. Koniec kariery - pozostali mi forsiaści faceci i dom, do którego nie miałam ochoty wracać, bo nie znajdowałam w nim niczego, czego bym pragnęła... To dlatego przyjechałam tutaj. Wiedeń jest jedną z niewielu rzeczy, które naprawdę kocham.

W trakcie naszej rozmowy w kawiarni pojawiła się ognista brunetka, przywodząca niebezpieczne skojarzenia ze stumegatonową bombą atomową i zmierzająca prosto do naszego stolika, tak jak to potrafią tylko kobiety skończenie wspaniałe - z wypiętymi cyckami



i zadartą głową, a na jej twarzy malował się uśmiech mówiący: „Oczywiście, wszyscy patrzą tylko na mnie”. Zobaczyłam ją wcześniej niż Leland i patrzyłam, jak lawiruje w naszą stronę pomiędzy gęsto ustawionymi krzesłami. Im bliżej podchodziła, tym bardziej wydawała się szczęśliwa; i nie było w tym żadnego udawania czy gry na pokaz. - Leland! - zawołała.

Spojrzał na nią, ale nie był poruszony jej widokiem, i zamiast paść jej plackiem do stóp, uśmiechnął się tylko i pozostał na miejscu. Nie próbował nawet podnieść się z krzesła, podczas kiedy ona czekała po drugiej stronie stolika, najoczywiściej umierając z ochoty uściśnięcia go. - Cześć, Emmy. Emmy Marhoun, a to jest Arlen Ford. To ją powstrzymało. Dopiero teraz mnie zauważyła, a w jej oczach ukazał się ponury blask zrozumienia. Także uprzejmy chłód w głosie Lelanda dawał dużo do myślenia. Jej reakcja była niezmiernie dziwna - niemal skurczyła się w sobie, ale podjęła jeszcze jedną próbę. - Och, Leland, ile to już lat! Co porabiasz? Chciała z nim porozmawiać, lecz on najwyraźniej nie miał na to najmniejszej ochoty. Starał się być miły i uprzejmy, ale nie powiedział ani jednego słowa, którego mogłaby się uchwycić. Wydawał się szklaną górą, na którą ona rozpaczliwie usiłowała się wspiąć, nie znajdując jednak stosownego oparcia dla rąk i nóg. Kiedy zrozumiałam, co się święci, usiadłam wygodniej, żeby obejrzeć ten pokaz. Jej wzrok skakał pomiędzy mną a nim. Po kilku żenujących próbach wciągnięcia go w rozmowę zaczęła zwracać się wprost do mnie, jakby przez to chciała zyskać jego zainteresowanie.

Próżna nadzieja, Emmy. Bawiła w Wiedniu w interesach. A jak długo będzie tu Leland? Czy mogliby się umówić na drinka?... To było już tak dawno temu. To cudowne, znowu go spotkać... Im bardziej on wydawał się wobec niej oziębły, tym bardziej zdesperowana stawała się ona.

W końcu pojęła, że poza tym przypadkowym spotkaniem na nic innego nie może liczyć i że nawet ona, Panna Zachwycająca, musi skapitulować - nie miała szans na to, by dostać od niego to, czego chciała. Odplynęła z wielką gracją i przepadła niczym trąba powietrzna; tajfun Emmy. W jej gestach można było jednak poznać jakąś żalną nie - szczerość, a pewien rodzaj bólu pobrzmiewającego w jej głosie i drzemiącego w oczach mówił, że jest nieszczęśliwa. Zapytałam Lelanda, kto to. Odparł, że przed kilku laty szalał za nią. Sądził, że ona także go kocha, ale to nie była prawda. Zdaje się, iż miała jeszcze inne sercowe sprawy, którym oddawała się z równym zapałem. Dodał, iż największa ironia tkwi w tym, że w tydzień po ich rozstaniu uratował jej życie, czego mu nigdy nie wybaczyła. Nie chciał mi tego wytłumaczyć.

- Wiesz, Leland - powiedziałam, potrząsając głową - po tych dniach spędzonych z tobą zaczynam uważać, iż w porównaniu z twoim życiem swoje strawiłam na szkiełku mikroskopu. Powiedz, czego nie robiłeś?

Odpowiedź nastąpiła bardzo szybko.

- Nigdy nie miałem dziecka ani nie napisałem książki. Nigdy tak naprawdę nie zatraciłem się w miłości. Nigdy nie nauczyłem się siedzieć i milczeć. Przeraza mnie to, że mogę skończyć jak jeden z tych starych facetów, którzy muszą mieć ogród lub psa, by kimś rządzić. Boję się, że nic nie pozostanie z mojej ziemskiej egzystencji. Dlatego zazdroszczę ci, Arlen, życia, jakie wybrałaś i prowadzisz teraz. Twoje poprzednie wcielenie było takie, jakie moje jest nadal. Szaleńcze pogonie dookoła świata, nic rzeczywistego. Ty to powstrzymałaś, odrzuciłaś od siebie. Masz wiele zalet, które chciałbym posiadać.

Nie mogłam uwierzyć, że mówi to tuż po tym, jak opowiedziałam mu, jakim bagnem było moje życie. Nie wiem także, co robię ze swoim losem obecnie; przypomina mi on instrument, na którym nauczyłam się, co prawda, całkiem dobrze grać, ale nawet nie wiem, czy go poprawnie trzymam.

- Wielu ludzi odkłada podobną decyzję do czasu, aż fortuna ich opuści. Najpierw pustoszą swoje szczęśliwe chwile, a potem, na opadającej stromo drodze, usiłują ku nim zawrócić. Mają przed sobą więcej dni niż powodzenia” - powiedział Leland.

Był to cytat z Graciana y Moralesa; a zaraz po nim przytoczył następny.

- „Są dwa rodzaje ludzi biegłych w przewidywaniu niebezpieczeństwa: ci, co nauczyli się czegoś na własnych błędach, oraz mędrcy, którzy wiele uczą się na błędach innych”.

Cała zgiełkliwa kawiarniana krzątanka zdawała się odpływać gdzieś daleko; oboje spoglądaliśmy na siebie ze smutkiem. Leland zatonął myślami we Własnym chaosie, a ja obawiałam się, że i mój powróci, gdy tylko on wyjedzie z Wiednia. Wzięłam więc głęboki oddech i po prostu powiedziałam mu:

- Wiesz, czego pragnę najbardziej na świecie? Wrócić do domu i kochać się z tobą.

Jego wzrok uciekł w przestrzeń i serce we mnie zamarło. Potem spojrzał na mnie.

- Nie mogę - powiedział. - Jestem nosicielem HIV

Chwyciłam jego dłoń i ścisnęłam z całej siły. Wyrwał mi ją; i to był nasz pierwszy fizyczny kontakt.

- Wykryto to u mnie podczas mojego poprzedniego pobytu w Wiedniu. To dlatego tu wróciłem. Mam ten kaszel, którego nie można się pozbyć, i zaczynam tracić na wadze... Chcesz teraz odejść?

Jezu Chryste, Rose, czy potrafisz sobie wyobrazić, jak się wtedy czułam?! Zostawiłam pieniądze na stoliku i ruszyliśmy do wyjścia. Szłam przed nim, nie zwracając uwagi na nic oprócz drzwi. Przeszłam przez nie i przytrzymałam je dla niego. Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, stanęliśmy nagle i spojrzeliśmy na siebie.

- Kiedy wychodziliśmy, troje ludzi wyszeptało twoje nazwisko; poznali cię - powiedział, dotykając mego ramienia.

Potrząsnęłam głową i zaczęłam krzyczeć. A potem objęłam go i rozszlochałam się. Poklepał mnie po plecach jakby uspokajająco, a potem sam zaczął płakać.

- Miałem ci nigdy tego nie mówić - odezwał się. - Przyrzekłem sobie, że jeżeli znowu kiedyś cię ujrzę, nie przyznam się do choroby. Potem zostałem ranny i przeraziłem się. Jestem naprawdę przerażony.

Nawet mówiąc ci to teraz, Rose, czuję się, jakbym miała kamień w brzuchu. To było takie straszne. Takie okropne!

Wróciłam z nim do domu i rozmawialiśmy jeszcze przez kilka godzin. Wreszcie poczuliśmy się zmęczeni i zapadła głęboka cisza. Później Leland powiedział, że chce wrócić do gospody. Prosiłam go, by został na noc - mógłby spać w salonie, w pokoju gościnnym lub w mojej sypialni - ale nie zgodził się. Nie miałam prawa nalegać, więc obudziliśmy Minnie i przespacerowaliśmy się w ciszy pół mili w dół, do zajazdu. Podaliśmy sobie ręce, ale to ja ścisnęłam jego dłoń, która spoczywała w mojej zupełnie bezwładnie. Nie chciałam jej wypuścić. Kiedy tak staliśmy, uwolnił swoją dłoń, podniósł moją do ust i pocałował dzielące nas powietrze. Podziękował mi za to, jaka dla niego byłam. Łzy same popłynęły mi z oczu. Nie było nic więcej do dodania, zatem łamiącym się głosem zapytałam, co chciałby jutro na śniadanie. Usiłował się uśmiechnąć, ale mu to nie wyszło.

- Jajka na bekonie, jeśli można - powiedział i ruszył w stronę drzwi, ale odwrócił się jeszcze i dodał cicho: - Umyj ręce, gdy tylko przyjdiesz do domu. Nie wiem wiele o tej chorobie, więc lepiej dmuchać na zimne. Wróciwszy do siebie, usiadłam na progu i podczas gdy Minnie niuchała wokół, zapatrzyłam się w gwiazdy. Przypomniała mi się historia, którą opowiadał Leland. Poruszyła we mnie jakąś strunę, dającą mi poczucie nadziei i możliwości.

Wraz z całą grupą innych dziennikarzy znalazł się w Rumunii mniej więcej rok przed upadkiem Ceausescu. Warunki życia były okropne i niepodobna było otrzymać przyzwoity posiłek nawet w tych spośród bukareszteńskich restauracji, które uznawano za najlepsze. Któryś z dziennikarzy dowiedział się jednak o pewnym miejscu, gdzie warto było pójść, by coś zjeść. Wybrali się więc tam całą ferajną. Omal zaniemówili z wrażenia, kiedy zobaczyli

menu - między innymi najbardziej wyszukane dania francuskiej kuchni: ślimaki i białe trufle, a karta win mogła zdumieć najwytrawniejszego znawcę. Niezwykle miejsce! Czyżby znaleźli się nagle po drugiej stronie tęczy? Jakkolwiek było, najpierw nasycili oczy i podelektowali się lekturą jadłospisu, a potem bardzo uważnie dokonali wyboru i złożyli zamówienie. Kelner przyjął je, skinął głową i zniknął. Byli jedynymi gośćmi w tym lokalu, ale nie dziwiło ich to zbyt, sądzą bowiem, iż jest stanowczo za drogi, jak na kieszeń przeciętnego Rumuna. Minęła godzina, podczas której ani jedno spośród zamówionych dań nie pojawiło się na stole. Również kelner zniknął, nabrali więc pewnych podejrzeń. W końcu pojawił się ponownie, bardzo zatroskany, i oświadczył, iż niestety zamówione przez nich potrawy są dzisiaj wieczoru nieosiągalne. Czy zatem życzą sobie czegoś innego? Podał im karty dań i znowu spędzili nad nimi cudowne chwile, dokonując smakowitych wyborów. Przeszła kolejna godzina podobna do poprzedniej - nic do jedzenia i ani śladu kelnera. Kiedy się zjawił, znów było mu bardzo przykro, ale i te smakołyki nie były dostępne. Oburzeni zapytali go, co jest osiągalne. Odpowiedział, że jedynie wieprzowina. Wieprzowina? I to wszystko? Dokładnie tak. Dlaczego zatem nie powiedział tego dwie godziny wcześniej i nie oszczędził im czekania, zamiast pozwolić, by ślina ciekła im z ust nad fikcyjnymi jadłospisami? Po wielu chrząknięciach mężczyzna przyznał się, iż jest jednocześnie kelnerem i kucharzem. Tak naprawdę, również właścicielem restauracji. Kiedy tylko klient składa zamówienie, on sam wybiega kuchennymi drzwiami do miasta w poszukiwaniu niezbędnych ingrediencji. Istotnie, mógłby przygotować każde danie z karty, ale pod warunkiem, że potrzebne produkty mógłby kupić na rynku. Zwykle, oczywiście, żadnego z tych smakołyków nie można było przyrządzić w owym wygłodzonym mieście. Tak więc każdej nocy wracał do domu z pustymi rękami, a na dodatek musiał się nieźle nagimnastykować przed klientami, by im w jak najdelikatniejszej formie powiedzieć, że zamówione dania są „nieosiągalne”! Czy zatem może jeszcze czymś służyć?

Powiedziałam Lelandowi, iż zawsze byłam skłonna uważać, że dobra opowieść jest lepsza od wielu naprawdę przeżytych chwil; ciekawe historie opowiada się ciągle od nowa, podczas gdy okresy spokoju mają to do siebie, iż się o nich zapomina. Gdy zapytałam, czy wieprzowina, którą wreszcie dostali, była smaczna, odparł, że wręcz wspaniała. Kiedy tej nocy i przez następne dni myślałam o tym wszystkim, co się stało, miały mną różne uczucia, ale na końcu zawsze wracała do mnie ta opowieść. Zdawało się, że morał brzmiał tak: spójrzcie, nie mamy, co prawda, ślimaków, ale jest wieprzowina, więc przyrządzmy to cholerstwo najlepiej, jak się tylko da! Nie potrafiłam określić, czy niechęć kelnera do przyznania się od razu do pustej kuchni była usprawiedliwiona czy nie - na początku

wszystko wyglądało uczciwie i optymistycznie, lecz było coś złośliwego w trzymaniu ludzi w nadziei, by później, po całych godzinach oczekiwania, zaserwować im zwykłą wieprzowinę. I to nie w jeden pechowy wieczór, ale codziennie. I co z tego, że mamy jedynie wieprzowinę? Jeżeli to wszystko, czym dysponujemy, to przyznajmy się do tego i zaczarujmy ją. Niech to będzie najlepszy schab, jaki kiedykolwiek przyrządzono.

Jeśli chodzi o zdrowie Lelanda, to żył teraz w swojej własnej Rumunii, ale to nie powinno nas powstrzymywać. Postanowiłam pójść do niego z samego rana i powiedzieć, że jeżeli tylko będziemy postępować we właściwy sposób, wszystko między nami się ułoży. Prosto i zwyczajnie. Poproszę go, żeby został ze mną tak długo, jak będzie miał na to ochotę. Jeżeli AIDS rozwinie się, będę się nim opiekować najlepiej, jak umiem. To wspaniały, odważny człowiek; będzie dla mnie zaszczytem stać się jego przyjacielem i podporą.

Usiadłam przy biurku i spędziłam mnóstwo czasu, zestawiając listę tego, co powinnam zrobić, pytań, które muszę zadać, ludzi, do których trzeba zadzwonić lub spotkać się z nimi. Prawie nic nie wiedziałam o AIDS ani o HIV. Jak on się tym zaraził? Jest biseksualistą? Brał narkotyki? Czy zresztą miało znaczenie jak? Był chory i jakoś trzeba było sobie z tym poradzić. Po prostu - tylko „wieprzowina”.

Następnego ranka wstałam bardzo wcześnie, mimo że późno położyłam się spać. Gdy tylko otworzyłam oczy, byłam gotowa zerwać się na równe nogi, wziąć Minnie na spacer i przyrządzić jajka na bekonie, tak by wszystko było gotowe, kiedy on stanie w drzwiach. Jak to zrobić, by go nie urazić czymś, co mógłby sobie poczytać za współczucie lub wtrącanie się w jego sprawy? Co powinnam zrobić, jeżeli nie zgodzi się na mój plan? Nie było sensu się nad tym zastanawiać. Trzeba zdobyć książki oraz informacje o ludziach mieszkających wspólnie z chorymi na AIDS. Ale on jeszcze nie choruje! Nawet nie myśl o tym! Są tysiące rzeczy, do których może dojść tylko dlatego, że człowiek intensywnie zastanawia się nad nimi - i w końcu zdarzają się. Najgorszym sposobem jest rozmyślanie o nich. Niedawno czytałam artykuł, w którym jakiś wirusolog dowodził, iż jest przekonany, że nie ma bezpośredniego związku pomiędzy tymi, którzy są nosicielami HW, a chorymi z pełnym zespołem objawów AIDS. Siedząc przy kawie nad gazetami, znalazłam jakiś tekst, który na chwilę przyciągnął moją uwagę, ale zaraz odwróciłam stronicę. W tym momencie szukałam najważniejszego artykułu na świecie. Gdzie ja to widziałam? Jak się nazywał ten naukowiec?

Biegałam po domu, usiłując robić sto rzeczy naraz i starając się wyobrazić sobie, co mogłabym uczynić ja, Arlen Ford, a co jest w rękach bogów. Bogów? Boga? Nie czas zastanawiać się teraz nad tym, Boże. Później będzie ku temu jeszcze dosyć okazji. Kiedy ta

myśl przebiegła mi przez głowę, podniosłam rękę jak uczennica, prosząc Go o cierpliwość i wyrozumiałość.

Czekałam w nerwach dwie godziny i zaczęłam się w końcu martwić. Gdzie on się podział? Dlaczego nie przyszedł albo chociaż nie zadzwonił? Z drugiej strony powinnam wszak pozwolić mu żyć i postępować tak, jak ma na to ochotę; według jego własnego planu. A może sądzi, iż nie może pokazać mi się na oczy po zwierzeniach ostatniej nocy? Źle, Arlen, nie myśl tak to jego decyzja.

Czekałam i przemawiałam do siebie, żeby to jakoś wytrzymać. Potem poderwałam ponownie Minnie i mając nadzieję, iż spotkam go po drodze, pognałam w dół do hoteliku, jakby się za mną paliło. Kiedy już dotarłam na miejsce, stanęłam na kilka minut, by się zastanowić, co począć. Wreszcie zdecydowałam się wejść do środka, lecz po to tylko, by dowiedzieć się, że „dżentelmen” zwolnił wcześniej pokój i wyjechał, nie zostawiając żadnej wiadomości.

Wróciłam do domu i usiadłam ciężko jak kamień. W głowie miałam zupełną pustkę, ale od czasu do czasu jakiś głos we mnie domagał się: „Zrób coś! Wstań i znajdź go!” Wstyd, zażenowanie oraz pewność, że nikt nie pomoże w nieszczęściu. I ciągle ta sama myśl: dlaczego przed wy - jazem nie powiedział słowa? Czyż ostatniej nocy nie byłam mu dosyć życzliwa? Z dziesięć razy przebiegłam wspomnienie naszej rozmowy, ale nie znalazłam nic niewłaściwego. Kiedy moja rozpacz sięgnęła zenitu, zadzwonił telefon.

- Jestem na lotnisku - powiedział. - Wracam do Jugosławii. Dzięki za wszystko...

Prosiłam, żeby porozmawiał ze mną choć kilka minut, ale nie chciał. Przeżywał zbyt wiele rzeczy jednocześnie. Poprosił o trochę czasu do namysłu i obiecał, iż będzie ze mną w kontakcie.

Wzięłam głęboki oddech i zamknęłam oczy.

„Nie masz racji!” - chciałam wrzasnąć, lecz nie wydobyłam z siebie nic oprócz prośby, by do mnie zadzwonił. By wrócił, kiedykolwiek zechce, bo ja będę czekała. Zawsze.

Przepraszam, Rose, muszę przerwać. Myślę, że mnie rozumiesz.

Pracowałam w ogrodzie, spacerowałam z psem, a telewizor miałam cały czas nastawiony na CNN - dzień i noc. Nie pamiętam wielu szczegółów z tamtego okresu z wyjątkiem tego, co sama robiłam, starając oddać się wszelkim działaniom w takim stanie koncentracji, by nie myśleć o milczącym telefonie i przerażających wiadomościach z frontu w Jugosławii. Wiedziałam, że jest tam i z pewnością boi się, iż może zostać zabity. Albo właśnie stara się wystawiać na strzały, by nie umierać tą upiorną, powolną śmiercią, której na imię AIDS.

Codziennie jeździłam do szpitala dziecięcego i poświęcałam temu zajęciu więcej czasu niż dotychczas. Pamiętałam ciągle tamtą kobietę, która padła na kolana przed szpitalem, krzycząc, że to nie jest w porządku. Jednego wieczoru dojrzałam w światłach reflektorów przebiegającego drogę jeża i natychmiast uznałam to za dobry znak. Pragnęłam zadzwonić do Lelanda i powiedzieć mu tylko jedno krótkie zdanie: „Widziałam języka i wiem, że to dobra wróżba”. I wtedy, w tej jednej z nielicznych szczęśliwych chwil, które przeżyłam, odkąd wyjechałam, zrozumiałam, iż mogę zatelefonować do Londynu i zostawić tę wiadomość na jego automatycznej sekretarce. Pomysł wydał mi się tak ekscytujący, że większą część poranka spędziłam na kolanach w ogródku, kopiąc, pieląc i obmyślając dokładnie, co powinnam powiedzieć, jeżeli tylko zdobędę się na dosyć odwagi, by zrealizować ten zamysł. Zastanawiałam się, ile może pomieścić taśma, a w związku z tym, ile razy będę mogła zostawiać swoje przesłania, zanim wypełni się do końca. Drobiazgi: małe jeże i automatyczne sekretarki były w tych dniach blaskami nadziei na moim zachmurzonym horyzoncie.

W Sarajewie było coraz gorzej, umierało tysiące ludzi. Znajdowałam się zawsze w odległości kilku stóp od telewizora na wypadek, gdybym mogła w nim ujrzeć Lelanda lub dowiedzieć się czegoś, co miałyby z nim jakikolwiek związek. Kupiłam mapę Jugosławii i studiowałam ją zapałem, ćwicząc wymowę trudnych nazw miast. Gdzie mógł być dzisiaj? Trebinje? Donji Vakuf? Pljevlja?

Któregoś dnia zadzwoniliście do mnie oboje z Rolandem i pierwszy raz poczułam się rozczarowana, słysząc twój głos w słuchawce. Chciałam się rozłączyć, żeby linia była wolna na wypadek, gdyby Leland miał właśnie zadzwonić. To, o czym wtedy mówiłyśmy, sprawiało na mnie wrażenie szumu informacyjnego, choć w innym czasie cieszyłabym się z naszej rozmowy. Nagle, zaraz po odłożeniu słuchawki, telefon zadzwonił ponownie i teraz to był on! Przebywał w Sarajewie, warunki były rozpaczliwe, ale odezwał się, by mnie uspokoić, że z nim wszystko jest w porządku i ciągle myśli o naszych sprawach. Przede wszystkim. Bez obaw.

Nie martwić się? Czy on zwariował? Jednak możesz być ze mnie dumna, powstrzymałam język na wodzy i nie starałam się nalegać, żeby wrócił, ani nie pytałam, co dokładnie o nas myśli. Potraktowałam go... jak jeża, który ma naturalne prawo zwinąć się w kulkę. Byłam tak szczęśliwa, słysząc jego głos, że pozwoliłam mu mówić, a sama zadawałam pytania tylko po to, by opowiadał dalej i nie kończył rozmowy. Kiedy się rozłączył, odłożyłam słuchawkę na widełki, ale nie wypuszczałam jej z dłoni, jakbym mogła w ten sposób poczuć jeszcze echo jego słów.

Tej właśnie nocy telewizja nadała Stojąc na gfwie dziecka. Obejrzałam go, ponieważ do tej pory nie widziałam żadnego z moich filmów w niemieckiej wersji językowej. Głos kobiety, którą wybrano do dubbingowania mojej roli, był niezwykle podobny do mojego, co sprawiło, że siedziałam w fotelu jak zaczarowana. Słuchając uważnie, mogłam zrozumieć trochę z tego, co ona - ja - mówiła(m), i była to dla mnie najdziwniejsza lekcja niemieckiego, podczas której grałam jednocześnie rolę zafascynowanej uczennicy i nauczycielki. Czy tłumaczenie nie zmieniło treści? Czy inny akcent oraz przełożenie oryginalnych dialogów Webera uczyniło film lepszym czy gorszym? Czy możliwe jest, by fabuła opowiedziana w innym języku była nadal tą samą historią? Pomyślałam o Lelandzie opowiadającym o swoim życiu w języku, który uważałam za własny; ale nie jestem przecież ani mężczyzną, ani nosicielem HIV ani nie doświadczyłam tego samego co on, chociaż sposób, w jaki przedstawił siebie, był bardzo żywy. Czy istnieje zatem wspólny dla nas wszystkich język? Przez chwilę sądziłam, że może nim być mowa ludzkich serc, ale po namyśle stwierdziłam, iż nie mam racji - jest zbyt złożona i jednak odmienna. Czy mamy więc jakąś możliwość, by w pełni wczuć się w przeżycia innego człowieka? Wątpię.

Kiedy już niemal oswoiłam się z tymi niespokojnymi i pełnymi napięcia dniami, kiedy prawie przyzwyczaiałam się do ciągłego strachu o jego życie i do zastanawiania się, dlaczego nie mam od niego żadnej wiadomości, otrzymałam telegram od nie znanego mi nadawcy z Jugosławii, że pan Leland Zivic przyjeżdża do Wiednia. Jego pociąg ma przybyć wcześniej rano, więc mogę się z nim spotkać.

Składałam i składałam w palcach ten kawałek papieru, aż w końcu już bardziej nie mogłam go zgiąć. Położyłam telegram na stole i obserwowałam, jak pomału rozkłada się, ukazując znowu błogosławioną wiadomość. Minnie spała na kanapie; położyłam się obok niej, obejmując jej gorące ciało. Podniosła głowę i popatrzyła na mnie, sprawdzając, czy wszystko jest w porządku. Leżałyśmy tak długi czas - ona pochrapując lekko, a ja myśląc o tym, iż jutro zacznie się coś nadzwyczajnego. Najbardziej interesował mnie powód, dla którego Leland zdecydował się wrócić. Podczas jednego z niezliczonych rozejmów, które udało się wynegocjować lordowi Carringtonowi, walczące strony przystały na to, by każdy, kto chce opuścić Bośnię i Hercegowinę, mógł to uczynić. Węgry, Austria i Niemcy zgodziły się przyjąć większość tych nieszczęśników, ale nadal było tak wielu chętnych do porzucenia kraju, że nikt - włączając w to międzynarodowych ekspertów - nie wiedział, co począć z tłumami uciekinierów, którzy podjęli wędrówkę ku nadziei bezpieczeństwa. Od czasów drugiej wojny światowej był to największy exodus i nikt nie miał pomysłu na to, jak go zatrzymać. Będąc wiernym swej awanturniczej naturze, Leland zdecydował się na powrót do



Austrii jednym z pociągów przeznaczonych dla uchodźców z Sarajewa. Jechało nim dosłownie tysiące ludzi i ich widok na Südbahnhof był dla mnie jednym z najbardziej elektryzujących i poruszających przeżyć. Tak mi dopomóż Bóg! było piekło na ziemi.

Na dworcu znalazłam się pół godziny przed czasem. Ponieważ nie wiedziałam, jakie znaczenie miał przyjazd tego pociągu, byłam skłonna przypuszczać, iż z powodu wczesnej pory na peronie będzie niewielu ludzi. Tymczasem stacja była zatłoczona - całe rodziny, samotni ludzie, starzy młodzi, dostatnio ubrani i obdarci... Zgromadziły się tu wszystkie typy, jakie tylko możesz sobie wyobrazić. Nastroje oczekujących były przeróżne; niektórzy z tłoczących się byli i karnawałowo, świątecznie rozradowani, na twarzach innych malował się przeraźliwy smutek. Co tu się dzieje? Grupki dzieci plątały się pod nogami, przepychając się zawzięcie; dorośli krzyczeli na nie lub śmiali się do nich. Stare kobiety, załamując ręce, kiwały się w przód i w tył, jakby się modliły. Mężczyźni z sumiastymi wąsami wypatrywali pociągu w perspektywie torów. Zdumiona i całkowicie skonfundowana rozgrywającym się obok mnie pandemonium zadałam przechodzącemu kolejarzowi pytanie, skąd wzięli się ci ludzie. Uśmiechnął się i dotknął czoła powszechnie znanym gestem wyjaśniającym, że wszyscy wokół to wariaci.

- Zbliża się pociąg z uchodźcami z Jugosławii. Ci tutaj czekają na swoich bliskich. Tak jakbyśmy nie mieli już w kraju dosyć tych przeklętych brudasów!

Ponieważ zabrzmiało to jak amerykańskie „czarnuchów”, zmarszczyłam czoło i cofnęłam się. Zadrwiwszy w ten sposób, kolejarz obrzucił mnie taksującym wzrokiem od stóp do głów, jakbym była murzyńską niewolnicą wystawioną na sprzedaż. Odeszłam. Kiedy głośniki zapowiedziały przyjazd pociągu, znalazłam niezbyt zatłoczone miejsce i tam postanowiłam czekać. Lokomotywa wychynęła zza zakrętu i powoli zbliżała się do nas. Kiedy była tuż-tuż, dostrzegłam niezliczone głowy w oknach, setki machających rąk oraz twarzy nabierających kształtów w miarę, jak pociąg wynurzał się z oddali. Tłum na peronie ruszył naprzód. Niektórzy machaniem usiłovali powstrzymać ten napór, inni krzyczeli coś rozgorączkowani, wskazując rozpoznane nagle osoby, po które przyszli. Maszyna gwizdnęła krótko dwa razy, syknęło sprężone powietrze i zgrzytnęły hamulce.

Byłam zaszokowana widokiem tego tłumu na peronie, ale to nic w porównaniu z tym, co nastąpiło potem. Na długo przed zatrzymaniem się pociągu jadący zaczęli wyskakiwać, wylewać się na peron, na wszelkie możliwe sposoby opuszczając wagony. Gdybyś to widziała, Rose, doszłabyś niechybnie do wniosku, że wszyscy ci biedni ludzie usiłują uciec z płomieni. Byli wśród nich biznesmeni w garniturach, kobiety w butach na wysokich obcasach, chłopcy w brudnych od pracy kombinezonach, wieśniaczki trzymające dzieci

zawinięte w chustach niczym pakunki... Okno za oknem przesuwano się obok mnie, a widoczne w nich twarze ukazywały wszelkie emocje i wzruszenia. W jednym przedziale wszyscy tańczyli, trzymając się za ręce i histerycznie płacząc. Szczęśliwi? Zrozpaczeni? Kto to mógł wiedzieć? Na końcu zobaczyłam młodą kobietę, która tak mocno uderzyła mężczyznę w twarz, że jego głowa z głośnym stukotem odbiła się od szyby. Wszystko to przewinęło się przed moimi oczyma w ciągu zaledwie sekund - klatka po klatce; żywy fresk na temat współczesnej ludzkości.

Kiedy pociąg zatrzymał się w końcu, ludzie wysypali się na peron pośród niepoahamowanych krzyków, wymachiwań, falujących kolorów. W jednej chwili zostałam pochłonięta przez ludzkie mrowie. Pracownicy Czerwonego Krzyża z opaskami na rękawach starali się przekrzyczeć w różnych językach harmider i zapanować nad rozpętanym chaosem, lecz wydawało się to zgoła niemożliwe. Wszak przybyli przez całe miesiące znajdowali się w zasięgu wojny, modląc się o możliwość wydostania się z jej szponów i o szansę przeżycia. I nagle, z dnia na dzień, zostali wtłoczeni do pociągu, a w czasie podróży nie mieli nic więcej do roboty, jak zastanawiać się nad tym, co stracili, co im pozostało i co teraz będą robić z dala od domu, do którego być może nigdy nie wrócą.

Patrzyłam na nich, przenosząc wzrok z twarzy na twarz, ponad głowami i tobołami, chcąc wyłuskać z owej ludzkiej ciżby jednego jedyne go mężczyznę. Wpadłszy w panikę, ruszyłam w tłum. Bez powodzenia. Zbyt wiele oczu i uśmiechów, ramion, słów, bagaży, dzieci... Spróbowałam wdrzeć się w ten gąszcz jeszcze głębiej, lecz zostałam odepchnięta. To nie był dobry sposób, a poza tym przerażała mnie perspektywa, iż mogę zostać stratowana. Pomyślałam, że może łatwiej będzie mi go znaleźć przy wyjściu z dworca. Znał mnie przecież na tyle, by wiedzieć, że przyjdę po niego. Czy jednak odnajdziemy się tutaj? Zawróciłam i zaczęłam się przepychać w stronę wyjścia. Stojąc na palcach, wypatrywałam go w ludzkim strumieniu, który zdawał się nie mieć końca. Wielu przybyłych wyglądało na zagubionych, przerażonych i samotnych. Boże, serce mi pękało!

W końcu zaczęło się robić nieco luźniej i na peronie pozostały tylko niewielkie grupki. Lelanda ani śladu. Spóźnił się na pociąg? Spotkało go coś złego, zanim zdążył opuścić Sarajewo? I nagle - och, Boże, Boże! - zobaczyłam go w oddali, idącego powoli wzdłuż wagonów, niosącego na ramieniu wielki czerwony plecak i machającego do mnie... Och, Rose, zaczęłam biec w jego stronę, ale raptem upuściłam torebkę i wszystkie moje drobiazgi wysypały się na peron. Schyliłam się i najszybciej, jak mogłam, zgarnęłam je, spoglądając ciągle w górę, by sprawdzić, czy rzeczywiście nadchodzi. Kiedy skończyłam zbierać rozsypane przedmioty, zapięłam torebkę na zamek błyskawiczny. Ruszyłam biegiem dalej,

ale nagle moja lewa noga wykrzywiła się w kostce, zachwiałam się, lecz szczęśliwie odzyskałam w ostatniej chwili równowagę. Leland był już blisko i uśmiechał się. Uśmiechał się do mnie! Do mnie! Do mnie! Kiedy dzieliło nas ze trzy metry, upuścił bagaż na peron, rozwarł ramiona i zawołał tak głośno, że słycać go było na całym dworcu:

- Arrrrlennn!

Wszyscy odruchowo spojrzeli na niego, potem na mnie i zaczęli się śmiać. Jakiś mały chłopiec powtórzył jego okrzyk i ich głosy wisały w powietrzu przez wiele sekund; był to najpiękniejszy duet świata. Leland zatrzymał się, a ja objęłam go i uścisnęłam z całych sił. Przez długi czas staliśmy przytuleni, a potem powiedział:

- Chcę pojechać do Włoch. Chcę jechać z tobą. Pojedziesz ze mną?

## Wyatt i Arlen

Patrzyłam na Wyatta i przez moment myślałam o nim jako o Finkym Linkym - rozentuzjasmowanym, wesołym facecie, który zmuszał do śmiechu i myślenia miliony dzieciaków. Bardziej niż czegokolwiek innego na świecie pragnęłam, by znowu stał się Finkym Linkym - magicznym i pełnym cudownych pomysłów na rozwiązanie wspaniałych zagadek, potrafiącym jednym prestidigitatorskim ruchem nadgarstka uchronić nas od tego, co już się nieodwołalnie stało. Jego wzrok spotkał się z moim, ale szybko uciekł w bok, jakbyśmy zostali współnikami jakiejś zbrodni. Był tylko człowiekiem, chorym człowiekiem, który przyszedł do mego domu. Był przerażony i zmieszany tym, co zaszło. Westchnęłam i próbowałam się uśmiechnąć.

Zanim zaczęliśmy rozmowę, położyłam na stoliku przed nami wszystkie te przedmioty. Chciałam patrzeć na nie, kiedy będę mówić, żeby o niczym nie zapomnieć. Brązowa skórzana psia smycz, niebieska czapka baseballowa i - oczywiście - fotografie. Czym byłaby moja opowieść bez nich? Przyniosłam je tu wraz z innymi rzeczami, których na razie nie odkryłam, by Wyatt nie mógł ich zobaczyć zanim będę gotowa.

- Pamiętasz, Wyatt, kiedy pierwszy raz spotkaliśmy się w „Hiltonie”? Dzień, w którym przyleciałeś do Wiednia ze swą przyjaciółką? - Oczywiście. Nie spodziewałem się zobaczyć cię tutaj.

- To był najszczęśliwszy okres w moim życiu. Zapomniałam o karierze, sławie i całej reszcie. Liczył się tylko on. Wiele myślałam o swoim życiu i ze wszystkiego, co mi się przytrafiło, to właśnie było najlepsze. Serce wypełniała mi absolutnie czysta radość. Nigdy wcześniej nie znajdowałam się w takim stanie ducha - byłam z mężczyzną o nie odpartym uroku. Absolutnie wierzyłam i jemu, i w to, coś między nami jest możliwe, nawet mimo jego choroby której świadomość wisiała nad nami niczym czarna chmura. Mieliśmy jechać do Włoch, ponieważ Leland chciał być ze mną. Nareszcie! Kiedy cię więc zobaczyłam, nie byłam nawet specjalnie zdziwiona - po prostu kolejne wspaniałe przeżycie. Hej, pomyślałam sobie, jest tutaj Wyatt Leonard, i czyż to nie miłe? I wiesz, co jeszcze? Znasz pewnie uczucie niepokoju towarzyszące szczęśliwemu okresowi, kiedy zdajesz sobie sprawę, iż zbliża się on nieuchronnie do końca, a ty nie możesz nic na to poradzić. Gdy czujesz, że złe czasy wracają. Wtedy jeszcze o tym nie myślałam. Przez, bo ja wiem, może dwa tygodnie, byłam absolutnie usatysfakcjonowana i zaspokojona w swych marzeniach. Niczego więcej nie oczekiwałam od życia i wcale się nie zastanawiałam, czy jestem tego warta lub kiedy się to skończy albo

dlaczego to szczęście spotkało właśnie mnie. Po prostu byłam i poddawałam się losowi, dziękując Bogu dwadzieścia razy na dzień.

- Bogu? - wypowiadając to słowo, Wyatt prychnął lekceważąco.

Spojrzałam swemu przyjacielowi prosto w oczy.

- Tak. Po tym, co się stało, chcesz mi zapewne powiedzieć, że Boga nie ma, ale nie zgadzam się z tobą. Nie rozumiem tego, jeżeli jednak istnieje cokolwiek z tego, o czym mi mówiłeś, musi też być coś więcej.

- Strayhorn twierdzi, że jest tylko życie i śmierć.

- Phil nie jest wiarygodnym źródłem, nie sądzisz? - Próbowałam panować nad głosem, ale załamano się pod koniec zdania.

- Opowiedz mi wszystko, Arlen. Chcę to usłyszeć. Powinienem usłyszeć.

- Wiem, jestem gotowa. A więc, spotkaliśmy się w hotelu, a potem autobusem pojechaliśmy na lotnisko. Chciałam wziąć swój samochód, lecz Leland stwierdził, iż nie powinnam tego robić, ponieważ nie wiadomo jeszcze, kiedy wrócimy, i opłata za parking może pochłoniąć fortunę. Czy wyobrażasz sobie, jakie ciarki przebiegły mi po plecach, kiedy to usłyszałam?! Nie wiedział, kiedy wrócimy, dotychczasowe obowiązki uległy zawieszeniu, a my skakaliśmy w nieznane. Cudownie! Żadne z nas nie miało innych planów, oprócz bycia ze sobą, i wszystko inne odepchnęliśmy daleko od siebie. Ludzie mówią często, że chcą rzucić w diabły wszelkie sprawy i wyjechać dokądś, ale nigdy tego nie robią - zbyt wiele niewiadomych, za duże ryzyko. Niech szlag trafi niebezpieczeństwo! Postanowiliśmy zaryzykować! Nie pojechaliśmy zatem na lotnisko moim autem, bo nie znaleźliśmy daty naszego powrotu. Podobne chwile wywołują we mnie chęć wyrzucenia w górę ramion i wydania z siebie głośnego, zwycięskiego okrzyku. W tych dniach przeżyłam wiele takich momentów. Intensywność pewnych doznań zapierała mi dech w piersiach, a moje ciało przenikały dreszcze podniecenia i radosnego oczekiwania. To, co mówił Leland, oraz sposób, w jaki postrzegał świat, stawało się dla mnie coraz bardziej interesujące. Mnóstwo wiedział i człowiek pragnął poznać jego poglądy. W czasie lotu do Włoch gadaliśmy o polityce, miłości, o potrawach różnych kuchni oraz o podróżach. Podczas każdej rozmowy wszystko jawiło się wciąż bogatsze i pełniejsze. Wiedział dużo i potrafił to bardzo sugestywnie wyrazić; umiał wpleść w rozmowę tyle nowych wątków, że w głowie wibrowało.

Inną jego wspaniałą cechą była nieprawdopodobna wręcz umiejętność słuchania drugiego człowieka. Zdajesz sobie sprawę, jak cudownie można się czuć, gdy ktoś po czterech dniach pamięta jeszcze coś zupełnie trywialnego, co powiedziałaś i sam zdażyłaś już o tym dawno zapomnieć? On pamiętał wszystko. Rzeczywiście słuchał w niezwykle sposób,

W samolocie była śliczna, młoda stewardesa, która oczywiście zainteresowała się Lelandem, ale on nawet nie skinął jej głową. Mrugała do niego swymi wielkimi oczyma, starając się wzbudzić jego zainteresowanie, lecz Leland zupełnie jej nie zauważał, słuchając w tym czasie tego, co mówiłam”

- Chyba wiesz, Arlen, że przez połowę świata uważana jesteś za przepiękną kobietę?

- Jasne, wiem, ale nie o to szło. Nie obdarzał mnie uwagą po to, by mnie uwodzić; wiedział, że mógłby to osiągnąć gdyby tylko chciał. Jego naprawdę interesowało to, co mar do powiedzenia, on chciał tego słuchać. To zupełnie co innego. Traktowałam to jako dowód szacunku i przyjaźni z jego strony. Czyż miłość nie sprowadza się w gruncie rzeczy do wielkiego uznania? Pragnę poznać, co masz mi do powiedzenia; wszystko, co powiesz, obchodzi mnie. Wierzę, że tak jest. W pewnym momencie zaczęłam się nawet śmiać, bo pomyślałam, że pochyleni ku sobie i gadający bez przerwy wyglądamy niczym para dzieciaków mających jakieś swoje sekrety przed całym światem. Florencja okazała się cudowna, ale dla mnie nie miało najmniejszego znaczenia, gdzie jesteśmy. Zwiedzaliśmy to, co było do zobaczenia, a jadaliśmy w restauracjach, o których Leland słyszał już wcześniej. Najlepiej jednak pamiętam z tamtych dni nasze spacerunki i rozmowy oraz upały. Było tak gorąco, że chodziliśmy chwilę, po czym opadaliśmy ciężko w ogródku najbliższej kawiarni, zamawiając colę z lodem. Nigdy dotąd coca-cola tak mi nie smakowała! Zwykle podawano ją w szklance, ale można też było dostać butelkę z napojem oraz pustą szklankę, i wtedy, zanim przelałeś płyn do naczynia, mogłeś przetoczyć zmrożoną flaszką po czole lub wzdłuż ramion, co działało niemal tak samo orzeźwiająco jak picie. Spacerunki, rozmowy i zimna cola. Któregoś dnia pojechaliśmy autobusem do Sieny. Niebo pokryły chmury i było dużo chłodniej. Po południu trochę mżyło. Wspięliśmy się na szczyt czternastowiecznej wieży stojącej na środku zupełnie niesamowitego rynku; na górze nie było nikogo prócz nas. Leland rozvodził się nad słynnymi wyścigami konnymi, zwanymi palio, które odbywają się tutaj każdego lata. Siena dzieli się wówczas na walczące ze sobą o prymat dzielnice, które przyjmują specjalne nazwy: Orły, Żyrafy, Gąsienice lub Gęsi.

- Czy kiedykolwiek dotknął cię, gdy tam byliście?

- Nigdy. Nie chciał nawet wziąć mnie za rękę, jeżeli nie uczyniłam tego pierwsza. Jeszcze zanim powiedział mi o swej chorobie, bardzo uważał, żeby nie doszło między nami do żadnego cielesnego kontaktu. To była ta dziwna część naszego związku. Pomimo wielkiej napiętności i intensywnego napięcia prawie nie istniał między nami kontakt fizyczny. Czułam to tak, jakbyśmy oboje byli ogarnięci niepohamowaną żądzą, a przed zaspokojeniem jej powstrzymywała nas szyba. Frustrujące, ale i w pewien sposób wspaniałe. Zdawało mi się,

że jestem niewinną, po raz pierwszy zakochaną nastolatką umierającą z chęci przestąpienia progu seksu, lecz mój chłopak pragnie uszanować moje dziewictwo, chcąc, bym w cnocie dotrwała w do dnia ślubu. To głównie on się opierał, ja szaleńczo go chciałam.

- Czy przespałabyś się z nim, mimo że był nosicielem HIV?

- Będę z tobą zupełnie szczerą, nie wiem. Czyste samobójstwo, co? Myślałam, że gdyby miało do tego dojść, to użylibyśmy dwóch prezerwatyw... maksimum bezpieczeństwa, wiesz... Ale kogo ja właściwie oszukuję? To było szalone; wariowałam za nim, więc kto wie?

- Tak bardzo go kochałaś?

- Czasem, kiedy spjrzałam na niego, brakowało mi oddechu. Niekiedy czułam się porażona przez moje wezbrane uczuciem serce. Do rzeczy jednak. Z Włoch poleciliśmy do Londynu, bo teraz on pragnął pokazać mi miejsca, które ukochał. To było cudowne. Kolejna porcja szczęścia, kolejne wspaniałe, wspólne dni. Kiedy byliśmy w Anglii, zdarzyło się coś osobliwego, co jednak zdawało się nie mieć wielkiego znaczenia, więc zupełnie to zignorowałam. Kocham róże i wyszło to jakoś na jaw w Londynie. Pewnego dnia rozdzieliliśmy się, by pozatwierać własne sprawy, a kiedy wróciłam do jego mieszkania, nie zastałam go, lecz znalazłam wielki bukiet żółtych i białych róż na kuchennym stole. O kwiaty oparty był liścik z jego odręcznym pismem:

*Sądzę; że to, co trwa pomiędzy nami, jest nie tylko tajemnicze, ale i niebezpieczne. To świat piękny i czysty. Teraz, kiedy tkwimy w nim, mamy dwa problemy. Pierwszy - jak znieść to piękno i pozostać przy życiu? I drugi - czy zdołamy wydostać się z niego i żyć w normalnym świecie?*

W innym czasie otrzymawszy taki bukiet i taki list, nie posiadałabym się z zachwytem; teraz opuściłam go w bezwładnej dłoni i zmarszczyłam brwi, zastanawiając się, czyj mam być tym zaniepokojona, czy raczej zmartwiona. Patrzyłam jeszcze jakiś czas na oszałamiające kwiaty, a potem poszłam do jego sypialni po dowód, o którym wiedziałam, że tam będzie. Jak się spodziewałam, londyńskie życie Lelanda było nad wyraz skromne. Wyjątek stanowiły płyty i książki. Ściany jego mieszkania, od podłogi po sufit, pokrywały regały dźwigające olbrzymią kolekcję tysięcy tomów, nagrań i kompaktów. Półki były z dębu w cudownie miodowym kolorze, na co musiał wydać majątek, zwłaszcza że mieszkanie zaprojektowano zupełnie przedziwnie, więc regały wypełniające każdy zakątek oraz wnękę musiały być wykonane na zamówienie. Na półkach panował horrendalny bałagan, co mnie zdumiało, na ogół bowiem kolekcjonerzy książek czy fani muzyki są absolutnie pieprznięci na punkcie

porządku. Zbiory Lelanda poniewierały się wszędzie. Książki, taśmy i kompakty przemieszane były bez ładu i składu, a ponieważ były tego całe tysiące, znalezienie czegokolwiek zabierało piekielnie dużo czasu. Kiedy spytałam go o powód takiego stanu rzeczy, odparł, iż z rzadka jedynie nachodzi go ochota, by posłuchać określonego nagrania czy przeczytać konkretną książkę. Korzystał ze swych zbiorów pod wpływem chwilowego nastroju i niczego nie lubił tak bardzo, jak myszkowania po półkach i odkrywania na nowo ich zawartości. Zaśmiał się cicho i dodał, iż czasami kupuje coś, przynosi do domu, kładzie na regał i kompletnie o tym zapomina. Po jakimś czasie odnajduje nabytek z nowym zachwytem. To miało sens; jego życie przebiegało od jednej śmiertelnie groźnej sytuacji do drugiej, czemu zatem w domu nie miałyby czuć się zupełnie odprężony i pozwolić, by wszelkie rzeczy biegły własnym torem? Doznał tak wiele strasznego zamętu, a ten bałagan był po prostu zabawny.

Ja jednak wiedziałam, czego teraz szukam i gdzie się to dokładnie znajduje. Przeglądając książki kilka dni wcześniej, natknęłam się na powieść Benjamina Tammuza *Minotaur*. Nigdy dotąd nie słyszałam o tym autorze. Tomik był niewielki i czekając kiedyś na powrót Lelanda do domu, przeczytałam go jednym tchem. Tekst bardzo mi się spodobał, a pewien zapadający w pamięć fragment szczególnie, właśnie ten, który przeczytałam w liściku przypiętym do bukietu kwiatów. Otrzymując wcześniej od Lelanda wiele pocztówek z Jugosławii, przyzwyczaiłam się, że zamieszczał w nich cytaty z przeczytanych ostatnio lektur, ale zawsze wtedy podawał tytuł, z którego go zaczerpnął, a pod spodem nazwisko pisarza, bym mogła, jeżeli mnie zainteresuje, kupić książkę i przeczytać resztę.

Dobrze pamiętałam, gdzie była książka Tammuza, wyciągnęłam więc ją ze stosu innych. Przerzuciwszy szybko kartki, znalazłam właściwy urywek. Z wyjątkiem kilku słów brzmiał dokładnie tak samo jak fragment na kartce. Odłożyłam książkę na półkę i wróciłam do kuchni, by przyciąć kwiatom łodygi i wstawić je do wazonu. Kiedy skończyłam, spróbowałam uwolnić się od złych myśli, ale nie potrafiłam. Leland wrócił kilka godzin później; natychmiast powiedziałam mu, jak bardzo podobają mi się kwiaty i ten cytat. Odparł, że cieszy go to. Ani słowa więcej. Coś się we mnie skurczyło ze strachu. A może wszystko, co do mnie do tej pory napisał, należało tak naprawdę do kogoś innego? Może żadna z tych mądrych, żywych, dowcipnych uwag czy wnikliwych obserwacji nie była jego? Ta myśl sprawiła, że zrobiło mi się go żal, a potem wstydziłam się zapytać, czy to istotnie prawda. W końcu odważyłam się. Istotnie, tak właśnie było. Pamiętam, że patrzyłam na jedną z półek z książkami ganiącym wzrokiem, jakby to ona była faktycznym winowajcą. Jestem także



przekonana, iż na twarzy wykwitł mi rumieniec osoby przyłapanej na podglądaniu przez dziurkę od klucza albo na szperaniu w cudzej szufladzie.

- Dlaczego czułaś się winna, Arlen? To on powinien się wstydzić, był kłamcą.

- To wielkie słowo, „Wyatt. Zresztą, daj spokój, znasz przecież zasady tej gry. Kto pierwszy powie „kocham”, przegrywa. To był podwójny sztych - pierwsza wyznałam mu miłość i pierwsza odkryłam jego żalosne kłamstwa. Czułam się jednocześnie i winna, i zraniona. To wszystko było bardzo dziwne. Być może właśnie dlatego zaczęło mnie korcić, żeby wrócić do Wiednia; i spokojnie mu to powiedziałam. Zaproponowałam, że on zrobi, co zechce - pojedzie za mną lub pozostania w Londynie i dołączy później. Zaakceptował mój pierwotny pomysł i następnego dnia poleciliśmy do Austrii. Żadne z nas nie miało pojęcia, jak te raz ułożą się nasze sprawy ani co będziemy robić, ale byłam absolutnie przekonana, iż to, że do tej pory byliśmy tak szczęśliwi, pomoże nam pokonać wiele problemów. Leland też tak uważał. Postanowiliśmy, że jeżeli pomiędzy nami pojawi się najmniejszy cień, wspólnie stawimy mu czoło. Nigdy nie byłam bardziej zadowolona z przebywania z żadnym innym mężczyzną. Razem gotowaliśmy, oglądaliśmy telewizję, a Leland mówił mi wszystko, co tylko chciałam wiedzieć. Rozmawialiśmy o szkole, o dawnych miłościach oraz o naszych rodzicach. Kiedyś Leland powiedział, że dokładnie wtedy, kiedy doroślejemy na tyle, by wybaczyć im wszystko, co się stało, gdy byliśmy dziećmi, musimy przyzwycząić się do współczucia im. Uważałam, że to niezwykle komentarz, a potem paskudna myśl przebiegła mi przez głowę: czy to była jego własna refleksja czy też gdzieś to wyczytał? Nie powiedziałam jednak słowa, ale później wróciło to do mnie zwielokrotnione, niczym stalowy bumerang walący obuchem w głowę. Każdego dnia powtarzaliśmy te same rutynowe czynności. Leland wstawał pierwszy, budził mnie i wychodził z Minnie na spacer po winnicy, podczas gdy ja przygotowywałam śniadanie. Na jego specjalną prośbę robiłam dla niego codziennie to samo, czyli jajka na bekonie. Zażyczył sobie tego, ponieważ był to pierwszy posiłek, jaki zjadł pod moim dachem. Zwykle wracali oboje wielce podnieceni z powodu jakichś przygód. A to widzieli pasącą się sarnę, a to Minnie pognęła dokądś na wzgórzu i Leland musiał jej szukać. Nigdy mu to jednak nie przeszkadzało. Kochali się bezgranicznie i gdy tylko Leland usiadł na kanapie, Minnie wskakiwała obok i składała łeb na jego udach. Był dla niej bardzo czuły i czasem, kiedy zdarzało mi się wyjść z pokoju, słyszałam, że przemawia do niej jak do człowieka. Podobało mi się to w nim, cieszyłam się, że lubi mojego psa, a nie traktuje go niczym uciążliwego obowiązku. A potem Minnie... umarła.

Coś ścisnęło mnie za gardło i musiałam wstać; pierś zafalowała mi od gwałtownego szlochu. - Właśnie tak: umarła, a nie zdechła. Wyatt podniósł się i objął mnie. To było miłe z

jego strony, chociaż nie mogło ukoić mego bólu. Jedyne, o czym w ogóle byłam zdolna myśleć, to wspaniały przyjaciel, którym było to drogie mi zwierzę. Ujrzałam ją przed oczami jak żywą, kiedy przynosiła mi do stóp swą sztuczną kość, jakby mówiła: „Bawmy się! Rzuć to!” Albo widziałam ją śpiącą na kanapie, a potem podnoszącą się i ześlizgującą powoli na podłogę z takim wyrazem pyska, jakby jeszcze się nie obudziła. Albo jak łapczywie jadła lub jak nie lubiła być obserwowana, gdy znajdowała się przed domem zajęta swoimi psimi sprawami. Była taka łagodna i czuła.

- W ten słoneczny poranek weszła chwiejnie przez próg, znacząc swój ślad krwią ciekącą z nozdrzy i pyska. Padła na podłogę, wstrząsnął nią ostatni, agonalny skurcz - i było po wszystkim. Kiedy nadbiegł wołający ją Leland, już nie żyła. Opowiedział mi, że Minnie węszyła za czymś dookoła, a potem chwyciła swą zdobycz w zęby i zaczęła ją pożerać. Widząc, co się dzieje, podbiegł do niej, by jej to odebrać, ale ruszyła biegiem do domu szczęśliwa, że udało się jej zostawić go w tyle. Okazało się, że to było zepsute mięso. Weterynarz z Klosterneubergu, który wcześniej szczepił ją przeciwko wścieklicznie i radził mi, jak należy karmić psa, z rozgoryczeniem zdjął gumowe rękawice i rzucił je na stół zabiegowy. Czasami się to zdarza, powiedział. Niekiedy zwierzę, mając już dosyć świeżego mięsa, zakopuje je, żeby zgniło, w takim miejscu, gdzie łatwo będzie mogło je znaleźć. Byłam załamana. W tych najczarniejszych, najsmutniejszych chwilach dziękowałam Bogu, że Leland jest przy mnie. Zajmował się absolutnie wszystkim i nie przeszkadzał mi w moim smutku. Był ze mną bez przerwy czasem niemal zupełnie niewidoczny, a jednocześnie bezbłędnie wyczuwał, kiedy potrzebna mi była jego obecność. Wtedy brał mnie za rękę i mówił do mnie. Z jego słów wynikało jasno, że śmierć Minnie stanowiła dlań równie bolesne doświadczenie. Nie było we mnie nic poza bólem, a on dał mi resztę tego, co niezbędne - miłość, siłę i wytrwałość. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy traci się dziecko. Teraz zdumiewa mnie, skąd Leland znalazł, mimo własnego strachu i słabości, dosyć energii i dobroci serca, by pomóc mi w tym bolesnym dla mnie okresie. Nie-; raz się zastanawiałam, czy są w ogóle tacy wartościowi ludzie na tej ziemi. Oto był przy mnie jeden z nich; stanowił dowód, że istnieją. Zdawało mi się, że kochałam go, Wyatt, ale po śmierci Minnie, kiedy ocalił mnie, to, co czułam do niego wcześniej, było niczym w porównaniu z namiętnością, która mną teraz owładnęła. Wiesz, kto to jest szochet?

- Kto?

- Szochet to po żydowsku rzeźnik. Wiesz, Żydzi dokonują uboju zwierząt inaczej niż my. Przestrzegają tego, by nie zadawać ofierze bólu. Używają w tym celu noża zwanego chalef, co oznacza „nóż-bez-bólu” albo inaczej „to, co życie zamienia w śmierć”.

- O czym ty mówisz, Arlen?

W oczach Wyatta dostrzegłam troskę, jakby obawiał się, że moja równowaga psychiczna zaczynała się chwiać.

- To są ważne słowa i będą wiele znaczyć, kiedy opowiem ci tę historię do końca. Zapamiętaj: szochet i chalef.

- W porządku, szochet i chalef.

- Znasz powiedzenie, że nieszczęścia chodzą parami? Nadal byłam skołowana z powodu Minnie, kiedy kilka dni później Leland przyniósł wielką, żółtą kopertę zaadresowaną ręką mego wuja, Lena Miry z West Lafayette; to brat mojej matki, od którego od lat nie miałam żadnych wiadomości. W kopercie znajdowała się mała, gruba, oprawna w skórę książeczka ze złoconym napisem na okładce: Dziennik. Oprócz tego był tam także liścik od Lena wyjaśniający, że należało to do mojej matki. Ojciec wysłał mu go przed laty, zaraz po jej śmierci. Wuj napisał, że wpadło mu to teraz w ręce, przesyła więc mnie; nigdy nie czytał tego pamiętnika, gdyż uważał, że nie powinien, i sądzi, iż tylko ja mam do tego prawo.

- Czemu twój ojciec ofiarował ten dziennik właśnie jemu?

- Mama i Len byli sobie bardzo bliscy. Ojciec sądził zapewne, iż jest to jedyna pamiątka po matce, która mogłaby mieć dla niego znaczenie. Wuj jest skromnym, prawym człowiekiem i wierzę mu, że nie zajrzał do środka. Ja to zrobiłam i od razu zaczęłam cierpieć z powodu kolejnej śmierci, tym razem własnej. Masz ochotę na kawę, Wyatt? Chciałam wstać, ale Wyatt pchnął mnie z powrotem na fotel.

- Daj spokój, Arlen. Nie możesz teraz przerwać. Zapomnij o kawie, niech ją diabli porwą!

- W porządku. Moja matka i ja byliśmy prawdziwymi przyjaciółkami. Zmarła, kiedy byłam nastolatką i to wydarzenie było jednym z największych wstrząsów w moim życiu. Tyle jeszcze chciałam z nią zrobić i jej opowiedzieć! I nagle, jednego dnia, po prostu odeszła. Nie było mnie wtedy przy niej, przebywałam w szkole. Kochałam ją i ufałam jej jak nikomu innemu, ponieważ, poza wszystkim innym, uważałam ją za przyjaciółkę. Dziewczęta, tak nas nazywał ojciec. Byłyśmy zawsze razem i sądzę, iż często był o to zazdrosny. Umarła, kiedy właśnie zaczęłam stawać się kobietą. Pamiętasz, jak to jest, gdy się ma naście lat? Tak wiele rzeczy spada na ciebie jednocześnie, a ty nie masz pojęcia, jak sobie z tym poradzić. Seks, uzmysłowienie sobie, kim właściwie jesteś i co chcesz robić - wszystkie te najważniejsze sprawy. Moje światło przewodnie nagle zgasło, a wokół nie znajdowałam nikogo, kto mógłby je zastąpić. Zdecydowanie nie nadawał się do tej roli mój ojciec, który był zacnym człowiekiem, ale bardzo prostym i absolutnie ślepy na moje potrzeby. Rose stała się dobrym

substytutem mojej matki dopiero później. Przez kilka lat byłam więc sama sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Popęliłam, oczywiście, wiele błędów... ale zboczyłam z tematu. Zdawało mi się, że byliśmy sobie tak bliskie, jak tylko mogą być matka i córka. Gdy myślałam o jej przedwczesnej śmierci, pocieszało mnie tylko to, że kochałyśmy się i szanowałyśmy, że była moją największą podporą i że we mnie wierzyła. Kiedy wracałam do domu, wiedziałam, że powiem jej wszystko tak szczerze, jak tylko potrafię. To był wspaniały związek, Wyatt. Przez te lata poznałam niewiele osób, które miałyby równie dobre stosunki z matką. Kiedy byłam już sławna, pewien przeprowadzający ze mną wywiad dziennikarz zapytał, jakie byłoby moje jedno jedyne życzenie, za które oddałabym swoją karierę. Powiedziałam, oczywiście, że chciałabym wrócić życie mamie; to było warte dziesięciu takich karier. Zdajesz więc sobie sprawę, Wyatt, za jak cudowny, nieoczekiwany skarb uznałam jej pamiętnik. Zdawało mi się, że ta wspaniała kobieta nagle ożyła. Mogłam teraz, po latach, usłyszeć, co miała do powiedzenia na temat spraw, które znałyśmy i dzieliłyśmy ze sobą. Prawdziwy prezent od samego Boga otrzymany akurat po stracie Minnie spowodował, że nagle zniknął ciężar nieznośnie przygniatający moją duszę. Postanowiłam czytać pamiętnik w niewielkich fragmentach, stronę dziennie, i smakować każdy wers, by w ten sposób wystarczyło mi tego cudu na dłużej. Pierwsze zdanie, które przeczytałam, brzmiało: „Najpiękniejszą rzeczą, jaką przyniosła ze sobą jesień, jest wyjazd Arlen do szkoły; wreszcie choć przez jakiś czas nie będę jej mieć obok siebie”.

- Co takiego? - Wyatt wydawał się równie zdumiony jak ja, kiedy mój wzrok padł na te słowa na pierwszej stronie pamiętnika.

- To dopiero wstęp! O mało mnie to nie zabiło. Pomyślałam, że może była w depresji, czy coś takiego, a naprawdę sądziła inaczej. Pamiętam doskonale, że często denerwowała się z mego powodu. I co z tego? Jednak to było coś zupełnie innego, ponieważ znalazłam kolejne fragmenty, może aż nazbyt ich wiele, mówiące to samo: „Moja córka opowiada mi takie rzeczy o swym życiu, których nie chcę słyszeć; powodują, że coraz mniej ją lubię”. Albo: „Jak wiele razy napisałam tutaj, chciałabym rzucić to w diabły, zostawić męża i córkę, wyjechać i zacząć wszystko od nowa. Mieć drugą szansę na życie, które by wreszcie coś znaczyło”.

- Och, Arlen, biedactwo! I co zrobiłaś?

- Płakałam. Gapiłam się na ścianę, czując, jak cała moja przeszłość odpływa ode mnie. A potem zaczęłam czytać dalej, mając nadzieję znaleźć coś jasnego, jakąś zmianę jej uczuć; ale nic z tych rzeczy. Przeczytałam cały pamiętnik w półtorej godziny. Tyle lat. Wszystkie te lata, podczas których uważałam, iż byliśmy sobie bliskie, okazały się kłamstwem. Strona po

stronie zapełniona drogim mi pismem, tak dobrze zapamiętanym, przekonywała mnie... Te kartki mówiły niezmiennie to samo - nienawidziła swego życia. Uważała nas oboje z ojcem za samolubnych gburów i dałaby wszystko, aby móc od nas uciec. Spokój odzyskiwała jedynie wówczas, gdy wyjeżdżałam do szkoły, daleko od niej. A tak ją oplakiwałam. To było okropne.

- Powiedziałaś o tym Lelandowi?

- Tak. Zachował się wspaniale. Poradził mi, bym popatrzyła na to wszystko z odpowiedniej perspektywy. Mówił, że mama byłaby dumna, widząc mnie teraz, i bardzo szczęśliwa, przekonawszy się, iż myliła się co do mnie. Miłe słowa, ale nie robiło mi się od nich wcale lżej. I na dodatek spotkało mnie to tak krótko po stracie Minnie... - Zaciśnęłam powieki. - To zadziwiające, jak dawne sprawy potrafią nas zranić jeszcze po tylu latach.

- To dlatego, że wspomnienia są zawsze świeże. Problem z nimi polega na tym, że pozostają żywe przez tysiące lat, czy nam się to podoba czy nie.

- Masz rację. Ale widzisz, jak mi się wszystko waliło? Choroba Lelanda, pamiętnik mojej matki i śmierć Minnie. A gdzie jakieś dobre strony, pytam? Coś, co by zrównoważyło ten przeklęty horror, niech go szlag! Powinna tym być miłość do Lelanda, ale przecież on był bombą biologiczną, która tykała pod kloszem. Czułam się tak, jakby wszystko, co znałam i kochałam, odeszło bezpowrotnie. Pieprzony koszmar! W sumie dało to tyle, iż pokochałam go jeszcze mocniej. Myślałam: „Okay, może nie pozostało nam zbyt wiele czasu, ale on jest wszystkim, co mam, i najpewniej najlepszym, co kiedykolwiek posiadałam”. Uczucie do niego wypełniło mnie bez reszty.

- Jak on to przyjął?

- Wspaniale. Zaczęłam się zastanawiać: „Jakim cudem on wciąż jest ze mną? Czy można chcieć być z kimś, poza udręką i bólem nie może ofiarować nic więcej?”. trwał przy mnie i nadszedł taki moment, kiedy zrozumiałam, że jeżeli Leland umrze, zabiję się! Nie będzie dla mnie innej drogi - powiedziałam sobie spokojnie, ponieważ prawda, jakkolwiek trudna by była, przynosi opanowanie. Ostatni, nokautujący cios przyszedł za pośrednictwem telefonu. Znasz moją przyjaciółkę, Rose Cazalet. Po Lelandzie to najbliższa mi osoba; znamy się od ponad dwudziestu lat. Jej mąż był moim agentem, a ja zostałam matką chrzestną ich syna. Jesteśmy jak siostry. Wiele lat temu została zgwałcona i paskudnie pobita przez faceta, z którym chodziła. Tak naprawdę zdarzyło się to dwa razy. Przy tym drugim gwałcie broniła się tak wściekle, że obcasem szpilki wybiła kochasiowi oko...

Wyatt podniósł dłonie i zakrył sobie twarz.

- Dzięki Bogu, że to zrobiła, ponieważ najprawdopodobniej zabiłby ją wtedy. Gościa zapuszkowali, ale możesz chyba sobie wyobrazić, ile trwało, zanim przyszła do siebie. No i w tym samym czasie, kiedy zdechła Minnie i poznałam tajemnice matczynego pamiętnika, mąż Rose zadzwonił do mnie z wiadomością, że gwałcień uciekł z więzienia, odszukał Rose i...

- Dosyć, Arlen! Wystarczy! To wszystko zdarzyło się w tym samym tygodniu? Niemożliwe!

- Świat pełen jest ludzi cierpiących każdego dnia! - powiedziałam to z taką złością, że sama byłam tym zaskoczona.

Wyatt spojrział na mnie i oboje zamilkliśmy. Westchnął i potrząsnął głową, a potem dziarsko przesunął dłońmi po udach, jakby nagle zrobiło mu się zimno.

- Wiem o tym doskonale, masz rację. Co się z nią stało?

- Ma pękniętą czaszkę i złamaną rękę; kiedy straciła przytomność, musiał być przekonany, że ją zabił, bo uciekł.

- Wyzdrowieje?

- Jest w szpitalu, a jej stan ustabilizował się. Ma jedynie problemy z przypomnieniem sobie różnych spraw. Lekarze twierdzą, że minie jeszcze sporo czasu, zanim wszystko wróci do normy.

- A co z tym facetem?

- Nie złapali go; nadal jest na wolności. Roland zatelefonował do mnie, jak tylko się to stało, i byłam gotowa zaraz lecieć do Stanów, ale Leland odwiódł mnie od tego. Powiedział, że powinnam się z tym powstrzymać przez jakiś czas. Mój przyłot mógłby ją niepotrzebnie podniecić i mogłoby się jej pogorszyć. Dzwonię tam codziennie. Roland twierdzi, iż jest z nią nieco lepiej. Strasznie mnie to wszystko walnęło. Tydzień. Siedem dni. Przy zdrowych zmysłach trzymał mnie w tym czasie jedynie Leland. Byłam przerażona, naprawdę zdrętwiała do szpiku kości. Co jeszcze może się stać? Wiesz, co się wtedy z człowiekiem dzieje? Zaczynasz nagle wymyślać jakieś okropieństwa, które mogą się wydarzyć. Może to cię spotka, a może tamto? Chorujesz na samą myśl o tym, jak niewiele istotnych rzeczy jeszcze ci pozostało. Nie chciałam, by Leland gdziekolwiek wychodził sam; byłam przekonana, że stanie mu się coś złego. W noc, która poprzedziła twój telefon, prosiłam go, by się ze mną kochał. Nie troszczyłam się już o nic, po prostu pragnęłam go. Jemu przecież nic z mojej strony nie groziło; przynajmniej jedna dobra rzecz. Już wcześniej, zanim go spotkałam, sfera zmysłów wyciszyła się we mnie, a teraz wszystko w moim ciele zdawało mi się martwe. Tylko on, to błyszczące światelko, trzymał mnie jeszcze przy życiu. Pragnęłam, żeby rozbłysło we mnie choć na krótką chwilę, bym mogła się upewnić, że na świecie jest także

dobro. Co mi pozostało? Czego jeszcze musiałam doświadczyć, żeby się przekonać, że życie to nie tylko babranie się w gównie - westchnęłam i ścisnęłam poduszkę trzymaną na podolku.

- Gadaliśmy o tym całe godziny. Z początku Leland nie chciał nawet o tym słyszeć, ale nalegałam. Jeżeli go w ogóle obchodziłam, musiał mnie wreszcie dotknąć. Wtedy pierwszy raz kłóciliśmy się ze sobą, ale nie dbałam o to. Płakaliśmy, wychodziliśmy z pokoju, trzaskając drzwiami, i wracaliśmy. W pewnym momencie Leland prawie się zламаł, ale zaraz potem palnął się w głowę, wykrzykując, że to szaleństwo. Szaleństwo, kretynstwo i na pewno nic koniecznego, ponieważ i tak przyrzekł przecież, że ze mną zostanie. Powiedziałam, że to nie wszystko. W końcu nie pozostało już nic więcej do dodania, i poszliśmy spać.

- Razem?

- Nie. Leland uznał, że musi to sobie jeszcze przemyśleć, a spanie w jednym łóżku nie będzie temu sprzyjać. Byłam zbyt wyczerpana, by dalej to ciągnąć. Bogiem a prawdą, byłam tak zmęczona, że usnęłam, jak tylko przyłożyłam głowę do poduszki. Leland spał obok łóżka na podłodze. A potem odezwał się telefon, i to ty dzwoniłeś. Świtało.

- Dobra chwila na dzwonienie, co?

- Właściwie tak. Ucieszyłam się, słysząc twój głos. Uprzytomnił mi, że są jednak dobre rzeczy na świecie - Wyatt i Leonard oraz *Finky Linky Show*, dzieciaki, życie... Tak, ucieszyłam się. Byłam szczęśliwa, że zaprosiłeś nas na obiad. Jak tylko skończyliśmy rozmawiać, wiedziałam, że to najlepsze, co mogło nas spotkać.

- A co na to Leland?

- O, także wydawał się bardzo zadowolony. A kiedy ujrzałam cię w restauracji, od razu poczułam się dużo lepiej. To był miły obiad.

Jak biedniutko zabrzmiało to „miły”, jak nieprzekonująco.

- A więc spędziliśmy z tobą przyjemne chwile, które wprawiły mnie w lepszy nastrój. Nie nagabywałam Lelanda, żeby ze mną spał, ale momentalnie zawisło to w powietrzu, gdy tylko się z tobą pożegnaliśmy. Kiedy dotarliśmy do mojego domu, położył mi ręce na ramionach i powiedział: W porządku”. Tylko tyle. Zamknęłam oczy i rzekłam: „Dzięki Bogu, dzięki Bogu”. I poszłam prosto do sypialni. Miałam elegancki negligé, który chciałam dla niego włożyć. W połowie drogi przez pokój spojrzałam na łóżko i spostrzegłam, że pościel jest powleczone w nowe czerwono-żółte poszewki, których nigdy wcześniej nie widziałam. Poszewki były w róże; dokładnie takie, jakie mi kiedyś ofiarował. Najwyraźniej już wcześniej podjął decyzję i wszystko to zaaranżował. Na mojej poduszce leżała wielka koperta. Poznałam ją; jedna z tych, których używał do swoich fotografii. Byłam tak podekscytowana, że w pierwszej chwili chciałam odrzucić na bok kopertę i nie zawracać sobie nią teraz głowy.

Jednak wiedziałam także, że skoro ją tutaj położył, to z jakiegoś powodu pragnął, bym obejrzała jej zawartość teraz. Usiadłam więc i położyłam kopertę na kolanach. Leland wszedł właśnie do pokoju, więc podziękowałam mu za pościel. Podziękowałam też za to, że jest moim przyjacielem i za zawartość koperty. Wziął się pod boki i skłonił przede mną głęboko. To był piękny gest. Wyrażał wdzięczność i w pewnym sensie nieśmiałość. Zaklaskalam i otworzyłam kopertę. I wrzasnęłam! Co to jest? Co? Dlaczego mi to teraz pokazuje? Dlaczego w ogóle mi to pokazał? Z początku nie rozpoznałam siebie. Na fotografii była pomarszczona, skurczona, chora i bezwłosa istota z otwartymi i skrzywionymi ustami walczącymi o oddech, siedząca na białym krześle. Oczy miała tak głęboko zapadnięte w głąb czaszki, iż zdawało się, że ich w ogóle nie ma. Krzyknęłam do niego: „Co to jest?! Zdjęcia z wojny? Dlaczego teraz, na miłość boską, dlaczego teraz mi je pokazujesz?” Ze wzburzenia upuściłam zdjęcie, ale pod nią znajdowało się następne, jeszcze potworniejsze. Dopiero na nim rozpoznałam, kogo przedstawia. Patrzyłam na nie pomimo przerażenia, a potem rzuciłam wszystkie zdjęcia na podłogę i odskoczyłam pod ścianę, byle jak najdalej od nich. Na tym drugim zdjęciu w leżącej na łóżku potwornej postaci rozpoznałam siebie, w białej bieliźnie, którą tej nocy zamierzałam dla niego ubrać. Byłam martwa. Pomarszczona, schorowana i pozbawiona wszystkiego, co kiedyś stanowiło o moim życiu i człowieczeństwie. To byłam ja. Mój negliż, moje łóżko, twarz, na której widniała jeszcze odrobina podobieństwa. Tak, tak, to ja! Nikt inny może nie domyśliłby się, ale ja wiedziałam to z całą pewnością.

Wyatt opuścił głowę i niemal zgiął się wpół. Podeszłam do niego i objęłam go; poczułam, jak bardzo napięte są jego mięśnie. Mówiłam teraz niemal szeptem:

- Leland podszedł i podniósł zdjęcia z podłogi. Składając je razem, nie zwracał na mnie uwagi. Musiało ich być chyba z dziesięć. Podniósł jedno i odsunął na długość wyciągniętej ręki. Potem powiedział: „To jest dobre. Pokazuje wszystkie te zachwycające zmarszczki na twojej skórze. W «National Enquirer» oszaleliby na ich widok! «Bogini seksu umiera na AIDS! Unikatowe zdjęcia wewnątrz numeru!», „Kiedy skończył przeglądać fotografie i zachwycać się swoim pomysłem, upuścił je z powrotem na podłogę i siadł na skraju łóżka. „Tak byś wyglądała, Arlen, za mniej więcej kilka miesięcy. Hej, pamiętasz, co mówi twój ulubiony poeta, Charles Simic? «Wysłannikowi śmierci zawsze stoi». Pożyczyłem sobie od niego wiele strof”. Położył się na wznak na łóżku i ziewnął. Nie drgnęłam. „Prawdę mówiąc, Arlen, myśl o pieprzeniu się z tobą nudzi mnie. Tak jak i pozostawanie tutaj. Ty mnie nudzisz. Jeżeli masz jakieś pytania, zadzwoń do swego kumpla, Wyatta. On wie, kim jestem”. Wstał, a ostatnie słowa, które powiedział przed wyjściem, brzmiały: „Jeżeli kiedykolwiek będziesz chciała uśmiercić psa, użyj strychniny, jest niezwykle skuteczna”.



Wyatt jęknął i powoli wyprostował się.

- Kiedy wszedłem do restauracji i zobaczyłem, kto jest z tobą, omal nie umarłem.

Spojrzał na mnie i zaśmiał się. To był prawdziwy śmiech - pełny i głęboki.

- Cholernie chciałem poznać faceta, który skradł serce Arlen Ford. Pamiętałem go z tego jedyne krótkiego spotkania w hotelu, ale wszystko wtedy działo się tak szybko, że tylko bardzo niewyraźnie przypomiinałem sobie, jak wyglądał. Przy stoliku siedziałaś z Philipem Strayhornem!

- To był Phil? Rzeczywiście widziałeś obok mnie Strayhorna?

- Tak. I kiedy przedstawiłaś mi go jako Lelanda, popatrzył na mnie, uśmiechając się porozumiewawczo, jakbyśmy obaj brali udział w jakimś dowcipie. Sądzę, iż zawsze widzimy osoby ze swoich snów.

- Ale ja nie śnię tak jak ty i pozostali!

Wyatt potrząsnął głową, jakby powątpiewając w moje racje.

- Wiem, lecz to nawet gorzej dla ciebie, ponieważ przez cały czas był tutaj, w realnym życiu.

- Wynika z tego, że ciebie zabijał chorobą, a mnie niszcząc to, co kochałam najbardziej lub czemu bezgranicznie ufałam. Kiedyś zażartował, że ja ciągle sprzątam. Powiedział, iż wygląda to tak, jakbym utrzymywała dom w stałej gotowości na przyjęcie znajomych. Zanim przyjechałam do Austrii, nigdy nie byłam porządnicka. Teraz chciałam po prostu mieć ład wśród tych kilku przedmiotów, które mnie otaczały. Przynajmniej raz. Nie uważasz, że to lepsze, niż starać się zapamiętać, gdzie co leży? Sądzę, że porządkowałam swoje życie, żeby móc się z niego wycofać. Ale nadal mam do ciebie setki pytań, Wyatt.

Wyraz jego twarzy zmienił się momentalnie od smutku do wielkiej złości. Zwykle blade policzki pokryły się jaskrawym rumieńcem.

- Cóż mogę ci powiedzieć takiego, czego już nie wiesz? Śmierć jest tutaj! Co może być prostszego? Znajduje się prawdopodobnie w tym pokoju i słucha nas. Co to za różnica zresztą, gdzie ona jest? Dla mnie to Strayhorn, dla ciebie Leland, nieważne, jak naprawdę brzmi jej imię. Ludzi, których lubi, zabija bezboleśnie. Chciałem poznać prawdę, więc mój „kumpel” udzielał mi odpowiedzi na pytania. Rezultat? Jestem tak przerażony, że nie chce mi się nawet podnieść tyłka z tej kanapy. Jego wyjaśnienia nic nie znaczą, nie pomagają niczego zrozumieć. Ciebie, Arlen, nie lubi, zatem z jakichś tajemniczych lub głupich powodów sprawił, że to właśnie w nim się zakochałaś i to tak mocno jak nigdy dotąd. Kiedy doszło do tego, że zapragnęłaś dla niego umrzeć, naprawdę umrzeć, najpierw zabił twojego psa, potem

pokazał ci dziennik twojej matki, a na końcu doprowadził do poważnego zranienia przyjaciółki. Jak powiedziałaś sama, dotknął wszystkiego, co kochałaś. Wynik? Zapragnęłaś go tym bardziej, ponieważ stanowił ostatnią rzecz, jaka ci jeszcze pozostała. Mam rację? A potem, by cię dobić, pokazał ci te zdjęcia. Nie chciał marnować czasu na przespanie się z tobą i zarażenie cię HW, ponieważ byłaś dlań nudna. Nudna! I jakie tu możesz mieć jeszcze pytania, Arlen? Och, rozumiem, jestem facetem znającym te wszystkie wielkie odpowiedzi, ponieważ rozmawiałem i ze śmiercią. I myślisz, że znaczy to cokolwiek? Żadna i z wypowiedzianych przez nią kwestii w niczym nie pomaga, nie przystaje bowiem do teraźniejszości, do określonej minuty, w której żyjemy tu i teraz. Nie widzisz tego? Zaczął, dając ci wszystko, czego pragnęłaś - miłość, nadzieję, pociechę oraz wsparcie, kiedy byłaś przerażona, ale nic z tego nie przynosiło ci ulgi ani nie chroniło przed niczym. Być może przez chwilę sądziłaś nawet, że tak jest, lecz to nie była prawda. On działa podstępnie i zdradziecko. Popatrz na nas; oboje jesteśmy skończeni. Jak brzmiało to słowo? Chalef?

- Tak, „to, co życie zamienia w śmierć”. A on jest szochet.

- Masz rację. Zamów więc trumnę i spisz ostatnią wolę. To koniec.

Tego popołudnia, podczas gdy Wyatt siedział z drinkiem w dłoni i nie miał ochoty się odzywać, wzięłam rower i poszłam pojeździć. Często robiłam to już wcześniej, w Kalifornii, kiedy moje życie przypominało gotowanie potraw w szybkowarze. Brałam rower i jeździłam, aż byłam tak wyczerpana, że nie miałam siły nawet myśleć o tym, czym wcześniej zamartwiałam się na śmierć. Ponieważ mam dobrą kondycję, trwało to nieraz całe godziny, ale w rezultacie nigdy mnie nie zawiodło. Tym razem pojechałam wzdłuż Dunaju, zmuszając się do zawziętego pedałowania, aż ogień w moich stopach i gwałtowne bicie serca zdjęły ze mnie część strachu i pomieszania. Wiedziałam, iż nie zdołam w ten sposób uciec, ale nie zmniejszałam tempa jazdy i być może to pozwoliło mi myśleć jaśniej.

Jechałam obok wody, patrząc na przepływające bułgarskie oraz rosyjskie barki, na rozwieszane na nich sznury z praniem i na przybyłych z daleka ludzi kręcących się po pokładach. Myślałam o Lelandzie i swoim życiu oraz o tym, co się stało, co powiedział Wyatt i czy można coś zrobić, by to wszystko odwrócić. Minęłam kilka par starszych ludzi idących ramię w ramię i pokazujących sobie coś na drodze. Mijałam całe rodziny na spacerze, gdy nagle uświadomiłam sobie, że nigdy nie dane mi było zakosztować takiego życia. Przejeżdżałam obok dzieci i psów. Mój pies nie żył. On go zabił. Czym sobie zasłużyłam na jego nienawiść? W jaki sposób ktokolwiek zasłużył na śmierć? Jechałam wciąż naprzód. Dotarłam do centrum Wiednia, a potem wyjechałam z miasta - ciągle wzdłuż rzeki. Wokół pełno było ludzi opalających się i bawiących latającymi talerzami. Przypomniałam sobie

wycieczkę z Easterlingami na ich Szczęśliwe Wzgórze i brązowego psa, który tak lubił łapać rzutki. Pomyślałam o Minnie; a potem o nim, jak ją truje. Czym Minnie sobie na to zasłużyła? A co ja takiego zrobiłam? Czy to jest nienawiść? Czy śmierć po prostu nienawidzi - i to jest ta ostateczna odpowiedź? Nie ma innego powodu, ponad zwykłą wrogość, dla której wszystko to nam robi? Byłam na drodze poza miastem i powoli zaczęłam odczuwać zmęczenie; doszłam do wniosku, że muszę wkrótce się zatrzymać, bo nie będę miała dosyć sił, by wrócić do domu. Nie było tutaj zbyt wielu ludzi i zaczęłam się rozglądać za dogodnym miejscem na odpoczynek. Ścieżka obok rzeki jest wyboista - ogromne drzewa i dzikie, wybujałe krzewy otaczały mnie ze wszystkich stron. Żadnego człowieka - ludzie ośmielali się wyjść tak daleko poza miasto tylko podczas długich, niedzielnych spacerów lub idąc na ryby. Nagle dostrzegłam wielki zagon słoneczników rosnących na środku pustkowia i ich widok z niewiadomych powodów dodał mi otuchy. Ten, kto je tutaj zasiał, nie miał zapewne na względzie innego celu niż ich piękno. To spowodowało, że polubiłam owego nieznajomego ogrodnika, i doszłam do wniosku, iż jest to doskonały teren, by się położyć i odpocząć, a może nawet nieco zdrzemnąć. Rzeczywiście usnęłam niemal momentalnie.

Obudziłam się, czując na twarzy coś gorącego. Dzień był upalny, więc mocno spociłam się podczas jazdy na rowerze. Ponieważ spałam bardzo głęboko, gorąco na moim policzku musiało być istotnie wielkie, skoro się ocknęłam. Pierwszą rzecz, którą ujrzałam po otwarciu oczu, był ogromny, nabrzmiały członek. Spoczywał na moim policzku i oprócz tego, że był rozpalony, miał także odpowiednią wagę. Swoje w życiu widziałam, ale ten kutas naprawdę szokował wielkością i ciężarem. Trudno to sobie wyobrazić: przychodzisz do siebie po przebudzeniu z ciężkiego snu i widzisz coś podobnego o cal od oka! Próbujesz się poderwać, ale jakaś żelazna dłoń przytrzymuje cię tak mocno, że nie możesz się ruszyć bez względu na to, jak się wysilasz. Wyobrazi to sobie! A potem eksploduje w tobie bomba strachu i jesteś przerażona do szpiku kości, ponieważ w sekundę później orientujesz się już, kto - ze słońcem ponad ramieniem, wznosi się groźnie nad tobą. To on. Wystarczy ci zobaczyć jego uśmiech, by wiedzieć wszystko.

- Nie wysłuchałeś mojej prośby tamtej nocy - powiedziałam. - Wysłannikowi śmierci zawsze stoi". Zatem masz mnie, kochanie, jestem twoja. Nie wykorzystaliśmy poprzedniej możliwości, więc teraz masz wielką szansę. Chcesz tego?

Odepchnęłam go. A raczej pozwolił mi się odepchnąć. Pozostał przykucnięty, uśmiechając się nadal, a jego wielki penis sterczał zawadiacko z rozpiętych dżinsów.

- Wyglądałaś niczym Śpiąca Królowna, Arlen. Pomyślałem, że nieco zmienię zakończenie bajki i pozwolę, by obudził cię jego pocałunek.

Nie śpieszyłam się i byłam z tego powodu dumna z siebie. Podniosłam rower i zaczęłam pchać go przed sobą, nie oglądając się ani razu; nie chciałam dać mu tej satysfakcji. Zawołał za mną:

- Wszystko, co do ciebie mówiłem, było kradzione! Należało do kogoś innego. Czy naprawdę sądziłaś, że zasługujesz na coś oryginalnego? Naprawdę?

Wsiadłam na rower i wolno nacisnęłam na pedały. Raz o mało nie upadłam, ale nie śpieszyłam się. Nie zamierzałam śpieszyć się przy nim. Gdzieś, w jakiś sposób, miało to wielkie znaczenie.

Po tym spotkaniu nie zaszło już nic znaczącego i więcej nie widziałam Lelanda. Na kilka dni przed wyjazdem Wyatta do Stanów nakłoniłam go, by poszedł ze mną do szpitala dziecięcego. Cóż można było więcej zrobić, zanim nastąpi nasz koniec? Po tym wszystkim byłam przekonana, że teraz białaczka Wyatta rozwinie się na dobre, podczas gdy mój los dopełni się za sprawą jakichś przyczyn zewnętrznych - wypadku albo także nagłej choroby. Pomimo strachu i zamętu, jakie hulały dziko w komnatach mego serca oraz umysłu, szybciej niż sądziłam, iż byłoby to możliwe, znenawidziłam fakt, że w ogóle się urodziłam. Nigdy wcześniej nie czułam podobnej nienawiści.

Jakim prawem śmierć ogołaca nas ze wszystkiego, co ma dla nas znaczenie, by potem zabić? Czy chodzi jej o doprowadzenie naszych ciał do zupełnej słabości i poniżenia lub do utraty tego, co miało dla nas jakąkolwiek wagę albo wartość? Chce nas zredukować do stanu więźniów obozów koncentracyjnych, stojących nago, ze świeżo ogolonymi głowami przed frontem szydyczko spoglądających żołnierzy, zanim zostaną wysłani na zagładę? To nie było tylko złe; to było wręcz niepotrzebne.

Tak więc śmierć przypominała mi greckich bogów - urażonych, swawolnych i odrażających. Choćby z tego powodu nie lubiłam nigdy mitów starożytnych Greków. Jeżeli ich bogowie posiadali budzącą grozę władzę, po co schodzili na ziemię? By sypiać z niczego nie podejrzewającymi kobietami? W jakim celu dręczyli przyzwoitych mężczyzn, którzy byli zupełnie bez szans wobec ich mocy? Po co się naprzykrzali?

Mówiłam o tym wszystkim Wyattowi, ale miał taki mętlik w głowie, że niepodobna było go skłonić, by mnie słuchał. Powiedziałam mu, że musimy spojrzeć na to tak: Leland zabije nas, to pewne, ale zanim to nastąpi, powinniśmy w tych ostatnich dniach postępować tak, jak my chcemy, a nie pozwalać mu, żeby strachem wymusił na nas posłuszeństwo. Wyatt odrzekł, że to zawracanie głowy, bo Leland doskonale wie, iż teraz ze wszystkich sił staramy

się usunąć z naszych umysłów myśli o tym, co nieuniknione. Może była to prawda, ale mój sposób wydawał się lepszy od nierobienia niczego, i w końcu zgodził się ze mną.

Uzgodniłam z dyrekcją szpitala, by oddano nam do dyspozycji dużą salę, w której Wyatt mógłby odegrać coś w rodzaju niewielkiego, wielojęzycznego *Finky Linky Show* dla wszystkich dzieci, które czuły się na tyle dobrze, by uczestniczyć w tej zabawie. Rankiem tego dnia Wyatt zszedł do kuchni bardzo mizerny; wyglądał na zmęczonego. Kiedy postawiłam przed nim talerz ze śniadaniem, złapał mnie za ramię. Uśmiechając się, powiedział, iż ma wrażenie, że to będzie jego ostatni występ.

- I tak nigdy nie sądziłeś, że jeszcze kiedyś wcielisz się w Finky'ego Linky'ego, więc o ten jeden raz jesteś do przodu, nie sądzisz? - odparłam bez chwili namysłu. - Chyba masz rację - stwierdził.

Zatrzymaliśmy się przy sklepie z różnymi gadżetami i za sto dolarów nakupiliśmy gumowych piłek, masek, kolorowych wstążek, kart do robienia sztuczek i innych tajemniczych przedmiotów znanych prestidigitatorom, o których nie miałam dotąd zielonego pojęcia, natomiast Wyatt i właściciel sklepu zapalali do siebie prawdziwą sympatią, zwłaszcza kiedy sprzedawca zorientował się, że ma do czynienia z prawdziwym mistrzem tej sztuki. Staruszek powędrował nawet na strych i w inne zakątki na zapleczu i znalazł tam przedmioty, których zastosowanie znali tylko oni dwaj. Kiedy wracaliśmy z Wyattem do samochodu, uginaliśmy się pod ciężarem pakunków. W pewnym momencie odwrócił się do mnie i powiedział:

- Dzięki, Arlen. Bez ciebie zapomniałbym, jak uwielbiam to robić.

Chciało mi się płakać, ale wiedziałam, że wytrąciłoby go to z równowagi, więc tylko zrobiłam jedną ze swych komediowych min i odparłam, że to wszystko z czystego egoizmu - tak samo jak dzieci pragnę obejrzeć jego przedstawienie.

Nikt w szpitalu nie wiedział oczywiście, kim jest Finky Linky, co nie przeszkadzało temu, iż wszyscy z radością oczekiwali zabawy i w mig spełniali wszelkie polecenia Wyatta. Kilka pielęgniarek mówiło dobrze po angielsku, więc pomagały mi w tłumaczeniu.

Spełniła się moja rozpaczliwa nadzieja - Wyatt okazał się wspaniały. Kiedy dzieci weszły do sali, był już na pełnych obrotach - tańcząc od jednego dziecka do drugiego, wydobywał z ich uszu lub z włosów gumowe stworzonka i dawał je im w prezencie, śpiewał piosenki w jakimś nonsensownym języku i zachęcał je, by mu w tym towarzyszyły. Przebierał się i zmieniał maski, a w rękach wyczarowywał ogień, który zamieniwszy następnie w wielokolorowy, wielokształtny dym, wyrzucał w powietrze. Połykał noże i wyhodował kwiat na otwartej dłoni. Dzieci ogarnęły entuzjazm i wyklaskiwały bis za bisem;

nie zawiódł ich ani razu. Żonglując piłkami, odgrywał jednocześnie numer brzuchomówcy, wykorzystując mnie jako partnerkę. Zademonstrował cudowną pantomimę i pokazał wiele sztuczek z monetami... Skończył przedstawienie, kiedy stało się oczywiste, że podniecenie, jakiego doznawały dzieci, może je nadmiernie zmęczyć i wyczerpać. Zamknął występ kwestią, której nigdy wcześniej nie słyszałam, a którą powtórzył w trzech różnych językach: „Ten, czyja twarz nigdy nie zajaśniała światłem, nie zostanie gwiazdą”. Kiedy zapytałam go potem o ten cytat wyjaśnił, że to z Williama Blake’a i że dotychczas powiedział to tylko raz komuś, kogo kochał. Chciałam wiedzieć, co się stało z tamtym człowiekiem, i Wyatt odparł, że odszedł, ale ciągle ma nadzieje, iż kiedyś wróci.

Wypiliśmy po szklaneczce wina w towarzystwie lekarzy i pielęgniarek i czas było iść do domu. Kiedy wychodziliśmy, przypomniałam sobie nagle, że dziecka, któremu czytałam zawsze podczas swych wizyt w szpitalu, nie było na przedstawieniu. Zapytałam pielęgniarkę o tę dziewczynkę i usłyszałam, że umiera. Dlaczego niezmiennie jestem zaskoczona, słysząc podobne wieści w takim miejscu jak szpital, gdzie śmierć codziennie podpisuje listę obecności? Pragnęłam zobaczyć małą i pielęgniarka poszła sprawdzić, czy mogę ją odwiedzić. Wyatt usiadł, biorąc głęboki oddech.

- Jesteś pewna, Arlen, że tego chcesz? To nie ułatwi niczego ani tobie, ani jej.

- Wiem, ale muszę to zrobić.

Pielęgniarka wróciła, mówiąc, żebym za nią poszła. Wyatt podniósł się z zamiarem towarzyszenia mi, ale poprosiłam, by został. Odparł, że może zdoła wywołać ślad uśmiechu na buzi dziewczynki; objęłam go za szyję i pocałowałam w ucho. Skręcając co chwilę, przemierzyliśmy kilka korytarzy. Oddychałam głośno, choć usiłowałam zapanować nad tym. Wejdziemy, a jeśli ucieszy się na nasz widok, zostaniemy na chwilę, i może uda się nam sprawić jej odrobinę radości.

Ale było gorzej, dużo gorzej, niż myślałam. Kiedy pielęgniarka otworzyła drzwi separatki, ujrzelśmy, że pomieszczenie jest niemal zupełnie ciemne, z wyjątkiem biegnącego od na wpół zasłoniętego okna i padającego na łóżko pasa światła. Mała dziewczynka, Uschi Soding, była drobną, nieomal nierozpoznawalną istotką skrytą pod sztywnym, białym prześcieradłem. Cierpiała na raka żołądka, ale zapamiętałam ją jako małe, łyse, wesołe i niegrzeczne dziecko, które lubiło podejść i wcisnąć mi się pod ramię, kiedy czytałam coś reszcie dzieciaków. Pewnego razu uszczypnęła mnie w sutek, a potem roześmiała się hałaśliwie, kiedy ze zdumienia upuściłam książkę. Dzisiaj prawie nic z niej już nie zostało; o tym, że jeszcze żyje, świadczył tylko puls i powolny ruch powiek, którym zamykała i otwierała oczy. Pielęgniarka szepnęła mi, iż spodziewają się końca w każdej chwili. Już sam

ten widok powinien rozerwać mi duszę, ale ja jeszcze spojrzałam na jej ręce i zobaczyłam... Sądzę, że Uschi nie była świadoma naszej obecności, a nawet gdyby wiedziała, że jesteśmy, to była tak wyczerpana, iż nie mogła nic uczynić. Jej wzrok oraz cała uwaga skupiły się na małym przedmiocie ściskanym w ręczce i ledwie opartym o klatkę piersiową. Był to niewielki, błyszczący, srebrny wiatraczek, taki, jaki na pamiątkę kupuje się w Amsterdamie. Biegające od okna światło przepływało ponad jej ręką i dopiero po chwili zrozumiałam, co - resztką sił - robi ta mała. Powoli przesuwiała palec w poprzek wiatraczka, zasłaniając padające nań światło. Potem cofała go. W tę i z powrotem. Światło i ciemność. Spojrzałam w stronę Wyatta, by sprawdzić, czy to widzi, ale stał odwrócony ze wzrokiem wbitym w podłogę, pielęgniarka dotknęła mego ramienia, dając znak, że powinniśmy wyjść. Byłam przerażona. Chciałam tu nadal stać i patrzeć, co robi Uschi, by upewnić się, że to prawda, ale kobieta w białym kitlu ujęła mnie pod ramię i wyprowadziła na korytarz.

Wszystkie zabawki kupione w magicznym sklepie rozdaliśmy dzieciom, wychodziliśmy więc z Wyattem ze szpitala z ciężarem własnego milczenia. Pragnęłam mu opowiedzieć o tym, co przed chwilą ujrzałam, lecz musiałam się nad tym jeszcze zastanowić. Kiedy ruszyliśmy w stronę samochodu, Wyatt odezwał się, nie patrząc na mnie:

- Czy znasz Claire Stansfield, dziewczynę Kairy'ego Raddiffe'a?

- Jasne, robiłam zakupy w jej sklepie.

- Jakiś czas temu przeniosła się do RPA. Harry powiedział mi, że kiedy ostatni raz rozmawiał z nią przez telefon, był gotów prosić ją, by wróciła. Zamierzał błagać ją o to, bo nie mógł bez niej żyć. Jednak kiedy tylko usłyszał w słuchawce jej „Cześć, Harry” od razu poznał, że wszystko skończone; nie miał żadnych szans. Wcześniej, kiedy wiedziała, że to on jest po drugiej stronie linii, w jej głosie słychać było szczęście, a jej „cześć!” kipiało miłością. Tym razem natomiast, jak mi powiedział, brzmiało to najbardziej nieczule, martwo i żałośnie, jak tylko można sobie wyobrazić. I teraz, Arlen, ta dziewczynka tutaj... Od dawna wiem, co się ze mną dzieje, ale jej widok, tak małej... Było to dla mnie czymś podobnym do owego kończącego wszystko „cześć”, które usłyszał Radcliffe. Inne dzieciaki były wspaniałe; niby wiesz, że cierpią, ale nadal są dziećmi i jest w nich życie. W niej już go nie ma. Boże, dlaczego tam poszedłem? To mi przypomniało, że i mnie czeka ostatni pobyt w szpitalu, i stojąc tam, wyobraziłem sobie, jaki będzie mój kres.

- Poczekaj, Wyatt, coś ci powiem...

- Emmy?!

Odwrociłam się, zanim wykrzyknął jej imię, ponieważ dostrzegłam, iż wyraz jego twarzy zmienia się z gorzkiej żalości w nagle zdumienie. Kiedy ją ujrzałam, zrozumiałam tę

zmianę. Od czasu gdy Wyatt zamieszkał u mnie, I wiele mi opowiadał i jedną z owych opowieści stanowiła historia Emmy oraz rola, jaką odegrał w niej Leland. Nie żyła, nie wiedząc o tym. Pamiętałam ją ze spotkania w kawiarni, głównie za sprawą zazdrości, jaką wywołała myślą, że mój mężczyzna był związany, obojętnie kiedy, z ową posagową pięknoscią.

- Wyatt! Cześć! Jak dobrze, że cię widzę. Muszę ci to opowiedzieć, bo wydarzyło się coś wspaniałego!

Była wystrojona niczym Barbie wybierająca się na przyjęcie urodzinowe Kena. Wyatt przedstawił nas sobie, choć byłam przekonana, iż powinna mnie pamiętać; niczego takiego jednak nie stwierdziłam w jej zachowaniu. Poza tym była zbyt podniecona, by zawracać sobie głowę drobiazgami.

- Macie czas, żeby wypić ze mną kawę? Musi tu być jakiś barek w pobliżu.

Wyatt spojrzał na mnie pytająco, skinęłam więc głową. Miałam ochotę zadać jej kilka pytań, zwłaszcza teraz, kiedy poznałam jej tajemnicę. Może są sprawy, o których mogłaby nam opowiedzieć? Modliłam się, by były.

Kilka kroków od szpitala zauważyliśmy małą kafejkę; wewnątrz siedziały jakieś niebieskie ptaki, lumpy oraz biedota, każdy nad kieliszkiem wina lub czegoś mocniejszego; rozmawiali cicho, a na nasz widok wszystkie pogwarki ucichły. Emmy nie zwróciła na to uwagi, tylko radośnie wskazała nam stolik. Kiedy usiedliśmy, natychmiast zaczęła opowiadać:

- To wspaniale! Wam pierwszym o tym mówię. Mężczyzna, w którym byłam zakochana, mam na myśli taką prawdziwą miłość, wrócił do mnie! Czyż to nie jest nieprawdopodobne?! Nie widziałam go, odkąd ze sobą zerwaliśmy, ale dzisiaj, dwie godziny temu, idę sobie przez Obere Donaustrasse i kogóż to widzę zmierzającego prosto w moim kierunku? Właśnie jego! To zupełnie niesamowite! Tu? W Wiedniu? W ogóle nie był zdziwiony moim widokiem. Podeszedł do mnie, pocałował gorąco i powiedział: „Co słychać?” Zupełnie, jakbyśmy rozstali się zaledwie wczoraj. Zachichotała, a potem, co wyglądało dziwnie, pogłaskała kilka razy swój nos. - Nie wiem, jak dawno się nie widzieliśmy, i wierzcie mi, to był naprawdę okropny czas. Przez pół roku opłakiwałam nasze rozstanie. Ale dzisiaj był tutaj i, co najlepsze, wydawał się zadowolony z naszego spotkania! Zapytał, czy nie zjadłabym z nim kolacji dziś wieczorem!

- Emmy, czy ty mnie poznajesz?

- Słucham?



- Wiesz, kim jestem? Rozpoznajesz mnie? - Pochyliłam się ku niej i wpatrzyłam w jej twarz.

- No, wiem... trudno tego nie wiedzieć. Jesteś Arlen Ford.

Dlaczego o to pytasz?

- Pamiętasz? Kiedyś już się spotkałyśmy.

- Nie. A poznałyśmy się już? Myślę, że pamiętałabym o tym.

Oboje z Wyattem spojrzeliśmy na siebie, a potem na nią.

- Jak nazywa się twój ukochany?

- Leland. Leland Zivic.

- Co robi?

- Wykłada literaturę w Grinnell College. - Zadrżała, a jej oczy powędrowały ode mnie do Wyatta. - Dlaczego pytasz?

Wyatt spojrział na mnie.

- Dlaczego on używa wobec niej tego samego nazwiska? - spytał.

- Nie wiem. Może ono coś dla niego znaczy.

- O co chodzi z tym nazwiskiem? O czym wy w ogóle mówicie? Znacie Lelanda?

Przy barze rozdzwonił się telefon, ale ledwie zarejestrowałam ten dźwięk. W mojej głowie aż buzowało od nadmiaru pytań i różnych ewentualności, lecz zanim zdążyłam powiedzieć cokolwiek, do naszego stolika podszedł kelner z pytaniem, czy jest tutaj Frau Marhoun. Ktoś prosi ją do telefonu. Emmy wstała szybko i odeszła, rzucając nam niespokojne spojrzenie.

- Kto mógł wiedzieć, że jesteśmy tutaj?

- Zgadnij, Arlen. Masz jeden strzał. Obserwowaliśmy, jak Emmy podnosi słuchawkę, mówi do niej kilka zdań, a potem odkładają. Zamachała do nas obiema rękami w geście wyrażającym niesłychany pośpiech. Znalazła się za drzwiami szybciej, niż którekolwiek z nas mogło zareagować.

- Co się dzieje?

- Bawi się z nami. Chciał, żebyśmy ją zobaczyli, a teraz ją zwolnił. Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. Biedaczka. Dlaczego on...

- Cześć, dzieciaki. Czy ktoś z was widział może cudowną Emmy?

Musiał wyjść ze znajdujących się za naszymi plecami drzwi toalety. Na głowie miał baseballową czapkę z napisem Japan Professional Baseball - Hanshin Tigers, a na sobie koszulkę w biało-czarną kratę, wymarzoną dla miłośnika krzyżówek. I czapka, i T-shirt były moje. Odsunął krzesło i usiadł.

- Byłem umówiony z nią na kolację, ale nie pokazała się. Zadzwoiłem i okazało się, że jest tutaj. To wina telekomunikacji, jak sądzę, jakieś błędne połączenie. Daleś wspomniała show, Wyatt; byłem tym dzieckiem po twojej lewej ręce, tym z kolostomią.

- Dlaczego dopuściłeś do tego, żeby Emmy nas spotkała?

- Ja nie dopuściłem; ja nią sterowałem, ponieważ nadszedł jej czas i pomyślałem sobie, że wasza trójka mogłaby wypić pożegnalnego drinka.

- Przecież ona już nie żyje!

Próbowałam powiedzieć to zjadliwie, ale wyszło tak, jakbym była przestraszona.

- Owszem, to prawda, ale dowie się o tym dopiero dzisiaj. To wielka różnica. Zjemy razem kolację, potem pójdziemy do łóżka jak za dobrych, dawnych dni i zgadnijcie, co się stanie, kiedy osiągnie orgazm? Bum! Czy to by ci się podobało, Arlen? Nasze pierwsze wielkie rżnięcie bez groźby złapania AIDS i perspektywy powolnego, dramatycznego umierania, niczym Camille z twojej ostatniej wielkiej roli. Pójdziemy do domu? Jeszcze nie jest za późno, ciągle możemy to zrobić!

Mówił rozleniwionym, żartobliwym tonem, a ja zapragnęłam sięgnąć przez stół i strzelić go w głowę. Durny pomysł. Spoliczkować śmierć? Przecież to on trzymał w ręku wszystkie karty, a my byliśmy jedynie dwiema spośród wielu.

- Po co tu przyszedłeś? Czy i na nas już pora?

- Skądże! Macie jeszcze kupę czasu, żeby się sobą nacieszyć. Przybyłem, by pokazać coś, co jak sądzę, obojgu wam się spodoba. Tak naprawdę jestem nawet o tym przekonany, więc zrobię to, czy tego chcecie czy nie. To niezwykle oryginalne. Tak bardzo znudziło mnie powielanie starych sztuczek, że postanowiłem podnieść sobie poprzeczkę i wypracować nowe pomysły. Część z nich jest całkiem niezła. Nie wszystkie, oczywiście, tylko niektóre. Najpierw ty, Ar - len. Wiesz, że znam cię bardzo dobrze. Nie rozumiesz, dlaczego każde z was otrzymało swój krzyż na inny sposób. Zatem pokażę wam, pokażę to wam obojgu.

- Co takiego?

- Prawdę o was.

- Co przez to rozumiesz?

- Daj spokój, nie bądź taka niecierpliwa. Przecież Wyatt miał prawo wykonać swój pokaz według własnego widzimisię. Teraz moja kolej.

Zabrzmiało to nad wyraz groźnie, jakby strofował nas, iż nie dosyć doceniamy łaskę, jaką nas obdarzał. Zachowywał się zupełnie jak człowiek, pamiętałam jednak, że dla niego była to tylko gra i zabawa. Zanim zaczął mówić dalej, skinął na kelnera i zamówił piwo, pytając, czy i my nie życzylibyśmy sobie czegoś.

- Dziesięć lat życia - powiedział Wyatt, a Leland roześmiał się, pokazując wszystkie zęby.

- Wspaniale, Wyatt. To jest to, co mi się w tobie podoba najbardziej. Finky Linky, zawsze najlepszy. To nie moja branża, ale kto wie? Życie jest przecież pełne niespodzianek. Nie, mam zamiar dać wam coś znacznie lepszego niż dziesięć następnych lat. Chcę wam darować wasze życie.

Na te słowa oboje musieliśmy chyba poderwać się na równe nogi, oparł bowiem dłonie na naszych ramionach, zmuszając nas w ten sposób do pozostania na miejscach.

- Nie, nie o to chodzi. Mam zamiar dać wam wasze życie takie, jakie naprawdę było. Arlen, ty jesteś wielką entuzjastką poezji. Pamiętasz Delmore'a Schwartza? Nie? To dziwne, jego książka znajduje się w twojej bibliotece na trzeciej półce od dołu. Spodobał mi się. Jest tam jeden osobliwie wielki i wspaniały wiersz. Muszę sparafrazować ten tekst, ponieważ nigdy nie miałem okazji nauczyć się go, wzorem aktorów, na pamięć. „Nikt naprawdę nie zna innych ludzi, nie wiedzą oni bowiem, co reszta świata o nich myśli”. Trafił w samo sedno. Wszyscy jesteśmy tutaj przyjaciółmi, więc wyznam wam pewien sekret. Otóż problem z ludźmi polega na tym, iż bez względu na to, jak bardzo im się wydaje, że znają innych, naprawdę nie wiedzą o nich nic, ponieważ nie mają pojęcia, co ci inni o nich sądzą.

- Już to mówiłeś - nie mogłam się powstrzymać od drobnej złośliwości.

Jego twarz błysnęła groźnie, ale zaraz się uśmiechnął.

- Nie ja, to Delmore. I miał stuprocentową rację. Zamierzam teraz pozwolić wam przeżyć wszystko na nowo. Będziecie przy tym dysponowali nieograniczoną wiedzą o tym, co myśli wasze otoczenie. O was, o waszym życiu, pracy i dokonaniach. Dopuszczę was nawet do poznania wymierzonych w was intryg oraz innych niespodzianek.

Bez chwili zastanowienia pojęłam, jak przerażający jest ten pomysł.

- Jaki jest tego cel?

- Taki, by ci pokazać, dlaczego nie lubię ciebie, a lubię Finky'ego. To jest to, co w głębi serca chcielibyście wiedzieć, czyż nie?

- To więcej, niżbyśmy chcieli...

- To zawsze jest więcej, skarbie, ale ja tak chcę i tak się stanie.

Kelner przyniósł piwo, Leland podziękował mu. Pociągnął długi łyk i starł pianę z ust.

- To jest iluminacja, oświecenie. Faceci całymi latami żyją na szczytach gór, by dostąpić tego, co ja wam daję gratis.

- Czy dowiem się czegoś więcej o tym, co myślała o mnie matka?

- Tylko częściowo. Ale są tam również dobre rzeczy, o których do tej pory nie miałaś pojęcia. Teraz wreszcie je poznasz. Wyatt wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Lelanda.

- Nie chcę - powiedział. - Nie rób mi tego.

- To już się dokonało.

Oto, czego się dowiedziałam:

Najpierw odezwały się komórki. Śpiewały jedna do drugiej, kiedy poruszały się, dzieliły i wzrastały. Były pewne tego, co robią, niczym robotnicy znający dobrze swoje zadanie oraz rzemiosło i znajdujący przyjemność w samym budowaniu. Nieważne było dla nich, co aktualnie tworzą. Ci budowniczości nie mają pojęcia, jaki ma być efekt ich pracy; mają tylko własną, konkretną rolę. To ktoś inny mówi im o poziomowaniu, kątach, powierzchni zabudowy i odległościach. Wcale nie jest im przykro, że wiedzą tak niewiele. Są tutaj, by wykonać, co im zlecono - i to im wystarcza. To jest ich życie. Umierają łatwo i bez sprzeciwu, bo nie są świadomi, czym jest śmierć. Ona przychodzi, a oni odchodzą. Nie mają imion ani znaków rozpoznawczych. Rodzą się następni, zajmują ich miejsce i wykonują tę samą robotę. Ich praca jest nieprawdopodobnie trudna, ale oni nie znają tego słowa, więc dla nich jest prosta. Powoli, po miesiącach, ich trud jednoczy się i rośnie, wypełniony miliardami głosów dyktujących im bezustannie, co trzeba zrobić w następnej kolejności, kto gdzie ma się przemieścić i co musi być wykonane na czas.

Świadomość nadchodzi wolno, niczym gęsty miód spływający z łyżki. Odczuwanie. Dotknięcie. Co to jest? Świadomość pojawia się, ale nie tyle oznacza „jestem tutaj”, ile polega na odkryciu nagłej jedności osobnych do tej pory części. Miód spływa na powierzchnię stołu, formując wzgórek rozlewający się niczym topniejący lód, podczas gdy z góry spada kolejna porcja gęstej słodkości; znowu powstaje wybrzuszenie i ponownie znika. Kiedy miód przestaje kapać, kałuża z wolna przyjmuje kształt i ostateczną formę. To jest koniec. Jest to, co jest.

Urodziłam się pierwszego września podczas pełni księżyca i wszystkie pływy na ziemi, wliczając w to parcie i westchnienia mojej matki, było mi znane. Jak komórki organizmu, wszystko działało niczym orkiestra symfoniczna! W pobliżu Przylądka Dobrej Nadziei ciągnięto w stronę brzegu wielką rybę i rozgrywała się tam pełna wzajemnego szacunku bitwa pomiędzy wodą a tymi, którzy zdecydowali i się wtargnąć w jej królestwo. Marokańska dziewczyna spojrzała między swe uda i z krzykiem pobiegła do matki przerażona kobiecością, która zniemacka ją dopadła. W Turcji pewien mężczyzna imieniem

Harun przyglądał się śpiącej kobiecie i powiedział do niej w duszy „tak”, chociaż decyzja należała do księżycy, a nie do niego.

Wiedziałam to wszystko. Gdy tylko przysłam na świat skąpana w krzyku i krwi swej matki, wiedziałam od razu, że nie ma żadnych różnic, ale ujawnią się one niebawem, ponieważ mój mózg zaczął już pękać, dzieląc się na milion ośrodków; zalew strachu początkowych chwil życia, kiedy przede wszystkim dociera do ciebie to, że od tej pory jesteś już na zawsze samotna i trzeba zapomnieć o tym, iż jeszcze całkiem niedawno stanowiłaś z kimś jedność.

Matka nienawidziła mnie od samego początku. Nie znosiła wywołanej ciążą tuszy, brzydkiej cery oraz tego, że jej ulubiona letnia sukienka opina się jej na brzuchu; także tej stałej potrzeby własnego ciała, by wszystko dzielić na dwa, zawsze na dwa.

Pomyliła się po prostu. Wcześniej uważała, że dziecko ocali jej życie, da cel i odpowie na pytanie, kim właściwie jest ona sama. A otrzymała jedynie odpowiedzialność za kogoś drugiego. Poczula się oszukana. Winiła za to wszystko i wszystkich - miłość, mego ojca, a najbardziej mnie. Byłam dowodem tego oszustwa; przeklętym, samolubnym dowodem, że popełniła błąd w swoim wyborze i już nigdy nie będzie miała okazji go naprawić. Gdy byłam starsza, zapomniała już, co było główną przyczyną jej rozpacz, i myślała o mnie inaczej. Prawie wszystko u niej było tymczasowe, jakby ponownie, po nieomal tragicznym upadku, próbowała ślizgać się w poprzek cierpienia swego życia.

Tymczasem komórki kontynuowały swój śpiew, ale ja byłam dzieckiem i radość oraz zamęt, które się skądś we mnie pojawiły, zagłuszały ich subtelną melodię. Poznałam miłość, która każdego dnia pokazywała mi inne oblicze, pragnęłam jej, ale była nieuchwytna jak mucha; bzycała coraz głośniej prosto w twarz, wywołując nowe dźwięki w umyśle, ale kiedy starałam się odnaleźć ją wzrokiem, ukazywała się zawsze nie w tym miejscu, gdzie można się było jej spodziewać. Świat, który przyszło mi poznawać, był jednocześnie czarujący i perfidny; wzbudzał we mnie chęć znajdowania się wszędzie naraz, tak jak mi się to już raz udało bez wysiłku z mojej strony. Wysiłek. Poznałam, co to znaczy, jednak nie uczyniło mnie to dobrą. Wszystko teraz było rozszczerzone i śpiewało swe pieśni, które były chwilami piękne, a chwilami wstrętne, ale bardzo głośne, i uderzały we mnie ze straszliwą siłą.

Pierwszą osobą, co do której byłam przekonana, że ją kocham - wiedziałam o tym na pewno - była wysoka kobieta o męskiej, małej twarzy - najlepsza przyjaciółka mojej matki. Pierwszy raz doznałam zawodu, kiedy sięgnąwszy do jej kolczyków, przekonałam się, iż nie mogę ich dotknąć. Dni mego życia przeplatały się; bombardowały mnie nieznane sprawy, które teraz okazywały się jasne i zrozumiałe. Na tym polegało okrucieństwo Lelanda: co

dobrego mogę począć z jego darem? Czy dzięki tej wiedzy mój los będzie lepszy? Czy pokocham ludzi, którzy mnie kochają? Czy moje życie stałoby się pełne, gdybym wiedziała o wartości tego daru? Kiedy tworzyłam swoje życie, ignorując to, czego nie wiedziałam lub nie rozumiałam, rzeźbiłam swą duszę do pewnej formy, to fakt; jednak to, co odłupywałam i odrzucałam, okazało się niezbędne.

„Prezent” Lelanda był wycieczką do piekła, które całkowicie i beznadziejnie było moim własnym. Tortura nie polegała na wbijających się w ciało nożach ani na skwierczeniu w ogniu, lecz na zaniedbaniu i zlekceważeniu oraz niedocenieniu i niedostrzeżeniu mnóstwa rzeczy, które w porę zauważone mogły się stać moimi i uczynić mnie szczęśliwą. Do tego jednak nigdy nie doszło.

Nie mam pojęcia, jak długo to trwało, ale kiedy wróciłam do realnego życia, nasza trójka nadal siedziała w zaniedbanej kafejce, a jedyna różnica polegała na tym, że Leland zajadał ze smakiem frankfurterkę, maczając ją w żółtej musztardzie. Spojrzałam na niego, ale wzrok miał utkwiony w talerzu. Powrót do rzeczywistości był gwałtowny i natychmiastowy; jeszcze tylko utracone zmysły wypełniały każdy zakątek mojego ciała.

Kiedy wolno przeniosłam wzrok na Wyatta, wpatrywał się w blat stolika z wyrazem twarzy, który - jestem tego pewna - oddawał te same uczucia, co moje rysy - oszołomienia, zagubienia, oddalenie o lata świetlne. Chciałam się odezwać lub usłyszeć głos Wyatta, byle bym nie musiała słuchać wyrażanych wesołym tonem pogróżek Lelanda.

Zgodnie z oczekiwaniem Wyatt odezwał się pierwszy, lecz powiedział coś, co wzięwszy pod uwagę przeżyte doświadczenie, było zupełnie zaskakujące. Podniósł wzrok, a jego twarz wyrażała zdumienie.

- Zupełnie o tym wszystkim zapomniałem.

- O czym, Finky?

- Jak naprawdę wyglądały ostatnie dni życia mego ojca. Zapomniałem okres bezpośrednio poprzedzający jego śmierć.

- To było przyjemne?

Wyatt otworzył usta, chcąc odpowiedzieć, ale zawahał się.

- To? Tak. Tak, było. Rzeczywiście było miłe. - Widzisz, mówiłem ci, że doznasz także przyjemnych wrażeń. A jaka była twoja podróż, Arlen?

Nie odpowiedziałam; on i tak wiedział bardzo dokładnie. Za to znowu odezwał się Wyatt:

- Nie mogę uwierzyć, że tego nie pamiętałem. Tuż przed śmiercią ojca poszliśmy do niego oboje z matką. Było z nim już bardzo źle, ale on resztki energii, jaka mu pozostała, trwonił na gniew. Złościł się na życie, na matkę, na mnie. Wściekał się na wszystko.

- Nie był szczęśliwy, co?

- Nigdy, przez całe swe życie, więc czegoż można było oczekiwać na koniec? Kiedy tam siedziałem, chciałem żartami podnieść go na duchu, ale nie chwycił żadnego. Mówiłem do niego i czytałem mu fragmenty jego ulubionych książek, lecz co kilka minut krzyczał z bólu lub złości. Po paru dniach stało się to trudne do wytrzymania i długo rozważaliśmy z matką, czy oddać go do szpitala, jednak żadne z nas nie umiało się na to zdobyć. W końcu doszło do tego, ale to nie stało się tak zaraz. Pewnej nocy, bardzo późno, obudziłem się, słysząc krzyk. Pobiegnęłam do jego pokoju. Matka była bardzo wyczerpana, więc powiedziałem jej, by wracała do łóżka, a ja będę się nim zajmował tak długo, jak na to pozwoli. Usłyszał to, roześmiał się i powiedział: „Żadnego z was nie potrzebuję. Muszę umrzeć i mieć to wszystko z głowy”.

Spojrzałam na Lelanda. Wzruszył ramionami i rzekł: - Jego ojciec miał rację, nie zrobił w życiu nikomu nic dobrego.

Wyatt mówił dalej, jakby w ogóle tego nie usłyszał:

- Usiadłem więc w ciemnym pokoju obok jego łóżka i rzekłem: „Tato, chciałbym, żebyś mi opowiedział o twoim najlepszym dniu. Powiedz mi wszystko, chcę znać każdy szczegół, jaki pamiętasz”. To dopiero było! Wkurwił się! Nie chciał rozmawiać o życiu, pragnął współczucia, pragnął uciec od bólu. Przymilałem się i przypocholebiałem, aż wreszcie ujrzałem, że mości się wygodniej na poduszkach. Jego głos, z początku szorstki i nieprzyjemny, łagodniał, cichł w miarę jak ojciec zagłębiał się w swą opowieść. Żeby było śmieszniej, nie była to wcale interesująca historia. Dotyczyła jednego dnia, który podczas drugiej wojny światowej spędził na wyspie Peleliu. Był wówczas młody i przekonany, iż świat poczeka nań, aż on wróci do domu. Opisywał mi wyspę, i to, co się działo tamtego dnia, jakie miał wówczas zajęcia i tak dalej. Po prostu zwykły dzień młodego człowieka, któremu wydaje się, że jest szczęśliwy. Po wszystkich tych latach pamiętał, jak mu było wtedy dobrze. Staralem się wyciągnąć z niego więcej szczegółów i może on nawet pamiętał wszystko, co wówczas robił, ale prześlizgiwał się ponad tym, chociaż wspomnienia były dlań przyjemne, a to, co mu pozostało, ograniczało się jedynie do ciemnego pokoju i bólu. Kiedy uznał, że ma już dosyć, próbował to zlekceważyć, ale nie chciałem mu na to pozwolić. Pytałem o inne mające dla niego znaczenie sprawy; inne wspomnienia, które zapadły mu w pamięć na tyle,

że jego dusza byłaby szczęśliwa, mogąc powrócić do nich. Sądzę, że nigdy nie czułem się tak bliski ojcu.

- Ale dwa tygodnie później oddałeś go do szpitala, gdzie umarł.

Wyatt spojrział na Lelanda, a potem uciekł wzrokiem w dal, jakby to, co tamten powiedział, było dla niego żenujące.

- Tak, to prawda.

- Ach, zachowałem się podle, przepraszam. Wspomnienia to miła rzecz. Czasem potrafią niemal zasypać przepaście.

- Mogę cię o coś spytać?

- Uhum...

- Nie wiem, czy możesz to uczynić, ale chcę spróbować.

- Nie krępuj się.

- Możesz pokazać nam Boga?

Leland odłożył kielbaskę na talerz i wytarł zatłuszczone palce w papierową serwetkę.

- Mogę, ale musiałbym zrobić to tak, abyś mógł to zrozumieć. Poza tym nic by ci to nie dało.

Wyatt oparł dłoń na jego ramieniu.

- Proszę cię. Proszę, ukaż nam Boga. Skoro mam umrzeć, chciałbym Go zobaczyć.

Odwrócił się do mnie, nadal trzymając rękę na barku Lelanda.

- Chcesz tego, Arlen? - Tak.

- W porządku. Pozwólcie mi jednak skończyć hot doga. Lepiej zabrać się do tego z pełnym żołądkiem.

Siedzieliśmy, patrząc, jak kończy posiłek. Nie śpieszył się, choć i nie przeciągał go.

- Czy to będzie prawda? Czy to, co nam pokażesz, będzie absolutnie prawdziwe? - spytałam.

- Absolutnie. Nie wy pierwsi o to prosicie. To nie jest żadna wielka sprawa.

Ugryzł jeszcze kilka kęsów i zostawił resztki na talerzu, po czym wytarł dłonie o spodnie. Zawsze nazywał je portkami, a ja starałam się nauczyć go mówić „spodnie”. Przechylił się teraz w bok i wsunął dłoń do tylnej kieszeni. Wyjął z niej pocztówkę i położył na stole przed nami. Było to zrobione z orbity zdjęcie Ziemi. Zanim cokolwiek zdążyliśmy powiedzieć, rozległ się hałas - brzęczenie i odległy turkot. Stolik i kawiarnia rozplynęły się i zniknęły i nagle stwierdziłam, iż znajduję się w przestrzeni kosmicznej i spoglądam stamtąd na naszą planetę. To było fantastyczne, obraz Ziemi zajmował całe pole widzenia. Błękitny mórz i biel chmur, brąz kontynentów i krzywizny ich linii brzegowych - tak bliskie z tego



odległego miejsca - wszystko to było wręcz transcendentne. W jednej chwili pojęłam zachwyty astronautów i miłość ludzi, którzy spędzili życie na badaniu niebios.

Kiedy minęło pierwsze zauroczenie, zaczęłam słuchać i wtedy stwierdziłam, iż dochodzący od początku dźwięk jest głosem, jaki wydaje Ziemia, słyszany z wielkiej odległości. Nie, to nie cała prawda. Spora część tego szumu pochodziło od mrużenia silników samolotów wykreślających łuki i pasaże w poprzek nieba. Tysiące samolotów pełnych ludzi i towarów oblatywało Ziemię z nadzieją na dotarcie do portu przeznaczenia. Statecznie i powoli zmierzały ze światła dnia w noc i na odwrót. Dźwięk nasilił się i zaczęłam rozróżniać głosy we wnętrzach maszyn, rozmowy ludzi toczone pięć mil nad powierzchnią globu. Silniki i gwar, odgłos powietrza rozcinanego metalowymi kadłubami, podniecenie przy lądowaniu, napięcie oczekiwania. Drobnie światełka wyzywające ciemność niebios, poruszające się poprzez noc, srebrne, delikatne igły wynurzające się z ciemności w blask słońca. Ziemia pocięta przez samoloty lecące w różne strony. Widziałam to wszystko z takiej odległości, że to pozwoliło mi zrozumieć, że, być może, tym jest Bóg - Ziemią pokreśloną liniami azymutów, torami lotu samolotów, liniami komunikacyjnymi i krzyżującymi się w drodze z jednego końca po drugi, aż po nieskończoność.

- Utrzymujesz swój mały dom w czystości i porządku, Arlen. Na kolanach czyścisz podłogi, wszystko jest tam doskonałe. Ale i tak rezultat, jaki osiągasz, w sumie jest chaosem i bałaganem, którego nie rozumiesz. Nie ma w twoim życiu ładu, lecz tylko wzloty i upadki.

Tym razem nie byłam zaskoczona powrotem do rzeczywistości, raczej jego widokiem. Sięgnęłam przez stół i wzięłam widelec, który kelner przyniósł wcześniej do kiełbaski Lelanda.

- Pomogło ci, Finky? Dobrze ci zrobił widok Boga? Cisza.

Nie podnosząc wzroku, położyłam widelec na blacie i poruszyłam nim w tę i z powrotem. Oparłam palec na trzonku i powtórzyłam ten sam ruch.

- Muszę was wkrótce opuścić, by spotkać się z panną Marhoun. Są jeszcze jakieś dalsze pytania albo prośby? Ktoś chciałby na przykład trochę więcej Boga?

Kiedy opierałam palec na szczycie widelca, zasłaniał światło bijące od baru, kiedy cofałam palec - trzonek błyszczał matowym blaskiem.

- Co, nikt nie ma żadnych wątpliwości?

Blask i ciemność. Włączone, wyłączone. Musiał patrzeć na to, co robię, bo kiedy mówił, jego głos napęczniał od irytacji.

- Co robisz? Czy nie pamiętasz, że matka mówiła ci, żebyś nie bawiła się zastawą stołową?

- Zwycięstwo. - Co?

Blask i mrok, światło i ciemność.

- Zwyciężyłam, Leland. Wygrałam.

- Doprawdy? A co wygrałaś, Arlen? - Teraz w jego głosie brzmiało rozbawienie.

- To. - Ciągłe nie patrząc na niego, podniosłam widelec i obróciłam go w taki sposób, iż światło odbijało się od każdego załamania krzywizny.

Dopiero wówczas spojrzałam na Lelanda, który siedział uśmiechnięty, obejmując się ramionami.

- Wal, skarbie. Jestem ciekaw twoich rewelacji. Tym razem dostaniesz Oskara.

Nie patrzyłam na Wyatta, obawiałam się, że jeżeli z jego twarzy wyczytam coś złego, nie pozwoli mi to powiedzieć wszystkiego, co sobie umyśliłam.

- Wykombinowałam to sobie, nie wiem jak, ale wykombinowałam. Może na skutek tego, co Uschi robiła w szpitalu z wiatraczkiem, albo być może spowodowała to opowieść Wyatta o jego ojcu czy nawet... nawet z powodu tego, co czułam do ciebie wcześniej. To, co nam pokazałaś, to nie była wcale Ziemia, wcale jej nie widzieliśmy, chociaż to mi pomogło. Leland, jesteś zepsuty, a ta twoja siła i wszystko, co potrafisz, jest po prostu żalosne. Czy jesteś diabłem, czy tylko śmiercią? Nie dbam o to. Nieważne, bo jesteś po prostu zazdrosny. Zawistny o każde ludzkie istnienie. A wiesz dlaczego? Ponieważ podlegasz ograniczeniom, które nas nie dotyczą. Z całą mocą, jaką posiadasz, i strachem, jakim nas napełniasz, możesz robić tylko jedną jedyną rzecz - właśnie tę, która nas przeraża. Znasz nieskończenie wiele sposobów, by to osiągnąć - ale to jest wszystko. Pamiętam, iż czytałam, że Lucyfer nie został strącony z niebios za obrazę Boga, lecz dlatego, że nie chciał okazywać ludziom szacunku, tak jak mu to nakazano. Wiem, dlaczego On kazał ci nas szanować. Otóż dlatego, że posiadamy zdolność tworzenia i zapominania. - Kochanie, ja jestem bardzo twórczy. - Tak, ale dotyczy to tylko jednej kwestii. Kiedy natomiast człowiek maluje obraz, piecze ciasto lub zakochuje się, potrafi użyć ich do tego samego celu co ty, czyli do tworzenia chaosu i smutku. Przypomnij sobie, co uczyniłaś mnie i Emmy. Ale ty jesteś ograniczony w swych działaniach - i to cała tajemnica. Kiedy odbierasz świat komuś takiemu jak Uschi, ona leży w łóżku, bawiąc się światłem i nieomalże chłonąc je. Gdybyś w tym momencie wszedł do jej pokoju, nie rozpoznałaby cię. Wiesz, że to prawda. Ty nie pojmujesz, co to znaczy chłonąć. Potrafisz ją zabić, ale nigdy nie poznasz uczucia straty zawartego w tym świetle.. To jest poza tobą, przerasta cię. Dlatego Bóg, kimkolwiek jest, nakazał ci szanować nas. Tylko że ty tego nie zrozumiałeś. I właśnie przez taką drobną rzecz - poruszyłam tam i z powrotem palcem po widelcu - nienawidzisz nas tak bardzo, są bowiem chwile, kiedy człowiek zupełnie o tobie

zapomina. Nie myśli o bólu ani o tym, co traci... U innych kochamy najbardziej przymioty pomagające nam wygnać cię z naszych umysłów, które sprawiają, że się śmiejemy, kochamy, rodzimy dzieci; słowem, czynimy wszystko to, co sprawia, że czujemy się ważni i nieśmiertelni. Tym jest wieczność - momentami, w których jesteśmy tylko z naszą radością życia i zapomnienia o tobie. W końcu zawsze istniejemy dla ciebie. Jesteśmy jedynym, co istnieje tylko dla ciebie, i nienawidzisz nas za to. Nienawidzisz nas za to, że możemy zapomnieć o tobie choćby za sprawą tak drobną, jak srebrny wiatraczek, wspaniałe wspomnienie czy piknik pod drzewem na krzasiastym obrusie. W efekcie ty zwyciężasz, to prawda, ale ty zawsze myślisz o nas, a my o tobie nie. Nawet jeżeli jesteś tuż - tuż, zawsze jeszcze możemy bawić się światłem i zapomnieć o tobie; tego właśnie nienawidzisz najbardziej.

Jeden oddech. W chwili tego jednego oddechu zobaczyłam w jego oczach, że to, co mówiłam, jest prawdą.

- Pieprzę cię, gwiazdo filmowa!

Odepchnął krzesło, wstał i wyszedł.

Położyłam dłonie na swoich policzkach; chłodne dłonie, gorąca twarz. Spojrzałam na blat stolika i spostrzegłam widelec. Chciałam go dotknąć, ale z jakiegoś powodu nie śmiałam tego uczynić.

- Myślisz, Arlen, że to prawda? Czyżby to było takie proste?

Popatrzyłam na Wyatta. Jego twarz wyrażała ogromną nadzieję.

- Tak. Tak sędzę. Nie znaczy to, że nie spróbuje jeszcze dać nam w kość, ale tym razem go dostaliśmy!

Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

- Co teraz? Śmiałam się nadal.

- Nie wiem. Pytaj mnie, a ja ciebie. Nie wiem, nie wiem, nie wiem. Będziemy musieli zapomnieć o nim i pogrążyć się w naszym życiu. W tym, co nam pozostało.

Wyatt wyprostował się.

- Chcę wrócić do domu. Chcę o tym wszystkim opowiedzieć Jesse'emu i Sophie. Muszę wracać.

- Mogę jechać z tobą?

- Do Los Angeles? Chcesz naprawdę?

- Będę ci gotować i trzymać cię za rękę. I chciałabym zobaczyć się z Rose. Może odnajdę to, co powinnam mieć na uwadze cały czas - troskę o ludzi, których kocham.

Wyatt sięgnął ponad porysowanym, zniszczonym blatem stolika i ujął moją dłoń. Jego ręka była równie gorąca jak moja zimna. Mogliśmy teraz pomóc sobie wzajemnie i może, jeżeli będziemy mieć dużo szczęścia, uda nam się zapomnieć o nim na jakiś czas.

- Będę ci gotować i trzymać cię za rękę - powtórzyłam.

- Amen.